

ANITA SHREVE WYZNANIA



Prószyński i S-ka



ANITA SHREVE

pisarka amerykańska, pracowała jako nauczycielka, dziennikarka, wykladała także na kursach kreatywnego pisania. Jest autorką bestsellerowych powieści dla kobiet, m.in. „Ostatni raz”, „Trudna miłość”, „Żona pilota”, „Historia pewnego lata”. Mieszka w Massachusetts.

WYZNANIA

W elitarnym liceum w Nowej Anglii wybucha skandal z udziałem czworga uczniów. Kompromitujące nagranie dostaje się w ręce dyrektora, a wtedy podnosi się chór głosów, z których każdy głosi swoją prawdę.

„Wyznania” to powieść o trudnych wyborach, subtelnej granicy między dobrem i złem. O miłości, lojalności i wierności własnym ideałom oraz kurczowym trzymaniu się ich za wszelką cenę. O winie i przebaczeniu, sile i słabości. I o tym, jak jeden pochopny krok może na zawsze odmienić życie.

Kto pierwszy rzuci kamieniem?

Patronat medialny

olivia




Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7648-194-4



9 788376 481944

 www.proszynski.pl

ANITA
SHREVE
WYZNANIA

Przełożyła
Magdalena Moltzan-Małkowska

Prószyński i S-ka

Mike

Kaseta była nieduża, niewiele większa od jego dłoni, lecz myśl o jej zawartości i destrukcyjnej sile sprawiła, że kawałek plastiku mało nie oparzył go w rękę. Ba, nic dziwnego, w końcu przetoczyła się przez szkołę z siłą huraganu, niszcząc reputację Avery, rujnując przynajmniej dwa znane mu małżeństwa, przekreślając przyszłość trzech uczniów, a co najgorsze, stając się przyczyną śmierci. Po tym, jak Kasia wręczyła mu kasetę w białej kopercie (zupełnie jakby zamierzał to komuś wysłać!), Mike zaniósł ją do domu i obejrzał nagranie, co okazało się dosyć kłopotliwe, gdyż musiał odszukać własną kamerę, która działała na podobne kasety, a następnie dopasować kable do odbiornika, by odtworzyć taśmę. Potem żałował, że nie wrzucił kasety do garnka z wrzątkiem, nie posłał do zsypu bądź ołówkiem nie wyciągnął taśmy, płacząc ją do cna. Wątpił, czy dzięki temu uniknąłby skandalu, ale przynajmniej inaczej by go rozegrał, być może zmniejszając katastrofalny wymiar szkód.

W chwili gdy niewidzialna dłoń operatora włączyła kamerę, akcja z udziałem czterech osób dramatu trwała w najlepsze. Na ekranie pojawiła się dziewczyna (w oczach Mike'a już na zawsze miała pozostać tą dziewczyną), która zwinnym (żeby nie powiedzieć tanecznym) ruchem odsunęła się od wysokiego, szczupłego chłopca w dżinsach, zwracając się ku niższemu, bardziej przysadzistemu młodzieńcowi, który przyciągnawszy ją do siebie, przywarł ustami do jej prawego sutka. Jak dotąd twarze pozostawały poza kadrem, zapewne w wyniku celowych

zabiegów kamerzysty, Mike zaś, pełniący funkcję dyrektora Akademii Avery, nie rozpoznał jeszcze wnętrza jednego z pokoi w internacie, chociaż była to jedynie kwestia czasu. Następnie niższy chłopiec odwrócił dziewczynę twarzą do drugiego chłopca, który właśnie rozpinął pasek przy spodniach. Dżinsy, stanowczo zbyt obszerne, opadły mu do stóp jednym, płynnym ruchem jak z kreskówki. Kamera odjechała gwałtownie w bok i Mike, czując nieuchronną zapowiedź choroby lokomocyjnej, ujrzał trzeciego, nieco starszego chłopaka, który leżał nagi na wąskim łóżku, gorliwie się onanizując. I na przekór staraniom dyrektora, który za wszelką cenę usiłował o tym zapomnieć, okazały penis młodzieńca oraz jego umięśnione ramiona i klatka piersiowa wryły mu się w pamięć na dobre. Kamera ponownie ześlizgnęła się na środek pokoju: żołądek Mike'a raz jeszcze wywinął kozła, a na ekranie ukazało się dwóch stojących chłopców i klęcząca obecnie dziewczyna.

Dokładnie w tej samej chwili Mike zrozumiał, że do obrazu przypisany jest dźwięk, z kąta bowiem, gdzie znajdowało się wspomniane wyżej łóżko, dochodziła seria przesadnych jęków, w tle zaś dało się słyszeć dudnienie muzyki (która z niejasnych powodów zdawała się jakby przytłumiona). Tymczasem wysoki chłopak o szczupłych ramionach przyciskał jasnowłosą głowę dziewczyny do swego krocza. Najwyraźniej wiedziała, co robi - ba, jej biegłość wydawała się poprzedzona wielokrotnym treningiem - i Mike mimowolnie zwrócił uwagę na to, jak odsuwa głowę, rozciągając nabrzmiały penis, zdawałoby się do granic możliwości, by następnie pochłonać go aż do samej nasady. Szczupły chłopiec zadrżał, wydając z siebie przenikliwy okrzyk, jakby orgazm spadł na niego zniecka. Operator (bądź operatorka, ale trudno było wyobrazić sobie tę kamerę w ręku dziewczyny) wycelował obiektyw w jego twarz i nagle Mike Bordwin uświadomił sobie, że ją zna. Kiedy Kasia przed godziną uroczystie podała mu kasetę, oznajmiając grobowym tonem: „Chyba powinieneś to zobaczyć”, uznał, że ma do czynienia ze skonfiskowanym filmem pornograficznym (w sumie niewiele się pomylił), którym mógł się zająć opiekun internatu. Myśl,

że na ekranie ujrzy oblicza znane mu ze stołówki, korytarzy i boiska do koszykówki, nawet nie pojawiła się w jego głowie, dopóki nie ujrzął twarzy chłopca, zniekształconej w grymasie rozkoszy i stąd cokolwiek groteskowej dla postronnego obserwatora. Rob - pomyślał, a potem: To niemożliwe. Rob, którego znał, był miłym, sumiennym uczniem, a do tego znakomitym koszykarzem. A kiedy Mike zamarł przed telewizorem, wpatrzony w stężoną twarz Roba, owładnęła nim kolejna myśl. „Wybitny uczeń”, „obietujący aktor”, „pretensjonalny bufon”, „życzliwa dusza”. Wszystko wskazywało na to, że owe etykiety, tak chętnie przypisywane uczniom, były z gruntu chybione. Rob, którego znał, zdawał się oddalony od ogiera na taśmie bez mała o lata świetlne. Mike poczuł ucisk w piersi w chwili, gdy jego mózg zarejestrował szereg niechcianych i alarmujących strzępów informacji - niczym radar, za pośrednictwem którego kontroler lotu bezsilnie śledzi zapowiedź nieuchronnej katastrofy w powietrzu. Nie tracąc czasu na nabranie powietrza w płuca, dziewczyna na ekranie odwróciła się do drugiego stojącego chłopca, a jego twarz pojawiła się nieoczekiwanie w kadrze, na co dyrektor odruchowo wykrzyknął jego imię - „Silas” - i też wydał z siebie jęk, bynajmniej nie erotyczny. Silas i dziewczyna legli na podłodze (Silas na górze), po czym przystąpili do dzieła w sposób zgoła staroświecki, acz z niezaprzeczalną werwą, i głowa dziewczyny stuknęła o podłogę, usianą licznymi puszkami po piwie. Mike przymknął oczy, wolał nie oglądać zastygłej w rozkoszy twarzy tego chłopca. Kiedy znów je otworzył, ekran wypełniała twarz dziewczyny, która albo przeżywała właśnie orgazm stulecia, albo doskonale go udawała. Wówczas zrozumiał, że jest bardzo młoda - bardzo, bardzo młoda: w jego mózgu wyświetliła się liczba czternaście - ale nie kojarzył jeszcze jej imienia. Dyrektor nie musi przecież znać imion wszystkich uczniów, zwłaszcza tych z młodszych klas, którzy nie mieli jeszcze okazji się wykazać. Mike miał niemal stuprocentową pewność, że było tak i w tym wypadku. Zastanawiał się, ile osób - spośród uczniów i kadry - oglądało już te wyczyny. I poczuł, że to chyba najgorsza chwila w jego

dotychczasowym życiu (a był to zaledwie przedsmak tego, co dopiero miało nastąpić).

Sięgnął po kamerę i na oślep wymacał przycisk pauzy. Znajdował się na czworakach w pustym domu, z trudem oddychając, przycisnął nawet rękę do piersi jakby w obawie przed nadciągającym atakiem astmy. Myśl o tym, że pewna grupa osób mogła już obejrzeć kasete, przyprawiła go bez mała o stan przedzawałowy. Jego mózg tymczasowo odmówił współpracy: okropieństwo ostatniej refleksji zahamowało wszelkie procesy myślowe, czyniąc go niezdolnym do jakichkolwiek wniosków, a przez głowę przelatywały mu hasła: „policja”, „gwałt”, „alkohol” i „praca”, których żaden szanujący się dyrektor szkoły nie chciałby usłyszeć w jednym zdaniu. Wreszcie postanowił skupić się na dziewczynie, ocenić, w jakim stopniu jej udział w tym, tym... czymś był dobrowolny. A że nie czuł się na siłach, aby przewinać taśmę i prześledzić wszystko od nowa, pchnął palcem przycisk „start”, pełen żalu, że nie może spowolnić tego, co rozgrywało się na jego oczach. Bynajmniej nie dla własnej frajdy - Chryste Panie, w życiu! - lecz po to tylko, by oswoić się z myślą o tym, co nieuchronnie miało nastąpić. Słusznie przewidywał, że czeka go istna gehenna.

Film ruszył ponownie, jak nie przymierzając z kopyta, i oko kamery ponownie skupiło się na twarzy dziewczyny. Mike skonstatował z rozpaczą, że bez względu na jej wcześniejszą biegłość (oraz równie przekonującą scenę orgazmu) zgodnie z jego przypuszczeniami w istocie była bardzo młoda. Pierwszoklasistka, bez dwóch zdań. Prawie wyobraził ją sobie w stroju sportowym - hokej na trawie, piłka nożna, koszykarska drużyna juniorów, a może grupa zaawansowanych? - i ogarnęła go prawie niezbita pewność, że mieszkała w internacie. Nie dojeżdżała do szkoły jak Silas, który w tej chwili dosłownie opadł z sił, przygniatając ją swoim ciężarem, na co uśmiechnęła się szeroko. Naprawdę się uśmiechnęła. Czy to dobrze czy źle - zastanawiał się w duchu Mike.

W filmie zapanował chaos. Niewidzialna dłoń chyba opuściła kamerę. Mike zmrużył oczy, aby powstrzymać mdłości,

i utkwiał wzrok w widocznej na ekranie, Bogu ducha winnej nodze od biurka, przy której leżał porzucony brudny, biały adidas z rozwiązanymi sznurowadłami. Dyrektor, wstrząśnięty niewinnością tego obrazu, poczuł przemożny ucisk w gardle: ów osamotniony but nieoczekiwanie zyskał w jego oczach rangę symbolu straty niezmiernej, wprost nie do pomyślenia. W tle rozlegały się stłumione odgłosy. Z trudem łowił poszczególne słowa, wydało mu się, że słyszy: „Hej” i „Jazda”, a następnie: „Twoja kolej” (niekoniecznie w tej kolejności), po czym kamera poderwała się w górę i spoczęła na ciele trzeciego chłopca. (Chłopiec - pomyślał Mike. Dobre sobie. W życiu każdego osobnika płci męskiej nastaje bowiem owa nieuchronna i nader ulotna chwila, kiedy chłopiec przeistacza się w mężczyznę, i nie ma to nic wspólnego z zarostem, wiekiem ani barwą głosu. Mike dawno temu doszedł do wniosku - a w ciągu dwudziestu lat pracy w szkolnictwie średnim oglądał to zjawisko setki razy - iż ma ona ścisły związek z muskulaturą, zarysem szczęki oraz postawą). W chwili obecnej rzeczony młodzian reprezentował postawę dość swobodną, onanizując się zawzięcie nad rozciągniętym na podłodze ciałem przesłicznej (Mike musiał to przyznać) dziewczyny, która zdawała się go dodatkowo zachęcać, rytmicznie poruszając biodrami i wijąc się na wszystkie strony, czego nauczyła się zapewne z filmów. Niewidzialny operator kamery przesunął się nieco i chcąc, nie chcąc, widz mógł obejrzeć z bliska determinację malującą się na twarzy młodego człowieka, w którym Mike niezwłocznie rozpoznał absolwenta ściągniętego do szkoły w celu doprowadzenia drużyny koszykarskiej do play-offów. Pospieszenie dokonał w myślach obliczeń i zatrzymał się na liczbie dziewiętnaście: dokładnie tyle lat liczył sobie absolwent, którego pozostali uczniowie nazywali J. Kropka (jak w J. Robles@Avery.edu). Dokładnie w tej samej chwili J. Kropka spuścił się na piersi, szyję i podbródek dziewczyny, młodszej od niego o co najmniej cztery lata, na co Mike odruchowo wyciągnął rękę i wcisnął „stop”. Gorąco pragnął postąpić tak samo z upływem czasu, przynajmniej do momentu, aż

wymyśli, co począć z niepożądanym kawałkiem celuloиду, uwięzłym w jego kamerze.

Oparł się o sofę w pokoju telewizyjnym. Gdy zamieszkalili w tym okazałym, georgiańskim domu, przez pierwsze lata uparcie nazywał to pomieszczenie biblioteką, wiedziony przekonaniem, iż określenie to bardziej pasuje do jego pozycji. Jednak razem z Meg częściej spędzali tu czas, oglądając telewizję i filmy DVD aniżeli czytając książki, więc wreszcie dał sobie spokój. Był lekko zdyszany, zaschło mu w ustach. Myśl, że mógłby zobaczyć coś więcej ponad to, co było już dane mu obejrzeć, wprost nie mieściła mu się w głowie. (W końcu wszyscy trzej chłopcy doszli jeden po drugim, prawda? No tak, ale kiedy ma się naście lat, nigdy nic nie wiadomo). Uznał, że nie może dłużej na to patrzeć. Cieszył się, a zarazem martwił, że Meg nie ma w domu: wprawdzie mógł spokojnie pomyśleć, ale brakowało osoby, która służyłaby mu wsparciem. Czy Meg podniosłaby go na duchu? Pewnie nie. Czy byłaby równie wstrząśnięta jak on? A może młodzi ludzie byli jej bliżsi? Może lepiej ich rozumiała?

Zachodził w głowę, kiedy ów incydent miał miejsce i w którym internacie. Sądząc po liczbie puszek na podłodze, wszystko wskazywało na to, iż był wynikiem libacji alkoholowej. Może gdzieś na biurku znajdowała się podpowiedź, na przykład data zakreślona w kalendarzu. Rzecz najprawdopodobniej wydarzyła się w sobotni wieczór, ponieważ w dni powszednie oraz w piątki poprzedzające soboty pracujące uczniom nie wolno było po godzinie ósmej opuszczać internatów. W miniony weekend odbyła się dyskoteka. Geoff Coggeshall, prorektor do spraw uczniowskich, wspominał o pewnej grupie osób, które przyłapano na piciu bądź które były o picie podejrzewane. Nie sposób jednak było temu zapobiec i stanowiło to największą bolączkę dyrektorów szkół średnich w całym kraju. Organizowano wprawdzie w tej sprawie liczne zjazdy i seminaria, lecz zdaniem Mike'a problem nasilał się z każdym rokiem. Mike zastanawiał się czasem, czy ów nacisk na zwiększenie świadomości niebezpieczeństw wynikających z alkoholizmu

nie przyczynił się aby bezpośrednio do obecnego stanu rzeczy. Każde pokolenie uczniów musiało się pod tym względem wyszaleć, ale ze statystyk jednoznacznie wynikało, że do kieliszka zaglądały coraz młodsze dzieciaki, w dodatku coraz częściej i na niespotykaną dotąd skalę. Jeszcze dziesięć lat temu byłoby to nie do pomyślenia.

Położył głowę na siedzeniu sofy i zamknął oczy. W pustym domu panował niezmacony spokój. Mike słyszał wiatr hulający za oknem, z kuchni zaś dochodził szmer niedawno zakupionej lodówki marki Viking. Należało niezwłocznie poczynić kroki, przesłuchać uczniów, zwołać komisję dyscyplinarną, wszystko pod czujnym okiem prasy, która natychmiast zwietrzy skandal w prywatnej szkole i nie odpuści. Zawsze uważał, że prywatne szkoły obrywają w dwójnasób; podobne nagranie w miejscowej szkole publicznej raczej nie wzbudziłoby większego zainteresowania. Taśma byłaby rozpowszechniana w drugim obiegu, wyrzucono by paru uczniów i zakazano spotkań, ale sprawa spotkałaby się z obojętnością nie tylko lokalnej gazety, „Avery Crier” (jej wydawca, Walter Myers, nie kwapił się do publikacji artykułów, które mogły zawstydzić miejscowych uczniów i ich rodziców), lecz również dzienników regionalnych i krajowych. Mike był święcie przekonany, że media jednomyślnie uznałyby seksualno-alkoholową aferę w szkole publicznej, nawet z udziałem czternastolatki, za temat zbyt oklepany, by poświęcić mu cenne szpalty. Jednak gdyby identyczne okoliczności, których tłem stała się szkoła prywatna, trafiły do uszu reportera „Rutland Herald” bądź „Boston Globe”, do Avery natychmiast zleciałoby się stado wygłodniałych sępów. Ależ się będą oblizywać na taki kąsek! W dodatku jeśli taśma została skopiowana, poparty dowodami. Czy działo się tak dlatego, że szkołom prywatnym przypisywano wyższe standardy moralności, zgodnie z którymi podobny incydent był nie do pomyślenia? A może dlatego, że społeczeństwo radowało się widokiem upodlonej i wyszydzonej elity (nawet jeśli w jej gronie znajdował się syn farmera ze stypendium)? Mike uznał, że pewnie po trosze jedno i drugie, z przewagą drugiego.

Bardziej niepokojąca była jednak ewentualność udziału policji. Wprawdzie myśl o Silasie i Robie, których właśnie obejrzał na ekranie, budziła w Mike'u dreszcz obrzydzenia (choć przedtem obu szanował, a Silasa nawet lubił), wizja młodych winowajców w kajdankach bynajmniej nie sprawiła mu satysfakcji. (Czy policja rutynowo zakuwała w kajdanki chłopców podejrzanych o przestępstwo na tle seksualnym? W świetle prawa obowiązującego w stanie Vermont czyn Silasa i Roba najprawdopodobniej zyskałby właśnie taką kwalifikację). Policja, czyli w tym wypadku Gary Quinney lub Bernie Herrmann, nie kwapiłaby się raczej do spełnienia swej powinności; bądź co bądź Gary był stryjem Silasa. Czy po kilku miesiącach chłopcy zostaną pozwani do sądu, którego siedziba mieściła się dokładnie naprzeciw bramy Akademii Avery, w budynku niemal nieznośnym w swej praworządności? Mike stanie wobec groźby utraty stanowiska, a nauczyciele pełniący owego wieczora dyżur podczas dyskoteki i w internacie najprawdopodobniej wylecą z pracy, no bo przecież zarząd nie puści płazem takiego bałaganu. Czy chłopcy trafią do więzienia stanowego w Windsorze, gdzie prawie na pewno sami zostaną zgwałceni?

Musi ochłonać. Stanowczo się zagalopował. Nie, trzeba wziąć się w garść i zacząć działać. Trzej chłopcy wpadli w tarapaty, a dziewczyna... cóż, jeśli rzeczywiście mowa o przestępstwie na tle seksualnym, w jej wypadku zło już się dokonało, choć jego konsekwencjom może nie być końca.

Wstał z podłogi i opadł na sofę, a następnie poluźnił krawat i odpiął górny guzik koszuli, jakby swobodniejszy dopływ krwi do mózgu miał mu nasunąć rozwiązanie problemu. Pełna konspiracja - pomyślał. W chwili gdy powziął to postanowienie, dokonał zarazem szeregu wyborów natury moralnej i politycznej, których implikacje miał zrozumieć dopiero później, gdy zachodził w głowę, dlaczego nie przyszło mu na myśl coś innego: żeby ustalić prawdę albo na przykład pomóc.

Ellen

Telefon zadzwoni nocą, myślisz i bezwiednie nasłuchujesz w ciemnościach. Czekasz latami. Wyobrażasz sobie głos po drugiej stronie linii, oficjalny i męski, zawsze męski. Słyszysz słowa, ale nie potrafisz ułożyć ich w zdania. Układanie zdań przynosi pecha, więc od razu przechodzisz do chwili, kiedy stoisz ze słuchawką przyciśniętą do ucha, usłyszałaś to, co miałaś usłyszeć, i myślisz: Jak się zachowam?

Zacznieś krzyczeć? To raczej mało prawdopodobne. Rzadko podnosisz głos. Nie pamiętasz, kiedy ostatnio krzyczałaś. Czy ugną się pod tobą kolana i bezsilnie osuniesz się po ścianie? A może po prostu struchlejesz, zeszywniała na całym ciele, i będziesz tak trwać godzinami, gdyż najmniejszy nawet ruch mógłby oznaczać konieczność ułożenia sobie życia na nowo. Nie mieści ci się w głowie, jak miałybyś tego dokonać.

Ale telefon nie dzwoni w środku nocy, tylko o wpół do jedenastej w środowy ranek. Spieszysz się, masz wizytę u dermatologa. Wzięłaś wolne, żeby odbębnić wszystkie wizyty lekarskie za jednym zamachem. Byłaś już u dentysty, a potem idziesz jeszcze do ginekologa. Potrzebujesz trzydziestu pięciu minut, aby dotrzeć do dermatologa, jesteś umówiona na jedenastą, a doktor Carmichael jest chorobliwie punktualna. W ogóle nie myślisz o synu, jest bezpieczny w szkole w Vermoncie, otoczony ludźmi, których darzysz niezmiernym szacunkiem i którym z ufnością go powierzyłaś. W rękę trzymasz klucze, masz na sobie płaszcz, taki ziąb na dworze, i to od wielu tygodni. Na szafce w kuchni jest okropny bałagan, ale to nic

nie szkodzi, później posegregujesz pocztę, umyjesz miszkę po płatkach kukurydzianych i schowasz sok. Kusi cię, żeby nie odbierać, potem odsłuchasz sekretarkę. Leczą naraz przychodzi ci do głowy: A jeśli dzwonią z gabinetu doktor Carmichael, wizyta jest odwołana, a ja przejadę taki kawał na darmo? I podnosisz słuchawkę.

Na początku, kiedy słyszysz głos (oficjalny i męski, a jakże), myślisz, że ci się upiekło: telefon zadzwonił, a twoje dziecko nie zginęło przejechane przez ciężarówkę, i może twoja odpowiedź zdradza nadmierną... ulgę. Wówczas jednak po drugiej stronie linii zapada niezręczna cisza i wreszcie docierają do ciebie słowa, które brzmią jak z kosmosu, słowa, których znaczenie wyparłás z swojej świadomości:

- Pani syn brał udział w przestępstwie o charakterze seksualnym.

- Ja nie... - mówisz. I dodajesz: - To niemożliwe... Nic z tego nie rozumiem.

Głos rozmówcy jest cierpliwy, pewnie przewidział twoją konsternację i prawie na pewno wziął pod uwagę twoje zdenerwowanie. Raz jeszcze powtarza te same słowa, a ty z rozmachem siadasz na ławce pod telefonem zawieszonym na ścianie, ławce przeznaczonej właśnie do tego celu, do rozmów telefonicznych, chociaż zapewne nikt nie liczył się z tą konkretną wymianą zdań. Masz na końcu języka pytanie: „Jest pan pewien?” i „Czy aby na pewno nie zaszła pomyłka?”, a potem znów: „Czy jest pan pewien?”, ale już wiesz, że to na nic, ponieważ nikt o zdrowych zmysłach nie przekazywałby podobnych informacji niewłaściwej matce. Ba, zaczynasz rozumieć, że pewnie dowiadujesz się ostatnia, że inni są lepiej poinformowani, temat został już wywrócony na nice, wyciągnięto wnioski. Mogłabyś zapytać o szczegóły, ale nachodzi cię podejrzenie, że kwestia jest zbyt... krępująca... żeby omawiać ją telefonicznie. I uświadamiasz sobie z pełną jasnością, że telefon ten, oprócz funkcji czysto informacyjnej, miał na celu sprawić, byś wsiadła do samochodu i pojechała na północny zachód.

Przez kilka minut siedzisz na ławce, z kluczami w dłoni, ogarnięta niemocą. Patrzysz na szafki kuchenne i myślisz: Rob. Widzisz przed oczami szereg obrazów. Buzia uniesiona w górę, błyszczą rumiane policzki, a nad różową wargą połyskują dwa ząbki. Dwuletni golasek prosto z kąpieli, mokry i rozchichotany. Delikatna twarzyczka otoczona sztucznym futerkiem kaptura na tle topniejącej śniegowej fortocy. Twoja miłość do syna, wprost nie do zniesienia. Już wiesz, dlaczego nachodzą cię te niewinne obrazki. Czas niewinności przeminął nieodwołalnie. Zadzwoił telefon.

Myślisz gorączkowo, czy nie zadzwonić do Arthura do pracy, ale zaraz odrzucasz tę myśl: minie godzina, zanim wróci do domu, nie możesz tak długo czekać. Podróż do szkoły zajmie blisko cztery godziny, co samo w sobie jest istną drogą przez mękę. Poza tym wiesz, że jeśli zadzwonisz do Arthura, on może zadzwonić do Tommy'ego, waszego prawnika; czujesz przez skórę, że nie byłoby to właściwe posunięcie. Najpierw musisz porozmawiać z synem w cztery oczy.

Wstajesz. Co musisz zabrać? Właściwie niewiele. Jedyne torebkę i płaszcz, który masz już na sobie. Jeszcze tylko biegniesz do łazienki i widzisz, że trzęsą ci się ręce.

Gdzie zastaniesz Roba, kiedy już dotrzesz do zachodniego Vermontu? Czy będą go przez cały czas trzymać w gabinecie dyrektora? A może trzymają go w swoim areszcie domowym, w internacie? Czy zawiadomiono policję? Mogłaś o to wszystko zapytać przez telefon, gdyby tylko starczyło ci przytomności umysłu. Ale nie starczyło i nadal jesteś daleka od tego stanu.

Wsiadasz do samochodu, wycofujesz się z podjazdu i skręcasz w ulicę, co natychmiast podsuwa ci serię nowych obrazów, które śmigają przed oczami jak mali chłopcy na rowerkach. Rob w kasku na deskorolce, z komicznie obciętymi rękawami. Jego twarz, ledwie widoczna wśród stosu pluszaków na podłodze. Nieładnie ostrzyżony chłopiec w żółtej przekrzywionej chustce trzyma harcerską odznakę i wprost pęka z dumy, aż coś cię chwyta za serce. W innych okolicznościach uczepliłabyś

się tej wizji kurczowo, w końcu nie pamiętasz wszystkiego, żadna matka nie pamięta; martwisz się czasem, że gdyby nie albumy ze zdjęciami, wspomnienia rozwiałyby się jak dym. Może niedługo zapomnisz, z jakiego roku pochodzi dana fotografia? Ale teraz? Teraz nie możesz się rozpraszać, próbujesz zebrać myśli.

Przypominasz sobie, że zapomniałaś zadzwonić do dermatologa. Przez głowę przelatuje myśl, czy nie policzy ci jak za normalną wizytę. Masz w torebce komórkę, mogłabyś zadzwonić, ale perspektywa wygrzebania z niej telefonu, znalezienia numeru i jednoczesnego prowadzenia samochodu jest niezbyt zachęcająca. Zresztą jaką masz wymówkę? „Mój syn ma poważne kłopoty?”.

Jedziesz na północny zachód. A gdybyś tak nie jechała do syna, myślisz sobie, tylko w nieznanie. Jechała, gdzie oczy poniosą, a potem się zatrzymała. Motel. Inne miasto. Anonimowa. Wolna. Doświadczasz tej pokusy nie pierwszy raz, nachodzi cię od chwili, kiedy skończyłaś siedemnaście lat. Nigdy nie spełniłaś swego marzenia, nigdy nie wsiadłaś do samochodu i nie pojechałaś tam, dokąd prowadzi droga, bez celu, bez zegarka w ręku. W twoim życiu zdarzały się chwile, kiedy mogłaś tego dokonać. Ale nigdy nie zdecydowałaś się na ten krok.

Jedziesz i myślisz, że masz w portmonetce tylko trzydzieści dolarów, co oznacza, że będziesz musiała przystanąć przy bankomacie. Zastanawiasz się nad rozmieszczeniem bankomatów w zachodnim Vermoncie. Zastanawiasz się, czy twój syn płacze, czy od początku tej afery uronił choćby jedną łzę. Myślisz o tym, jaka jesteś czysta, jak wyszorowałaś się przed wizytą u dermatologa. Myślisz o pieprzyku, który pojawił się na brzuchu i o który nie będziesz miała okazji zapytać lekarza. Znając swoje szczęście, pewnie okaże się złośliwy. Boli cię prawe kolano, próbujesz je nieco przesunąć, chociaż stopa wciąż spoczywa na pedale gazu. Myślisz, że trzeba będzie poszukać noclegu, rozmowa z dyrektorem pewnie trochę potrwa, nie ma mowy o powrocie tego samego dnia. Zastanawiasz

się, czy syn będzie nocował z tobą, może został już wydalony ze szkoły. Słowo wybucha w twoim umyśle - wydalić, wydalony, wydalenie - i czujesz bolesny ucisk w piersi.

Jeśli Rob został wydalony, ktoś będzie musiał zadzwonić do Browna. Pamiętasz tamten dzień, początek ferii świątecznych, kiedy listonosz przyniósł grubą przesyłkę. Zawołałaś Roba, siedział na górze w swoim pokoju. Podałaś mu kopertę na schodach, z radości mało nie wyszedł ze skóry. W życiu nie widziałaś go tak dumnego i pełnego ulgi. Z kuchennej półki chwyciłaś aparat i pstryknęłaś zdjęcie, które miałaś hołubić aż do końca życia. Rob, z głową odrzuconą w tył i rozdarta kopertą w dłoni, roześmiany od ucha do ucha.

Zjeżdżasz z autostrady i kierujesz się na trasę numer 30. Uświadamiasz sobie, że pędzisz na złamanie karku. Szkoła była twoim pomysłem, Arthur nie omieszka ci tego przypomnieć. Doszły ci słuchy o notorycznym pijaństwie w szkołach publicznych, bałaś się tego jak ognia. Pamiętasz kolację u Julie. Rozmowa przy stole; znajoma znajomej nachyla się ku tobie i mówi:

- Nigdy się pani nad tym nie zastanawiała? Może warto...

Pomysł przyoblekł się w realne kształty i nabrał rumieńców. Arthur był ostrożny, Rob lekko zaintrygowany. Wmówiłaś sobie, że przecież chcesz ocalić syna.

Wszyscy troje wzięliście wolny dzień i odwiedziliście szkołę w zachodnim Vermoncie. Krajobraz zapierał dech, budynek też wyglądał obiecująco. Wyobraziłaś sobie siebie w tamtych murach; widziałaś, że w głowie syna kiełkuje podobna myśl. Wszystko przemawiało za: wybitni pedagodzy, większe szanse na dobrą uczelnię, odwiedziny w domu w każdy weekend, to przecież niedaleko, wymarzone miejsce do suszowania. Patrzyłaś, jak syn łąwi wszystkie szczegóły. Plakat z zapowiedzią wizyty znanego pisarza. Długonoga dziewczyna na kamiennym murku. Sala gimnastyczna z dwoma boiskami do koszykówki. Internaty żywcem wyjęte z uczelni w Nowej Anglii. Arthur też nie krył podziwu, choć twój entuzjazm chyba nieco zbił go z tropu.

Lepiej dmuchać na zimne, powiedziałaś. Przecież to oczywiste. Musimy za wszelką cenę uchronić Roba przed niebezpieczeństwem, choćby za cenę wysiania go do internatu.

To wszystko? A może oczami wyobraźni ujrzałaś serię utarczek, konieczność ciągłego zachowania czujności, lęk, że twój syn stanie się obcym człowiekiem? Wyobraziłaś sobie noc, kiedy wróci do domu pijany i będzie kłamał, że nie tknął ani kieliszka? I ulegnie złudnemu poczuciu, że może na rauszu zasiąść za kierownicą? Widziałaś w nim coś, z czego być może nie zdawał sobie sprawy nawet on sam: pociąg do ryzyka.

Kilometry przechodzą w godziny. Musisz skorzystać z łazienki, zajeżdżasz do motelu. Jesteś głodna, ale nie masz czasu na jedzenie. Szybko wracasz do samochodu.

Pniesz się na wzgórze, a następnie zjeżdżasz w dół. Myślisz o tym, jak w zeszłym roku wynajęliście domek narciarski i Rob wpadał z kolegami w weekendy. Pamiętasz, gdzie spali, jak zasiadaliście do wspólnych posiłków. Wyobrażałaś sobie, że nawet gdy już pójdzie na studia, ty i Arthur wciąż będziecie tam przyjeżdżać. Rob i jego nowi znajomi z Browna znowu będą mogli wpadać w weekendy.

Kiedy parkujesz samochód na dziedzińcu, ręce dygoczą ci tak bardzo, że z trudem chowasz klucz w zapinanej na zamek kieszeni płaszcza. Podążasz równym krokiem w stronę granitowego budynku, w którym mieści się gabinet dyrektora. Odruchowo kierujesz wzrok na okno, jakbyś spodziewała się ujrzeć w nim syna, usilnie wpatrzone w ciebie małe oczka, jak wówczas gdy zostawiałaś go u opiekunki.

Wchodzisz do eleganckiego holu, który bardziej przypomina salon aniżeli centrum administracyjne placówki dydaktycznej. Gabinet znajduje się w rogu po prawej stronie. Zbliżasz się do recepcjonistki, która już cię zna, i nim zdążysz otworzyć usta, mówi: „Pani syn jest w sali konferencyjnej. Czeka na panią”. Pokazuje ręką.

Idziesz po perskim dywanie, chociaż masz ochotę puścić się biegiem. Patrzysz na boazerię, portrety dawnych dyrektorów,

prześliczne okna, przez które widać zarys gór. W pozostałych pomieszczeniach są ludzie. Panuje niecodzienny szum.

Stajesz na progu. Widzisz chłopca, który siedzi w kącie na krześle. Patrzy na ciebie. Nie poznajesz go. Zawsze to samo. Zawsze jest starszy, niż zapamiętałaś. Ale tym razem to nie to samo.

Siedzi z rękami na kolanach i ze spuszczoną głową. Na twój widok początkowo nie rusza się z miejsca. Nie będzie powitania, uśmiechu ani buziaka. Koszulka polo wyszła mu ze spodni. Jego twarz to nierówny krajobraz usiany pryszczami i kleksami zarostu. Brwi sprawiają wrażenie grubszych niż ostatnio. Ma zmęczone i zaczerwienione oczy. Zastanawiasz się, czy płakał.

Zwracasz się do niego. Wypowiadasz jego imię.

Owen

Owen postanowił sprzedać farmę. Aż go trzęsło na myśl, że jego ziemia mogłaby przejść w ręce szkoły, dlatego wolał poczekać. Marzył, aby trafiło mu się młode małżeństwo, jak on i Anna sprzed lat, ale na co komu taka kula u nogi. Bóg jeden wie, że w dzisiejszych czasach trudno się na tym wzbogacić.

Dawniej mieli czterdzieści owiec rasy Kent. Hodowlę najwyższej klasy. A jaką miały wełnę! Zdrowiusieńką. Anna posyłała ją po strzyżeniu do przędzalni, a potem sama farbowała i sprzedawała na targach. Wełna na medal, ze świecą szukać lepszej.

Każdej wiosny jedna owca szła pod nóż. Zawsze samiec. Owen i Anna sprzedawali młode na hodowle zarodowe, też można było na tym zarobić. Świnie też sprzedawali. Na farmie wszystko miało swoje miejsce i rolę, nawet psy.

Okolica była przepiękna.

Ale farma nie wyglądała już tak, jak dawniej.

To Anna wpadła na pomysł wysłania Silasa do tej szkoły. Owen uważał... Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Uważał, że szkoła publiczna też się nada, ale potem zlikwidowano zajęcia muzyczne i plastyczne, człowiek nawet nie mógł za nie dopłacić. Podobno brakowało nauczycieli. Były przynajmniej zajęcia sportowe, lecz Owen nie miał teraz ochoty myśleć o koszykówce.

Kiedyś aż przyjemnie było się rozejrzeć. Po jednej stronie Green Mountains, po drugiej Adirondacks. Owen nie mógł sobie wyobrazić ładniejszego skrawka gruntu. Silas kochał kie-

dyś tę ziemię. Należała do rodziny Owena od trzech pokoleń. Rodzina Anny pochodziła z północy, z okolic Burlington.

Uważał, że to wszystko jego wina. Gdyby tylko zabrał głos, kiedy Anna wymyśliła tę całą szkołę... Ale o tym też nie miał ochoty myśleć.

Któregoś dnia Owen i Anna będą musieli opuścić Avery; wiedział, że ciężko to przeżyje. W Avery panowała atmosfera lat pięćdziesiątych, albo i jeszcze wcześniejszych. Przejeżdżając przez miasteczko i pokonując tutejsze drogi, Owen miał poczucie, jakby utknął w dawno minionej epoce. Gdzieś tam widywało się talerz satelitarny albo nową półciężarówkę, lecz sprawiały one wrażenie raczej przybyszów z obcej planety aniżeli integralnej części krajobrazu. Był tu sklep spożywczy Peeta, biblioteka, sąd, kościół. Była stacja benzynowa, położona tuż obok cukierni Sally, gdzie jego siostra piekła najlepsze pączki w zachodnim Vermoncie. Żadnego banku, bankomatu ani apteki. Żeby je znaleźć, należało minąć granicę stanu Nowy Jork, ale tylko w razie absolutnej konieczności.

Czasami zaglądali tu turyści w poszukiwaniu syropu klonowego, ogrodniczek marki Carhartt oraz tkanych podkładek na stół. Zwykle jednak przyjeżdżali tylko po egzemplarz lokalnej gazety z listą nieruchomości na sprzedaż. Gdzieś wpadł im w oko wiejski dom z dziesięcioma pokojami na ośmiu hektarach ziemi w cenie zagraconej dziupli, jaką mieli na Manhattanie, i zapalało im się światełko, przynajmniej póki nie minęli granicy powiatu. Ale bywało też tak, że jakieś natchnione młode małżeństwo kupowało i remontowało jeden ze zrujnowanych domów na wzgórzu, a kiedy dzieci szły do szkoły, stwierdzało ze smutkiem, że dziesięciogodzinny dojazd do drugiego domu to jednak nie to, co tygrysy lubią najbardziej. Mijało kolejnych parę lat i w lokalnej gazecie pojawiała się zdjęcie wielkości znaczka pocztowego, przedstawiające dom w nieco bardziej atrakcyjnej postaci aniżeli pięć lat wcześniej, a Greason, jedyny agent nieruchomości w miasteczku, zacierał ręce na kolejny złoty interes.

Pastor mieszkał na plebanii tuż przy kościele. Opodal stało kilka domów szeregowych, zajętych częściowo przez kadrę

nauczycielską i personel z Akademii Avery. Były reliktem z czasów, gdy Avery miało rangę miasta przemysłowego, w którym produkowano guziki z celulozy, pozyskiwanej z królujących niegdyś w okolicy lasów. Guziki to dzisiaj rzadkość, powie dziano Owenowi.

Greason miał domek Cape Cod i stamtąd zarządzał swoją agencją. Bobby Peet zajmował mieszkanie nad własnym sklepem. Aaron Davidson, urzędnik sądowy, mieszkał z Gerri Burton, sądową stenotypistką, na skraju miasteczka w starym wiktoriańskim domostwie. Vicki Thornton miała troje małych dzieci. Była sprzątaczką w szkole. Natalie Beck pracowała w stołówce, a Eric Hunt, mieszkający w jednym z szeregowców, zajmował się szkolnym ogrodem. Zapytajcie, kogo chcecie, wszyscy wam to powiedzą. Silas Quinney został wychowany na porządnego człowieka.

Owen nienawdził teraz szkoły z całego serca, ale większość mieszkańców Avery nie mogła sobie na to pozwolić. Gdyby nie powstała tuż po tym, jak fabrykę guzików przeniesiono na południe, Avery straciłoby rację bytu.

Jednak dla Owena i Anny Avery to przede wszystkim ziemia. No bo gdzie indziej ma się widok nie na jedną, ale dwie góry, z rzeką płynącą w dolinie pośrodku? Gleba nie jest tu skalista, jak w New Hampshire, ani porośnięta zwartym, ciemnym lasem, jak w Maine. Większość drzew wokół Avery to żółte i czerwone klony, które latem przepuszczają światło, jesienią zaś stroją się w odcienie różu i złota. Bobby Peet wspomniał kiedyś, że połowę swego rocznego dochodu zawdzięcza jesiennym turystom, zjeżdżającym tu tłumnie w pierwszych dwóch tygodniach października. Dawniej Owen lubił spacerować ścieżką, gdy zachodzące słońce sączyło się oslepiającym wachlarzem przez konary. W dni takie jak ten już samo oddychanie rześkim, krystalicznym powietrzem dawało mu poczucie, że jest zdrow jak ryba. Łowił w nozdrza aromat ogniska pomieszany ze ściółką i czymś jeszcze, może woskiem albo dynią.

Silas zawsze garnął się do roboty. Kiedyś, gdy Anna i Owen pojechali do Kanady w poszukiwaniu owcy do rozrodu i został

sam, musiał asystować przy narodzinach czternaściorga prosiąt, bez niczyjej pomocy. Anna i Owen nie sądzili, że poród nastąpi tak szybko, w przeciwnym razie nigdy by go nie zostawili. Było zimno jak diabli i padał deszcz ze śniegiem. Silas zadzwonił do Owena. „Co mam robić?” - spytał, na co Owen kazał mu wyłapać prosięta i dopilnować, żeby maciora ich nie przygniotła. Wyobraził sobie, jak Silas na czworakach goni tych śliskich łapserdaków, opędzając się przy tym od maciory, która próbuje go ugryźć. Chłopak miał wtedy zaledwie szesnaście lat. Ta maciora to był kawał cholery, a przy porodzie to już kompletnie padało jej na mózg. Silas uratował wtedy dwanaście spośród czternastu prosiaków, czyli nieźle. Po powrocie do domu Owen i Anna zastali go w chlewie, całego we krwi i śluzie, z zadowolonym uśmiechem na twarzy. Owen doskonale znał to uczucie.

Silas miał rysy Owena, ale nie był do niego za bardzo podobny. Owen i Anna dobrze go wychowali. Możecie spytać, kogo chcecie, wszyscy w mieście wam to powiedzą.

Owen nie był stuprocentowo pewien, jak doszło do tej całej afery, ale miał na ten temat swoją teorię. Sumienie nie pozwalało mu obwiniać dziewczyny, ale czasem aż go język świerzbiał.

Opowiedział to wszystko młodej pani naukowiec z Uniwersytetu Vermontu. Była to ruchliwa osóbką o rudych włosach, bardzo taktowna. O nic nie wypytywała. Czekwała, aż Owen sam się rozgada. Nie wiedział, dlaczego zgodził się z nią spotkać. Czuł, że ma coś do powiedzenia, a Anna, jego żona, przestała go słuchać.

Sienna

Lepiej ze mną nie zadzierać, niech tylko ktoś spróbuje. Ten wieczny brak kasy. Masz dolara? Potrzebuję... Patrz, pusto. Same drobnaki zostały. Zmieniłam imię. Sama je wymyśliłam. Kiedyś nazywałam się inaczej, ale Sienna bardziej mi się podoba. Normalnie to była trauma, musieli mnie posłać na terapię, i w ogóle. Ale jak widać, można się wypiąć na dawne życie i zacząć wszystko od nowa. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio myślałam o tym, co się wydarzyło w Vermontcie, serio. To ja byłam ofiarą, ja. Może kiedyś napiszę o tym książkę. Miałam czternaście lat. Prawie piętnaście. Masz ołówkę? Muszę dokończyć matkę. Z gumką? Pójdziemy do miasta, co? Znam fajne miejsce. Musiałam zrobić sobie rok przerwy. Nie cierpię tej koszuli. Nie cierpię fioletu. Jest taki... sama nie wiem, jak to powiedzieć. Ale teraz jest git. Mama mówi, żebym o tym zapomniała, udawała, że to w ogóle nie miało miejsca. Dlaczego? Mnie się pytasz? Zapytaj tamtych. Lubisz Starbucks? Tam przynajmniej można spokojnie pogadać, tutaj nie za bardzo. Jeśli wejdzie moja sublokatorka, dopiero mi się oberwie. Nie wydaje mi się, żebym musiała się tłumaczyć, a ty co myślisz? Nazywają to miejsce szkołą drugiej szansy. Jest tu masa dzieciaków, które próbują wymazać z pamięci to, co robiły. No wiesz, dragi i takie tam. Nie jadłam lunchu, powaga. Na śniadanie nie mogę nic przełknąć, a jeśli opuszczę lunch albo zjem tylko jogurt, na kolację mogę się nawpieprzać, ile wlezie. Cieszę się, że wyjechałam z Vermontu, nawet nie masz pojęcia. Kiedy lecieliśmy do Houston pierwszy

raz, widziałam z góry przełęcz. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozłożył w dole płachtę aksamitu. Widziałam ulice, stadiony i boiska do koszykówki, chmury dryfujące w dole. Rzeczki miały mleczno-zielonkawy odcień. Pomyślałam sobie: Rozpocznę nowe życie. Mogę się stać taką, na przykład, Sienną. Mogę być, kim zechcę. A potem zobaczyłam osiedla wielkich domów z basenami i białe esy-floresy dróg. Myślałam, że szkołę też zobaczę, ale nie zobaczyłam, tylko kościół, cały otoczony zielenią, chociaż ziemia w okolicy jest przeważnie brązowa. Mają tu pierdolca na punkcie religii. W Avery chodziliśmy do kaplicy raz w tygodniu, na wtorkową mszę. Tutaj codziennie modlą się i śpiewają, choć wcale nikt ich do tego nie zmusza. Przez pięć tygodni nie chodziłam do szkoły, a kiedy wreszcie poszłam na parę dni, zaraz patrzyli na mnie wilkiem i nie obeszło się bez pogrózek. Komu oni grożą, mnie? Że niby na to zasługuję? To chyba najdroższa szkoła prywatna w kraju. A co, za szkołę drugiej szansy trzeba nieźle wybulić, nie? W ramach prac społecznych zamieniamy stare ranczo na obóz dla dzieci pokrzywdzonych przez los. Zamieszkają tam gówniarze z terenów zniszczonych przez Katrinę. W Houston są ich całe chmary. Moi rodzice nadal są razem, ta sprawa bardzo ich zbliżyła. Co za ironia. Moja współlokatorka to kompletna kretyńska, mówię ci. Uważa się za... Nastawia sobie budzik, chociaż mogłaby pospać jeszcze godzinę - drrr, drrr, drrr... drrr, drrr, drrr - ja patrzę, a ta na kolana i się modli. Masz pojęcie, jak to jest spać w pokoju, w którym ktoś się modli na głos? Futbol jest tu strasznie popularny. Chciałabym tylko... kiedy już stąd wyjdę... chciałabym zamieszkać w jednym z takich domów z basenem. Albo zostać piosenkarką, jak J. Lo. Tak sobie myślę, że będę po prostu Sienną, to chyba wystarczy.

Mike

Skandal, który wybuchł w styczniu 2006 roku, zrujnował życie paru osobom, w tym Mike'owi, o ile w ogóle można użyć takiego stwierdzenia. Mike osobiście był zwolennikiem teorii, że erozja charakteru to proces raczej żmudny i długotrwały. List od pewnej pani z wydziału kulturoznawstwa na Uniwersytecie Vermontu, z prośbą o rozmowę na temat skandalu w ramach projektu pt. „Alkohol i zachowania nastolatków płci męskiej w szkolnictwie średnim” - list, który Mike postanowił zignorować - obudził w nim nieodpartą chęć przelania własnej historii na papier. Po części pragnął w ten sposób rzucić nowe światło na sprawę powszechnie zmanipulowaną przez media, po części zaś sam nie wiedział, dlaczego zdecydował się na taki krok, chociaż miewał czasami nieznosne przebłyski świadomości na kształt halucynacji tudzież nadciągającej migreny. Owe przebłyski zdawały się wstępem do pełnego objawienia, jak gdyby halucynacje bądź migrena mogły być źródłem wyczerpującej analizy intencji decydentów oraz - co w tym wypadku wydaje się istotniejsze - podać przyczyny działań samego Mike'a.

Mike powrócił do Vermontu po dwudziestodwumiesięcznym wygnaniu, ale nie do Avery, tylko do miasteczka leżącego jakieś sześćdziesiąt pięć kilometrów na południe, niebrzydkiego, acz kompletnie bezpłciowego. Uchodziło za mekkę letników i mogło się poszczycić niezłymi hotelami i znakomitymi restauracjami, świetną księgarnią oraz dyskretnym sąsiedztwem markowych outletów. Wszystko to umożliwiło

Mike'owi wtopienie się w tłum, co cenił sobie obecnie nade wszystko w świecie. Gdyby przyszło mu do głowy osiedlić się, powiedzmy sobie, w środowisku bardziej autentycznym, z miejsca dałby się poznać jako autsajder i na każdym kroku towarzyszyłby mu obstrzał natrętnych spojrzeń. Tymczasem w miejscowości letniskowej mógł być każdym - turystą z Baltimore, emerytem z Providence bądź nowojorczykiem, który szuka okazji u Armaniego. Mógł bez przeszkód przemierzać słynne marmurowe deptaki (zimną obficie posypane solą) i podziwiać dziewiętnastowieczne domy położone wzdłuż zieleni, w krzepiącym poczuciu, że nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Istniało prawdopodobieństwo, że ktoś go rozpozna, w końcu kilkakrotnie udzielił wywiadu dla telewizji. Był mężczyzną średniego wzrostu, miał jasnobrązowe, dawniej blond, włosy i był krótkowidzem, ale natura obdarzyła go głęboko osadzonymi, niebieskimi oczami, które niezawodnie zapadały w pamięć. W zależności od tego, jak się ubrał, mógł uchodzić za agenta nieruchomości, któremu ostatnio nie dopisuje szczęście, lub dyrektora prywatnej szkoły, którą to funkcję pełnił przez blisko dwanaście lat.

Wynajął pokój w największym hotelu w mieście, trzypiętrowej budowli z czasów Federacji. Biała, z zielonymi okiennicami sprawiała wrażenie żywcem wyjętej z Dartmouth. Na najwyższym piętrze znajdowały się dwa wykusze z dużymi oknami wychodzącymi na cztery strony świata, pokoje zaś przypominały szklane pudełka przytwierdzone niebezpiecznie do spadzistego dachu. Tak się złożyło, że Mike zjawił się tu w poniedziałek, kiedy wiele pokoi było wolnych, i zaproponowano mu to jakże atrakcyjne lokum. Nie podejrzewał, że początek opowieści nastarczy mu aż tyle trudu. Najgorzej było z pierwszym zdaniem. Odkrył bowiem, że pierwsze zdanie nie tylko narzuca ton całej opowieści, lecz również determinuje strukturę narracji, toteż kilka fałstartów podziałało na niego wybitnie deprymująco. Koniec końców postanowił obrać rzeczowy styl z wyraźnym „przed” i „potem”, i chcąc wreszcie ruszyć z miejsca, obiecał sobie wytrwać w tej decyzji do samego końca.

Poznał Silasa Quinneya i jego rodzinę w cokolwiek niecodziennych okolicznościach, cztery lata przed wydarzeniem stanowiącym oś jego opowieści. Spędził tamten dzień w Middlebury College, na konferencji dyrektorów szkół średnich. Patrząc wstecz, dochodził do wniosku, że właściwie powinien był wrócić prosto do domu, ponieważ na wieczór zapowiadano marznący deszcz i opady śniegu. Jednak po ostatnim seminarium jakoś nie mógł się zmusić, by wsiąść do brązowego volvo i ruszyć na południe, toteż wybrał się na przechadzkę po Middlebury, pełnym urokliwych kafejek, winiarni i restauracji. Kroczył wąskimi uliczkami z niezwykłym poczuciem wolności, jakiej rzadko doświadczał w swojej pracy. Życie dyrektora szkoły trudno nazwać prywatnym. Prowadził dwa kursy na wydziale historii - na temat francuskiego ruchu oporu podczas drugiej wojny światowej oraz organizacji na rzecz swobód obywatelskich - uczestniczył w zebraniach oraz wszystkich - naprawdę wszystkich - rozgrywkach sportowych, bez względu na poziom drużyny (bo słabszym też trzeba kibicować), i od czasu do czasu jadał obiady w szkolnej stołówce, a jakby tego było mało, mieszkał w domu położonym mniej więcej pośrodku kampusu, w związku z czym każde jego wejście i wyjście z domu stawało się bez mała sprawą publiczną. Mike odkrył, że moralnym obowiązkiem każdego mieszkańca Nowej Anglii jest wieczorne niezastłanie okien, szczególnie na parterze, toteż po zmroku, kiedy on i Meg zapalali światło, byli dosłownie jak na patelni. Nie był pewien co do pochodzenia owego zwyczaju - chociaż skłaniał się ku teorii, iż jest to swoisty relikw siedemnastowiecznej prawości kalwińskiej - lecz to, co dla nowojorczyka uchodziłoby za bez mała dziwactwo, tutaj stanowiło nieodłączny aspekt lokalnego kolorytu. Mike pocieszał się tym, że podczas wieczornych spacerów może bezkarnie zapuszczać żurawia do domów innych ludzi. Istotnie, niezmiernie lubił po zmierzchu chodzić po miasteczku i zaglądać przez szyby, zachodząc w głowę, kim są mieszkańcy danego budynku i co porabiają. I zawsze stwierdzał, że każdy dom korzystniej prezentuje się od zewnątrz, aniżeli od środka. Ba,

czasami żałował nawet, że nie może się wprosić na kieliszek wina przy kominku.

Tamtego wieczora, kiedy poznał Quinneyów, odbył swój rytualny spacer i zjadł kolację (którą popił piwem z miejscowego browaru), a następnie wyruszył z powrotem do Avery, oddalonego od Middlebury o jakąś godzinę drogi na południe. Wbrew wcześniejszym prognozom pogody na drogach było znośnie. Czasem prószył śnieg, ale płatki zdawały się topnieć z chwilą zetknięcia się z asfaltem, toteż wcale się nimi nie przejmował. Pamiętał jednak o zjawisku zwanym czarnym lodem, doskonale znanym wszystkim mieszkańcom północnej Nowej Anglii. Już sama nazwa przyprawiała o drżenie serca tych, którzy mieli z nim do czynienia, czy to pieszo, czy w samochodzie. Nazywano ten lód czarnym z uwagi na sposób, w jaki się pojawiał, a ściśle rzecz biorąc, nie pojawiał się wcale. Wyglądał po prostu jak mokry asfalt bez śladu oblodzenia i dopiero naciśnięcie hamulca bądź próba wejścia w zakręt uświadamiały zdradliwość pozornie niewinnej nawierzchni. Zapowiedź czarnego lodu w jednej chwili wymiatała od stołu wszystkich uczestników uroczystej kolacji, a w ciągu dnia rodzice odbierali swe pociechy ze szkoły godzinę wcześniej.

Kiedyś, gdy wraz z Meg zrobili sobie weekendowy wypad na narty i wynajęli domek na wzgórzu, patrzył, jak jego żona próbuje wycofać się z podjazdu, po czym ześlizguje się bokiem aż na sam dół. Musiała zostawić samochód i wdrapać się poboczem, gdzie zlodowaciały śnieg dawał jako taki punkt oparcia. Niestety, weszła na górę po przeciwnej stronie i przejście przez ulicę do domu groziło ponownym zjazdem w dół. Próbowała się doczołgać, w wyniku czego obróciło ją wokół własnej osi i ześlizgnęła się o jakieś trzy metry. Mike wszedł do domu w poszukiwaniu liny, którą mógłby jej rzucić, ale Meg tymczasem zeszała na dół, przecięła ulicę i wspięła się po właściwej stronie. Upłynęła doba, nim zdołali doholować samochód z powrotem na podjazd.

Tuż przed Avery, kiedy zjeżdżał ze stromej pagórka z prędkością około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, ujrzał

tuż przed sobą samochód i z całej siły nacisnął hamulec. Volvo wpadło w poślizg na czarnym lodzie i koziołkując, wyleciało z drogi, by wreszcie spocząć na dachu z Mikiem uwięzionym w środku. W ten oto sposób los postawił mu na drodze rodzinę Quinneyów.

Samego początku nie pamiętał. Na chwilę stracił przytomność, a kiedy ponownie otworzył oczy, zobaczył życzliwą twarz kobiety, która leżąc na brzuchu wyciągała do niego rękę z zapewnieniem, że pomoc jest już w drodze. Mike dygotał na całym ciele; wiedział, że aby rozpiąć pas, na którym wisiał całym ciężarem, powinien wesprzeć się rękami o sufit, lecz zadanie to wyraźnie go przerosło. W starym modelu volvo nie było wprawdzie poduszki powietrznej, ale pałąk bezpieczeństwa i pasy uratowały Mike'owi życie. Wreszcie nadeszła pomoc w postaci dwóch młodych ratowników, którzy odpięli pas, po czym wyciągnęli Mike'a z samochodu i położyli na noszach. Zabrali go do szpitala rejonowego, gdzie opatrzono jego siniaki i zadrapania, a następnie wykonano prześwietlenie i zawiadomiono Meg. Szczęśliwie zdołał uniknąć poważniejszych kontuzji, samochód zaś trafił do warsztatu (do którego dojechał o własnych siłach) i po rysach oraz wgnieceniach wkrótce nie było ani śladu.

Kilka dni po zdarzeniu, gdy mijał początkowy dyskomfort, Mike pożyczył samochód od Meg i pojechał na miejsce wypadku. Nie znał mieszkańców farmy, której płót staranował, chociaż często mijał ją w drodze na północ. W bezpośrednim sąsiedztwie drogi stał dom z dwuspadowym dachem i werandą, obok której znajdował się garaż, zbudowany na oko przed epoką vana, oraz duża stodoła. Dalej, aż po granicę drzew, ciągnęły się pastwiska. Dookoła domu i stodoły biegł rzeczony płót, za którym widniała sporych rozmiarów dziura w ziemi, nieco dalej zaś stał słupek, wygięty pod nieco dziwnym kątem. Wszystko wskazywało na to, że prócz ogrodzenia Mike zdewastował również skrzynkę na listy.

Przyjechał, żeby przeprosić, chociaż poślizg na czarnym lodzie nie był raczej niczyją winą, no i oczywiście zaproponować pokrycie szkód. Nie był to bynajmniej pusty gest -

Mike liczył się z tym, że właściciele farmy przyjmą jego ofertę z wdzięcznością. Miejscowi farmerzy często z trudem wiązali koniec z końcem.

Jego przyjazd obudził dwa owczarki, które rozszczękały się na całego, zanim jeszcze wypadły zza węgła. Mike wahał się, czy otworzyć drzwi - psy wyglądały na bardzo zdenerwowane - wreszcie uznał jednak, że gdyby były naprawdę groźne, gospodarze chyba trzymaliby je na łańcuchu. Jego podejrzania okazały się słuszne. Psy ucichły z chwilą, gdy otworzył drzwi. Mruczał pod nosem, przezornie usiłując je udobruchać („Hej, malutki, no już dobrze”), po czym ostrożnie przeciął podwórko, na którym ujrzał obręcz do koszykówki zawieszoną nad garażem, deskorolkę ciśniętą w kąt werandy oraz niebieski wszędołaz oparty o ścianę domu. Z miejsca odgadł, że mieszka tu kilkunastoletni chłopiec. Tego dnia nie spotkał Silasa, spotkał natomiast Annę, jego matkę, która stanęła w drzwiach. Od razu rozpoznał w niej kobietę, która trzymała go za rękę, kiedy wisiał głową w dół.

- Przyszedłem podziękować - oznajmił, kiedy już się przedstawił i wszedł do środka. - I zapłacić za szkody.

Oparła dłoń na zapięciu beżowego swetra i Mike bezwiednie skierował wzrok w tamtą stronę. Następnie wskazała mu miejsce przy kuchennym stole.

- Proszę usiąść - zachęciła. Stanęła przy zlewie i przystąpiła do napełniania czajnika. Chciała poczęstować gościa herbatą, ale i zająć ręce.

- Dziękuję - powiedział.

Zdjął rękawiczki i położył je na stole tuż obok błękitnej podkładki, następnie rozpiął płaszcz. Domyślił się, że przerwał Annie Quinney jakieś zajęcie. Ubrana była w dzinsy i sweter, i chyba niedawno brała prysznic, ponieważ jej jasnobrązowe włosy z jednej strony były przyklepane, a z drugiej nieco nastroszone. Miała szerokie biodra i długie nogi, była bardzo zgrabna. Pod beżowym swetrem rysowały się na oko kształtne piersi. O ile się zorientował, była bez makijażu. Oceniał ją na mniej więcej czterdzieści lat.

- Kawa czy herbata? - zapytała.

Domyślił się po czajniku, że chce mu zaproponować kawę sypaną, toteż poprosił o herbatę. Oparła się o blat i skrzyżowała ręce na piersi, w geście obronnym, a zarazem jakby z przyzwyczajenia.

- Jak się pan czuje? - spytała.

- Zadziwiająco dobrze - odpowiedział. - Na szczęście nic sobie nie zламаłem, jestem tylko trochę poobijany. Ale nic mi nie jest. Naprawdę - podkreślił z naciskiem, jakby chciał rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Uśmiechnęła się z ulgą, jak gdyby jego zapewnienia oddaliły od rodziny groźbę ewentualnego procesu.

- Dzwoniliśmy do Gary'ego - poinformowała. Mike wiedział, że chodzi o Gary'ego Quinneya, szefa miejscowej policji, a zarazem brata Owena Quinneya. - Mówił, że nie doznał pan poważniejszych urazów. Kiedy to się stało, byliśmy w kuchni. Huk był taki, jakby samolot się rozbił.

Mike nie pamiętał żadnego huku, no ale w końcu stracił przytomność i co nieco uszło jego uwagi. Nie miał powodu, żeby nie wierzyć Annie Quinney na słowo.

- Silas myślał, że to trzęsienie ziemi - dodała.

- No proszę.

- Silas to nasz syn. Ma czternaście lat.

- Ósma, dziewiąta klasa?

- Ósma - odpowiedziała i wymieniła nazwę lokalnego gimnazjum. - Owen, mój mąż, jest w stodole. Powinien wrócić lada chwila.

To dobrze - pomyślał Mike. O pieniądzach wolał rozmawiać z mężczyzną.

Kuchnia była dość mała. Pośrodku stał okrągły drewniany stół z czterema rattanowymi krzesłami, Mike zajmował jedno z nich. Siedział tak blisko kominka, że prawie mógł go dotknąć. Sądząc po umieszczonym w środku bukietcie suszonych kwiatów, dawno nie rozpalano w nim ognia. Na półce umieszczono kolekcję rękodzieła ludowego: drewnianą choinkę, prymitywny widoczek, będący - jak się później okazało

- dziełem pani domu, oraz blaszaną lampę. Lodówkę, ustawioną na wyciągnięcie jego drugiej ręki, doszczętnie obklejono zdjęciami, wycinkami z gazet, kuponami i magnesami z logo miejscowych firm, widniał tam również obficie zabazgrany kalendarz. Gospodyni nie zdażyła sprzątnąć ze stołu: przy łokciu Mike'a stał biały talerz z okruchami grzanek, na skraju blatu zaś widniał czerwony kleks dżemu. Mimo bałaganu, a może właśnie z jego powodu, pomieszczenie robiło nader przytulne wrażenie.

Zagwizdał czajnik i na progu stanął jak na zawołanie Owen Quinney. Mike wstał i przedstawił się.

- Ach, poznaję pana - oznajmił Quinney, wieszając grubą, kraciastą kurtkę na wieszaku w przedpokoju. Zatarł ręce w oczekiwaniu na posiłek.

Miał ciało farmera, mocne ramiona i nogi, a przy tym nieco zaokrąglony brzuch. Skóra na jego twarzy i dłoniach zaczerwieniła się i popękała dawno temu, ale pod ogorzałą warstwą wciąż znać było przystojnego mężczyznę. Miał gęstą, ciemnobrązową czuprynę, której niejeden by mu pozazdrościł, i Mike z miejsca zwrócił uwagę na jego oczy, brązowe i okolołone siateczką figlarnych zmarszczek. Owen Quinney sprawiał wrażenie człowieka, który mocno stąpa po ziemi, a przy tym nie stroni od żartów.

Odsunął krzesło i usiadł na nim okrakiem, krzyżując ręce na oparciu. Anna sypała do jednego z trzech kubków kakao. Mike domyślił się, że szykuje je dla męża.

- Myśleliśmy, że już po panu - oznajmił gospodarz, ukazując w uśmiechu niewielką szparę między przednimi zębami. Wyglądał na rówieśnika żony i pachniał jak dzikie zwierzę, zimnym powietrzem i, rzecz dziwna, jakby trochę wędzonką. - Wybiegliśmy z Silasem z domu, a tu samochód kołami do góry. Trup, myślę i wołam do Silasa, żeby biegł do domu i wzywał policję. Gary, poczwiwna, przyjechał w te pędy i wyciągnął pana z samochodu. - Świsnął przez zęby. - Taki ładny samochód. - Umilkł na chwilę. - Nie ma nic gorszego niż czarny lód. Nic. Mogę panu powiedzieć, że to była niezła nauczka

dla Silasa. Przestraszył się nie na żarty. Za rok, dwa będzie zdawał na prawo jazdy i lepiej, żeby się bał, niż jeździł jak wariat i rozwalił się na pierwszym drzewie. Gary powie panu to samo. Dwa lata temu niedaleko stąd zginęło pięcioro licealistów. Wypuścili się do Poultney na imprezę. Wpadli w poślizg na górcę i przydzwonili w słup. Jedną dziewczynę znaleźziono na drzewie jakieś trzydzieści metrów dalej. Trzeba ich wystraszyć, inaczej nie pójda po rozum do głowy. Trudno o lepszą naukę niż widok faceta uwięzionego w samochodzie.

- Cieszę się, że pomogłem - odpowiedział Mike, zachodząc w głowę, czy w celach dydaktycznych nie powinien był zginąć na miejscu. Ale w duchu przyznał Owenowi rację. Myśl o uczniach dojeżdżających dzień w dzień samochodami do szkoły nie dawała spokoju całej kadrze Avery.

- Chciałbym pokryć szkody - uzupełnił Mike, przechodząc do celu swojej wizyty. - Zniszczyłem państwu skrzynkę na listy i płot...

- To nie pańska wina - odparł Owen.

- Cóż, i tak, i nie - powiedział Mike. - Niby faktycznie nie zawiniłem, ale to ja wjechałem państwu na podwórko.

- Silas naprawi - skwitował Owen tonem ucinającym dalszą dyskusję w tej sprawie. - Dołożę mu do kieszonkowego, ucieszy się.

- No cóż - odrzekł Mike - to bardzo miło z pana strony. Jeśli jednak zmieni pan zdanie, proszę, oto mój numer telefonu. - I przysunął gospodarzowi swoją wizytówkę.

Owen podniósł biały kartonik i odsunawszy go na odległość ramienia, odczytał treść.

- Tak, Gary wspomniał, że pan z akademii. Dyrektor, tak? - Jego ton nie krył ani niechęci, ani szacunku. Zupełnie jakby powiedział „mleczarz”. Odłożył zamaszycie wizytówkę i sięgnął po kubek kakao. Anna umieściła na wierzchu kopczyk bitej śmietany. Mike podniósł swój kubek, wypił łyk i natychmiast sparzył język. W powietrzu unosiła się woń, której nie umiał określić, jakby orzechowa, z nutą cynamonu. Nie wstając z krzesła, Anna Quinney pochylała się nad piekarnikiem i otworzywszy

drzwiczki, zajrzała do środka, gdzie na blasze spoczywało coś, co wyglądało jak granola. Pasowało mu to do tego domu jak ulał, aż się uśmiechnął pod nosem. I ni stąd, ni zowąd nabrał apetytu na płatki, które jadał bardzo rzadko.

Anna wstała.

- Próbuję namówić Silasa do złożenia wizyty w pańskiej szkole - zaryzykowała.

- Naprawdę? - spytał ze zdziwieniem Mike.

- Jest świetny z plastyki - dodała.

Owen prychnął.

- Świetnie gra w koszykówkę - uściślił.

- W liceum publicznym polikwidowali wszystkie zajęcia plastyczne - dodała Anna.

Sprawiła wrażenie podenerwowanej i Mike nie wiedział, co było przyczyną jej lęku: obecność dyrektora czy może dezaprobatą męża?

- I muzyczne - uzupełniła. - Widzi pan, w niektórych szkołach trzeba za to dopłacać, ale w naszej nie ma nawet takiej możliwości. Brakuje kadry.

- Przykro mi to słyszeć.

- Słyszałam, że w Avery macie świetne zajęcia plastyczne - ciągnęła Anna. - A wasze pracownie należą do najlepszych w całym stanie. - Zerknęła na Owena i ucichła.

- Zagra w szkolnej drużynie, od razu w pierwszej klasie - oświadczył Owen, jakby nie dotarło do niego ani jedno słowo żony. - Miałem już telefon od trenera. Silas jest niski, ale szybki jak błyskawica. Pakuje do kosza jak mało kto.

- Chętnie zobaczyłbym go na boisku - powiedział Mike.

- Grają z drużyną z Avery - wtrąciła Anna.

- I zawsze łożą im skórę - zachichotał Owen.

- Nie wątpię - odparł Mike.

- Tak czy inaczej - dorzucił Owen - słyszałem o pańskiej szkole wiele dobrego. Ale nie wydaje mi się, aby była odpowiednia dla Silasa.

Przy stole zapadła długa cisza, przerwana wreszcie przez Annę.

- Zawsze chciałam ją obejrzeć.
- Zapraszam, kiedy tylko pani czas pozwoli - powiedział Mike.

- Macie stypendia? - zapytała.

- Trzydzieści osiem procent naszych uczniów otrzymuje stypendia różnego rodzaju - zapewnił Mike. Rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. W owych trzydziestu ośmiu procentach mieściła się spora grupa studentów pracujących na terenie kampusu, co dawało im skromne kieszonkowe, którego lwia część zamiast na czesne szła na pizzę i papierosy.

- Można zaprowadzić konia do wodopoju, ale nie można go zmusić do picia - rzucił ni w pięć, ni w dziewięć Owen.

Mike był bardziej zaintrygowany, niż dał po sobie poznać. Jeżeli syn Owena jest faktycznie tak dobry, jak mówią, trzeba będzie pogadać z Vince'em Blountem, trenerem młodszej drużyny koszykarzy. Kto wie, może nawet Blount ma już Silasa na oku. Decyzja o przyjmowaniu miejscowych uczniów miała również charakter polityczny: im więcej mieszkańców czuje się związanych z akademią, tym większe ma ona szanse na zakup gruntów oraz dostosowanie ich do swoich potrzeb. Ostatnio prowadzono rozmowy na temat przejęcia części zaniedbanego parku i przekształcenia jej w kolejne boisko do koszykówki. Przyjęcie do szkoły bratanka Gary'ego Quinneya, szefa policji, to być może wcale niegłupi pomysł.

- Czy Silas dobrze się uczy? - spytał od niechcienia Mike, ostrożnie popijając z kubka. Dmuchał na herbatę, od chwili gdy niefortunnie sparzył się przy pierwszym łyku.

Anna z wahaniem popatrzyła na męża, który siedział ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Dobrze - odpowiedziała cicho.

- Proponuję, żebyśmy zrobili tak - zaczął Mike. - Zapytajcie Silasa, czy nie chciałby obejrzeć szkoły. Zadzwonię za parę dni. Gości zawsze oprowadza któryś z uczniów, dzieciaki mogą się wyluzować, nie boją się zadawać pytań. Oczywiście wy też możecie przyjść - dodał. - Rodzice też powinni się rozejrzeć.

Obmyślił już sobie, kto najlepiej się sprawdzi w roli przewodnika i jaką wyznaczy trasę. Trzeba będzie zacząć od pokazania Silasowi pracowni plastycznych, koniecznie musi też zobaczyć prace uczniów. Następnie Silas i jego rodzice zahaczą o sale gimnastyczne, porozmawiają z Vince'em Blountem, a potem obejrzą Orpin Hall, najładniejszy ze szkolnych budynków. Quinneyowie spotkają się nie tylko z Sarah Grace, odpowiedzialną za rekrutację, ale i z Coggeshallem, prorektorem do spraw uczniowskich. Obchód zakończy się obiadem w szkolnej stołówce, który w wypadku czternastolatków zwykle okazuje się decydujący. Stołówka w Avery przypominała bowiem do złudzenia akademicką kafenię, a serwowane w niej posiłki trafiały w gust nawet najbardziej wybrednych uczniów, którzy mogli przychodzić po dodatkę, ile dusza zapagnie. Wizja żeberka, tacos bądź hamburgera z serem oraz sześciu szklanek mleka i czterech kawałków czekoladowego ciasta na deser skusi każdego nastolatka.

Owen zerknął na żonę i odwrócił wzrok. Wyraz twarzy Anny nie zmienił się ani najotę. Mike wyczuł między nimi napięcie, symptom walki toczącej się od miesięcy, w której kwestia wyboru szkoły stanowiła jedną z wielu kości niezgody w konflikcie znanym wszystkim małżeństwom, a różniącym się tylko szczegółami. Z punktu widzenia Anny Quinney wypadek Mike'a stanowił istne zrzędzenie losu.

Silas

Nie, nie chciałem. Co ja mówię, chciałem. Taka jest prawda. Przez tę jedną, krótką chwilę chciałem, jak nie wiem co. Byłem pijany. Pokój wirował mi przed oczami, grała muzyka, a ja nigdy... nigdy... Odeszłaś. Odeszłaś na zawsze, zawaliłem na całej linii. Było nas sześciu, dwóch wyszło, dlaczego ja zostałem? Dlaczego nie wypowiedziałem twojego imienia, nie pomyślałem o tobie? A tak słyszałem tylko muzykę i gniew. Zawsze byłaś tylko ty, ty i nikt więcej, my, razem. To najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Tylko ty się liczysz. Mogliśmy uciec jak najdalej stąd. Mają to wszystko na taśmie, obejrzysz ją i będziesz cierpiała, a tego nie zniosę. Nie, nie mogę dopuścić, żebyś to zobaczyła. Muszę z tobą pomówić, masz mi obiecać, że nigdy tego nie zrobisz, ale w sumie jakie mam prawo, żeby tego żądać? Byłem tam. Bo chciałem. I nic nie mogę na to poradzić. Będziesz smutna. Przeze mnie.

J. Kropka

W głowie mi się miesza od tego wszystkiego. Na serio. Nie mogę się w tym połapać. Przecież takie rzeczy dzieją się bez przerwy, nie? Normalnie cały czas. Smarkacze się upijają i robią głupie rzeczy. Ot, dla hecy. No... no kurde, no. Ale się porobiło.

Najgorsze, że nie mogę teraz iść do college'u. Wziąłem rok wolnego, muszę przerabiać całą klasę maturalną od nowa i czuję się jak wapniak. A miałem iść do Gonzagi. Grać w koszykówkę.

Z tą koszykówką to był dopiero syf. Syf.

Przez długi czas w ogóle nie mogłem o tym rozmawiać.

Sam nie wiem, czy można człowiekowi skopać życie z powodu jednego głupiego wyskoku. W gazetach nazwali mnie prowodyrem. Nie, bo padnę. Jeśli ktokolwiek był prowodyrem, to na pewno ona. Wiem, jak to brzmi, mój prawnik w ogóle zabronił mi poruszać ten temat, ale taka jest prawda. To był jej pomysł, od początku do końca. Jasne, byliśmy starsi i trzeba było pójść po rozum do głowy, ale urzneliśmy się i... kurde... co tu dużo gadać? Po co ja w ogóle odpowiadam na te durne pytania? Żeby ocalić komuś dupę? Halo, pobudka. Nikogo nie da się już ocalić.

A ta cała afera ze zwolnieniem trenera? Chyba ich pogięło. Gość nie miał z tym nic wspólnego. A że wszyscy graliśmy w kosza? I niby w drużynie panowała zatruta atmosfera, za którą on był odpowiedzialny? Jezu, puknij się w czoło.

Nic z tego nie kapuję. Człowiek zapiernicza przez 364 dni w roku, byle tylko dostać się na dobrą uczelnię. Lekcje, nauka

wieczorami, a do tego jeszcze treningi i rozgrywki w sobotę...
I po co? Wystarczy, że raz zrobi z siebie głupka i będą mu to wypominać do usranej śmierci?

Wszędzie pokazywali moje zdjęcie - w każdej gazecie, w CNN, w wiadomościach lokalnych. Nigdzie nie mogę się ruszyć, żeby ktoś dziwnie na mnie nie spojrział. Czasem faceci potrząsają głowami, jakby mi współczuli, czasem któryś podejdzie nawet i powie: „Przykro mi, stary”. Ale kobiety? Traktują mnie jak śmiecia. Dosłownie.

I to ma być sprawiedliwość?

Za błędy trzeba płacić, to jasne. Pytanie tylko, jak długo?

Matthew

Robiło mu się niedobrze na samą myśl. Ta cała sprawa zrujnowała jego synowi życie. I co, wynikło z tego coś dobrego? Czy było to potrzebne szkole? Z tego, co słyszał, nie wyszło jej to na dobre. A chłopcy, czy rozgłos przyniósł im jakikolwiek pożytek? Trzeba by mieć nie po kolei w głowie, żeby tak myśleć. Podobno jeden kompletnie się załamał. A drugi, jego własny syn, utknął pomiędzy liceum a college'em, bez większych widoków na przyszłość.

James skończył dwadzieścia jeden lat. Przed katastrofą miał grać w koszykówkę w drużynie Uniwersytetu Gonzaga, było nim zainteresowanych wiele szkół. Perspektywy, jakie przed nim roztaczano! Matthew i jego żona pracowali w Middlebury College - Matthew w administracji, Michelle jako wykładowca matematyki - zawsze trzeba było zaciskać pasa, toteż wizja świetlanej przyszłości dla syna jawiła się niczym spełnienie największych marzeń. A teraz co? Guzik z pętelką. Chłopak został z niczym. Nie miał nawet szans na normalne życie.

Matthew był święcie przekonany, że sprawa nigdy nie powinna wyjść poza obręb szkoły, należało ją załatwić inaczej. Po cichu. Nie było żadnej potrzeby, aby ją nagłaśniać. To wszystko wina tej dziewczuchy. Podobno zmieniła nazwisko i przeniosła się do Houston. Nóż mu się w kieszeni otwierał na samą myśl.

W ramach przygotowania do college'u Matthew i Michelle postanowili wysłać Jamesa do Avery, od Middlebury dzieliła ich zaledwie godzina jazdy. Wcześniej uczęszczał do Easton:

ze sportem radził sobie znakomicie, gorzej było z nauką. W Avery musiał zamieszkać w internacie, ale przynajmniej mogli widywać go w weekendy. I widywali. Jezu, Matthew przedstawiał sobie zajęcia, byle tylko przyjeżdżać na popołudniowe mecze w środy i soboty. Nie przegapił chyba ani jednego. Oni sami też dostali za swoje, ucierpiała ich reputacja. Nikt nie powiedział im tego prosto w oczy, ale Matthew wiedział swoje. Z dnia na dzień stali się towarzyskimi znakami zapytania. Teraz i tak było lepiej niż na początku, ale w kampusie byli ludzie, którzy za nic w świecie nie zaprosiliby ich na kolację. Michelle szczególnie cierpiała z tego powodu. Wszyscy zawsze obwiniają matkę, że niby to ona zaważyła sprawę. Matthew nie znał matki lepszej niż Michelle.

Jego zdaniem, w całej sprawie chodziło o to, żeby dziewczyna przeżyła dymanko życia. Chciała pokazać sobie i światu, że jest w tej dziedzinie mistrzynią. Inaczej po co mieliby to nagrywać? James nie musiał nic nikomu pokazywać, i tak był mistrzem. Pozostali chłopcy tak samo.

Tak, panna i ktoś z kamerą mieli solidnie za uszami, bez dwóch zdań.

Matthew nie wiedział, kto nakręcił film. James nie puścił pary z ust i Matthew bardzo go za to szanował.

Na myśl o wypisywanych w prasie głupotach - o szekspirowskim wymiarze sprawy - zbierało mu się na wymioty. Szekspirowski, dobre sobie. Droga do chwały, upadek ze szczytu, bla, bla, bla?

Matthew i Michelle wiedzieli, że w Easton James eksperymentował z alkoholem i narkotykami. Faktycznie miał z tego powodu problemy, wyrzucono go za sprzedaż marihuany. Dlatego on i Michelle woleli mieć syna jak najbliżej domu. Avery zdawało się wymarzonym miejscem. Dali się przekonać, że dodatkowy rok nauki przygotowuje Jamesa do Gonzagi. Miało być tak pięknie.

Zdaniem Matthew, dziewiętnastoletni chłopcy muszą się żyć. Rzecz jasna lepiej, żeby to robili na boisku do koszykówki, ale w końcu dzieciaki żyją pod presją, trzeba przymknąć

oko na sporadyczny wyskok. Po tym, co miał okazję oglądać na własnej uczelni, incydent w szkole prywatnej to kaszka z mlekiem. Bynajmniej nie twierdził, że chłopcy zasługują na aureole, ale naprawdę należało to załatwić w czterech ścianach. Obrońca Jamesa przekonywał, że chłopcy nie mieli pojęcia o kamerze. Że zostali wrobieni. Czy Matthew w to wierzył? Trudno powiedzieć.

Najzabawniejsze było to, że gdyby film był dziełem grupki studentów, nazwano by go happeningiem.

Matthew w życiu nie widział takiej czternastolatki. Diablica - nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Diablica, czyli uwodzicielka. Tak uważał i wcale się z tym nie krył.

James i jego koledzy nie musieli nic nikomu udowadniać. Oni już się wykazali, w koszykówce.

James nie chciał nawet słyszeć o grze. Serce bolało Matthew na samą myśl. James kochał koszykówkę. Żył, żeby grać.

Michelle pokazała mężowi list od kobiety z Uniwersytetu Vermontu. Sam nie wiedział, czy powinni zgodzić się na rozmowę, czy nie. Miał mnóstwo do powiedzenia, a prawnicy działali mu na nerwy.

Michelle

Jeśli to, co powiem, pomoże innej matce, tamten potworny etap naszego życia nie pójdzie na marne.

Przeczuwałam od lat, że Jamesa spotka coś złego. Oczywiście nie mogłam wiedzieć, co się stanie w Avery - ktoś mógłby coś takiego przewidzieć? - ale potem zdałam sobie sprawę, że strach towarzyszył mi od zawsze.

Czasami myślę, że mogłam temu zapobiec. Innym razem wiem na pewno, że to przecież niemożliwe. Bywa też, że natchodzi mnie myśl: Czy coś jest nie tak z Jamesem?

Sę w tym, że zawsze umiał kłamać. Już jako trzynasto-, czternastolatek kłamał jak z nut. Był bystry, czarujący i do rany przyłóż, ale kłamał tak doskonale, że niezawodnie dawałam się nabrać. Był taki przekonujący, skąd mogłam wiedzieć, że nastolatek potrafi tak markować logikę? Wprost nie miał sobie równych, do tego stopnia, że niejednokrotnie wątpiałam we własną inteligencję i spostrzegawczość. Patrzył mi prosto w oczy i podważał wszystko, co uważałam za prawdę. I ustępowałam, zbita z tropu.

Dziś często się zastanawiam: Czy powinnam być wówczas bardziej surowa? A może mniej surowa? Trudno wyrokować, patrząc wstecz. Czy powinnam nie odstępować go ani na krok, kiedy był mały? Zrezygnować z pracy?

Nie daje mi to spokoju.

Kłamstwa zaczęły się w ósmej klasie. Może nawet wcześniej, tylko ja byłam ślepa. Pamiętam dzień, kiedy pojechaliśmy kupić Jamesowi smoking na ślub starszej córki. Odebrałam

go ze szkoły; pamiętam, że gadał jak nakręcony. Pomyślałam sobie: Jaki miły dzień. James rozmawia ze mną jak za dawnych czasów, jedziemy po smoking na ślub Julie. Kiedy jednak dotarliśmy do sklepu, Julie popatrzyła na brata tak znacząco, że musiał odwrócić wzrok. Udawał, że pochłonęła go jakaś marynarka albo spinki do mankietów.

- Paliłeś coś? - zapytała Julie. - Widzę po oczach.

Spojrzałam na syna. Miał przekrwione, lekko wybałuszone oczy. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć? Wydawały się szkliste, jakby łzy miały popłynąć lada chwila.

Może ma zapalenie spojówek - pomyślałam. Może za długo siedział przy komputerze. W drodze powrotnej zapytałam go wprost, co Julie miała na myśli. Odparł, że nie ma zielonego pojęcia. Zatrzymałam samochód.

- Spójrz na mnie - powiedziałam. Spojrzał. Prosto w oczy. Był poirytowany.

- Oglądaliśmy w klasie film - wybuchnął, rozkładając ręce ze złością. - No skąd mam wiedzieć? Długi był. Może dlatego mam czerwone oczy.

Każdy by się nabrał na moim miejscu. Ustąpiłam. Więcej nie poruszyłam tego tematu.

Ale tamten dzień obudził moją czujność.

Zaczęło się od opowieści matek kolegów z gimnazjum. Siódmoklasiści piją, mówią. Ósmoklasiści palą trawkę. Niemożliwe, powtarzałam. Mieszkamy w małym mieście. Mamy wprawdzie college, pewnie dlatego używki są powszechnie dostępne, nawet dla gimnazjalistów. Jednocześnie zauważyłam, iż żadna matka nie dopuszcza do siebie myśli, że sprawa może dotyczyć jej dziecka. James? Niemożliwe.

Wraz z mężem wytyczyliśmy pewne zasady. James miał wracać do domu o określonej porze, przed jedenastą. Musieliśmy wiedzieć z góry, gdzie będzie, a w razie zmiany planów miał informować nas o tym przez komórkę. Szybko zrozumiałam jednak, że nigdy nie jestem pewna miejsca jego pobytu. Zaczęłam go sprawdzać, dzwonić do rodziców kolegów, u których rzekomo miał być. Kiedyś usłyszałam od pewnej matki, że nie

widziała go cały wieczór. W jej głosie usłyszałam zdziwienie i coś na kształt współczucia. Wiedziałam, co sobie myśli: Michelle ma syna, któremu nie może ufać.

Kiedy James wrócił do domu, zapytałam go, gdzie był. Odpowiedział, że tam, gdzie mówił, że będzie. Odparłam, że to niemożliwe, przecież rozmawiałam z matką, na co stwierdził, że siedzieli z kumplami w piwnicy, grali na komputerze. Była ich cała gromada, ośmiu, może dziewięciu. Mama kolegi pewnie nie zwróciła na niego uwagi. Wiedziałam, że to nieprawda. Każda matka wie, kto przychodzi do jej syna. Ale James był taki przekonujący. Wystarczyło popatrzeć mu w oczy, posłuchać, jak mówi, i człowiek wierzył mu na słowo. Zobaczył moje wahanie. Dało mu przewagę, zrobił zbolaną minę. Inne matki nie wydzwanniają po kolegach. Dlaczego ja to robię? Czyżbym mu nie ufała?

Odniosłam wrażenie, że po tym incydencie jego kłamstwa przybrały na sile. Tak, przeczytał lekturę. A przecież wiedziałam, że tego nie zrobił. Tak, odrobił lekcje. Zastanawiałam się kiedy. Już nie mogłam wymagać, żeby się uczył w kuchni; żądał od nas, byśmy pozwolili mu to robić u siebie w pokoju. Przed wejściem do środka musiałam pukać. Pukałam i szybko naciskałam klamkę: siedział przy komputerze, rozmawiając z kolegami przez Internet. Zerkałam mu przez ramię na monitor. Twierdził, że szuka materiałów. Albo sprawdza, co było zadane. Na biurku próżno było szukać otwartej książki.

Czasem próbowałam żartować. Czasem odgrywałam srogą i nieustraszoną. Będę mu szła na rękę, postanawiałam. Będę sędzią i oskarżycielem, myślałam innym razem. Zmienię zasady albo położę uszy po sobie i przeczekam. Albo nie, będę walczyć do upadłego.

Rozmawiałam z mężem, dzieliłam się swymi wątpliwościami. James kłamie i pije. To tylko faza przejściowa, przekonywał mąż. Musi przeciąć pępowinę. Jestem nadopiekuńcza, bez przerwy wierzę mu dziurę w brzuchu. Muszę przestać tyle wymagać, dodał mąż, niech sam się połapie w swoich obowiązkach.

Uznałam, że to rozsądne wyjście.

Nasz syn to dobry dzieciak, dorzucił mąż. Czy kiedykolwiek mieliśmy telefon ze szkoły? Czy dyrektor wzywał nas na rozmowę? Czy ktoś z rodziców kiedykolwiek...?

Wiosną postanowiliśmy wysłać Jamesa do Akademii Easton w północno-wschodnim Connecticut. Od dłuższego czasu zastanawialiśmy się nad szkołą z internatem, nasze miejscowe liceum nie cieszyło się zbyt dobrą opinią. Ale James nieoczekiwanie stanął okoniem. Nigdzie nie pojedzie, oznajmił. Jacy z nas rodzice, że chcemy się go pozbyć z domu?

Prawie dałam za wygraną; nie chciałam, żeby wyjeżdżał. Kochałam go, myśl o rozłące była okropna. Z dała ode mnie przestanie przykładać się do nauki, myślałam. Nie będę wiedziała, co robi w weekendy. Ale potem przyszło mi do głowy, że może Easton wyjdzie mu na dobre. Dyscyplina, jasno wyznaczone zasady... Czyż moja walka nie była już przegrana? Może wszystkim będzie łatwiej, jeśli wyjdzie z domu i sam się odnajdzie?

Wreszcie, po wielkich oporach, James pojechał do Easton i z miejsca uzmysłowił nam naszą pomyłkę. Opuścił się w nauce. Nauczyciele donosili o braku organizacji i lenistwie. O wykretach. Rozmawialiśmy z Jamesem, pojechaliśmy do szkoły. Spotkaliśmy się z nauczycielami i wychowawcą. Nasz syn nabierał minusów za wagary, niewłaściwy strój i palenie papierosów. Kiedy go przyparłam do muru, zarzekał się, że spróbował tylko raz. Chciałam mu wierzyć.

Twierdził, że nie lubi szkoły, nie cierpi nauczycieli. Jego wychowawca był do kitu, a nauczyciel od historii się na niego uwziął.

Tylko trener koszykówki nie szczędził pochwał.

W drugiej klasie urósł piętnaście centymetrów. W trzeciej kolejne pięć. Na boisku do koszykówki nie miał sobie równych. Jest tylko jeden taki na stu. Jeden na tysiąc, mówił trener. Jeden z najlepszych graczy, jacy kiedykolwiek uczęszczali do Easton. James zawsze grał w koszykówkę w miejscowych ligach, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ma taki talent. Nareszcie - pomyślałam. To pomoże mu wyjść na prostą. To go ocali.

Przyjeżdżał do domu, na weekend albo na ferie, i przez kilka godzin zdawał się kimś zupełnie innym, grzecznym, miłym chłopcem. Bardziej dojrzałym, nie tak zmiennym. Rozmawiał z nami, dzielił się pomysłami, planami na przyszłość. Dyskutowaliśmy o koszykówce, o meczach, na które moglibyśmy przyjechać. Byłam taka szczęśliwa. Podjęliśmy słuszną decyzję - myślałam. Wysłanie Jamesa do prywatnej szkoły okazało się jednak dobrym posunięciem. Dojrzeją, uczy się odpowiedzialności. Koszykówka go zmieniała. Nabrał wiary w siebie.

Ale potem James szedł do swojego pokoju i zamykał drzwi. Schodził na posiłki, a później umawiał się z przyjaciółmi. Znowu zaczęły się kłamstwa i odkryłam ze zdumieniem, że nasz syn nie ma sobie równych. Nabrał wprawy, nigdy nie byłam pewna, czy mówi prawdę. Nigdy nie mogłam go przyłapać. Chyłkiem dzwoniłam po ludziach, pod byle pretekstem. „Dlaczego mnie szpiegujesz?” - pytał. Domagał się zgody na późniejsze powroty, raz, a potem kolejny. „Co można robić w mieście po północy?” - pytałam.

Bez przerwy się zamartwiałam. Czułam, że syn się ode mnie oddala. Powoli, ale nieubłaganie.

Ktoregoś wieczora, w czasie przerwy świątecznej w trzeciej klasie, James wrócił do domu pijany. Czekałam na niego w kuchni, w szlafroku. Zastąpiłam mu drogę. „Piłeś” - powiedziałam. Wyczułam to w jego oddechu, z trudem dobywał słowa. Zapierał się w żywe oczy. „Nie piłem” - odpowiedział.

Obudziłam męża, niech przyjdzie i sam zobaczy. Matthew kazał synowi iść do łóżka. Rano porozmawiamy.

Rano James obudził się z potwornym kacem. Na wieść o tym, że ma szlaban, oznajmił, że jest nieszczęśliwy, że zrujnowaliśmy mu życie. Nienawidzi Easton i bardzo mu tam źle.

Teraz widzę, że argument o zrujnowanym życiu był częścią jego genialnej strategii.

Niedługo potem, w styczniu, do Easton przyjechał łowca talentów z Gonzagi, żeby obejrzyć Jamesa. Drużyna wygrywała wówczas każdy mecz. James zdobywał po dwadzieścia, trzydzieści punktów. Powiedziano nam, że to „fenomen”.

Zabranie go z Easton nawet nie wchodziło w grę. Skoro mógł się dostać na Gonzagę i uzyskać pełne stypendium, wyniki w nauce nie miały już takiego znaczenia, prawda?

Oceny wciąż nie napawały optymizmem. James jest obiecującym uczniem, ale się nie stara. Przyszło mi do głowy, że skoro faktycznie ma kłopoty z organizacją, może powinienam była zawczasu posłać go do lekarza? Szybka diagnoza rozwiązałaby wiele problemów.

Za słabo się starałam, myślałam sobie. Trzeba było mu pomóc zamiast siedzieć z założonymi rękami.

Jesienią w ostatniej klasie James został przyjęty do Gonzagi. Perspektywy były oszałamiające. Postanowiliśmy to uczcić. Mąż i ja piliśmy szampana. Matthew zaproponował Jamesowi kieliszek.

A w kwietniu James został wyrzucony z Easton za handel marihuaną na terenie szkoły. Nawet nie próbował zaprzeczać. Powiedział mi, że to był tylko jeden, jedyny raz, chciał pomóc koledze, który desperacko potrzebował pieniędzy. Odpowiedziałam, że mu nie wierzę. Byłam wściekła, mąż mało się nie załamał. Nasz syn zaprzepaścił swoją przyszłość.

Może jednak wszystko da się naprawić, powiedział człowiek od rekrutacji, który zadzwonił do nas na wieść o wyrzuceniu Jamesa. Jeżeli James latem nadrobi zaległości, a potem poświęci rok na kurs przygotowawczy, college nie cofnie swojej oferty.

W pocie czoła szukaliśmy dla syna szkoły prywatnej. Rok szkolny trwał w najlepsze, było za późno na składanie podań. Rozglądaliśmy się za czymś w pobliżu, chcieliśmy mieć go na oku.

Pojechaliśmy do Avery, gdzie przyjęto Jamesa w ciągu tygodnia. Udawali strasznie zaaferowanych jego wyrzuceniem, kazali mu podejść do egzaminu wstępnego, ale tak naprawdę zacierali ręce, że zyskują koszykarza takiej klasy.

Wysialiśmy Jamesa do psychoterapeuty. Oczywiście uważał się za mądrzejszego od specjalisty. Obnosił się ze swoją niechęcią do terapii. Nie wierzył w jej skuteczność, więc jak miała mu pomóc? W lipcu zaczął opuszczać sesje.

Odpuść mu, przekonywał mąż. Przecież nie zmusisz osiemnastolatka, żeby robił to, na co nie ma ochoty.

Latem James pojechał na kilka obozów koszykarskich, które miały go przygotować do nowego roku szkolnego. To będzie rok chwały i odpuszczenia grzechów, wierzyliśmy.

Jesienią zawieźliśmy go do Avery. Przestałam poznawać własnego syna. Był rostry i muskularny, zapuścił brodę. Patrzył na mnie z góry, dosłownie i w przenośni. Przed wyjazdem kazałam mu usiąść i zapewniłam go o swojej miłości. Dopóki jest pod naszą opieką, zawsze będę stała za nim murem.

- Jak sobie pościelesz, tak się wypisz - dodałam.

Dostrzegłam na jego ustach uśmiech. Drwi sobie ze mnie - pomyślałam.

Jesienią pojechaliśmy do Avery i straciłam syna.

Co chcę powiedzieć matkom synów? Coś dręczy tych chłopców, a ja nie wiem, co to może być. Zabierzcie im alkohol. Jeśli podejrzewacie problem, na pewno macie ku temu podstawy. Nie pozwólcie, żeby kłamstwo uszło im płazem, nawet jedno. Bądźcie czujne.

Natalie

Widzę tych dryblasów, jak wchodzą, mało nóg nie połamiają. Jak konie spuszczone z zaprzęgu. Byle szybciej, byle do koryta. Biorą cztery, pięć hamburgerów i proszą o dodatkową porcję frytek, a potem pochłaniają sześć kawałów ciasta. W Avery można jeść, ile dusza zapagnie. Widziałam na własne oczy, jak chłopaki obalają sześć, siedem szklanek mleka. Warzywa? Gdzie tam! Naprawdę nie mam pojęcia, po co zwracamy sobie głowę warzywami. Jedzenie - pierwsza klasa. Mamy bar sałatkowy, automat z mrożonym jogurtem, grill. Zamawiają kanapki, jakie tylko chcą. Mamy wieczory włoskie, meksykańskie. Pożrą wtedy siedem, osiem tacos za jednym posiedzeniem. Znałam tych chłopców od pierwszej klasy. Oprócz J. Kropki. On przyszedł dopiero po czwartej klasie.

Jej nie znałam aż tak dobrze. Dziewczęta nie jedzą. A jeśli już, to ukradkiem. Idą prosto do baru sałatkowego. Stoją za bufetem z przystawkami. Mówię pani, mamy niby wymogi co do stroju, ale te dziewczyny ubierają się jak ladacznice, łążą z gołym pępkiem, a spódnice ledwo im zakrywają pośladki. Naprawdę nie wiem, jakim cudem uczniowie - i męska część kadry - trzymają ręce przy sobie. W końcu to nie Beverly Hills.

Dobrze znałam Silasa i jego rodzinę. Chodziliśmy do tego samego kościoła. Dobrzy katolicy. Rodzina Owena mieszka w Avery od, ho, ho, co najmniej trzech pokoleń. Trudno o lepszą matkę niż Anna. Zawsze wiedziałam, że jeśli poślę tam dzieciaki, będą pod dobrą opieką. Nie to, co w innych domach... gdzie matki lubią sobie popić. Zawsze się takie znajdują.

Lubiłam też Roba. Ten to umiał się zachować, w przeciwieństwie do innych uczniów. Za to J. Kropka był pierwszy do żartów. Urodzona dusza towarzystwa. Zawsze było wiadomo, kto robi najwięcej hałasu.

Gdybym spośród wszystkich uczniów miała wskazać jednego, któremu wpojono odpowiednie wartości, na pewno wybrałabym Silasa.

Nie winię dziewczyny. Winę dziennikarzy. Za to, co zrobili tym chłopakom, mogłabym ich zabić.

Mike

W kwietniu Silas Quinney został przyjęty do Akademii Avery, naukę miał rozpocząć jesienią. Do tego czasu Mike awansował z kuchni Quinneyów do jadalni, tym bardziej że wziął na siebie wszystkie formalności związane z rekrutacją oraz przyznaniem stypendium i co rusz przynosił Owenowi i Annie coś do podpisania. Zdążył też dość dobrze poznać samego Silasa: widzieli się kilkakrotnie i był na jednym z jego meczów. Zgodnie z jego przewidywaniami trener Blount ucieszył się z przyjęcia takiego gracza i koniec końców Mike doszedł do wniosku, że wyświadcza przysługę nie tylko Quinneyom, ale i samej szkole. Uznał to za więcej niż adekwatną rekompensatę za szkody poczynione przez matkę naturę i jego volvo.

Silas wywarł na nim wrażenie spokojnego, myślącego chłopca, obdarzonego tym, co Mike zwykł określać mianem charakteru. Była to cecha, która w ostatnich latach zbyt często przegrywała z tak zwanymi osiągnięciami. Mike nie wiedział, czy przypisywać to pobożnemu wychowaniu chłopca (Quinneyowie byli praktykującymi katolikami). Silas z wyglądu przypominał ojca, chociaż nic nie wskazywało na to, by miał odziedziczyć jego figlarny uśmiech. Zdawał się brać życie na serio (siebie samego może mniej), co czyniło go idealnym kandydatem na licealistę i członka szkolnej reprezentacji koszykówki (prócz niego przyjęto do niej tylko jednego ucznia pierwszej klasy).

Napięty grafik uczniów dawał szkołom prywatnym przewagę nad publicznymi. Lekcje rozpoczynały się o ósmej rano i choć

o drugiej sale świeciły już pustkami, po południu odbywały się zajęcia sportowe, obowiązkowe dla wszystkich uczniów. Dla mieszkańców internatu obowiązkowe były również dwie godziny nauki wieczorem. Wprawdzie Silas nie mieszkał w internacie (w przeciwieństwie do Roba, J. Kropki i dziewczyny), przez większość dni miał zajęcia do wpół do siódmej, po czym musiał poświęcić jeszcze co najmniej trzy godziny na pracę domową. Nauczyciele przykręcali śrubę pierwszoklasistom, aby ich wdrożyć do nauki. Podczas wieczornego obchodu po internacie, między ósmą a dziesiątą wieczorem, Mike zaglądał do otwartych pokoi i widział pierwszaków pogrążonych smętnie nad biurkiem. Niektórzy nawet płakali. Lubił myśleć, że uczniowie Avery są doskonale przygotowani do nauki w college'u, i miał rację: dla wielu z nich pierwszy rok na wyższej uczelni okazywał się lżejszy niż edukacja w liceum.

Silas często podróżował z drużyną, gdyż co najmniej połowa meczów rozgrywała się na wyjeździe. Ponadto co drugi tydzień lekcje odbywały się również w sobotę. Ów iście żołnierski dryl wynikał z przekonania, że należy maksymalnie zapełnić czas mieszkańcom internatu, ale uczniowie dojeżdżający też nie mieli lekko. Anna skarżyła się żartobliwie, że prawie nie widuje syna, ale cieszyła się, że Silas chodzi do Avery. Zaczęła się udzielać w komitecie rodzicielskim, najpierw mimochodem, a następnie już bez najmniejszych zahamowań. Owen szybko przestał kręcić nosem (choć zdaniem Mike'a gotów był zabrać syna z Avery pod byle pretekstem) i szczylił się sukcesami Silasa w koszykówce, nie opuszczając prawie żadnego meczu z jego udziałem. Mike zawsze starał się usiąść albo przystanąć obok i zapytać o zdrowie Anny, jeśli zaś Owen przegapił początek meczu, zrelacjonować mu dotychczasowy przebieg gry, ze szczególnym uwzględnieniem postępów Silasa. Owen nigdy nie chwalił się synem, a gdy ktoś wyrażał się o Silasie z uznaniem, w odpowiedzi lekko kiwał głową. Jednak błysk dumy w jego oczach nie pozostawiał wątpliwości. Mike bardzo mu tego zazdrościł: wprawdzie cieszył się z każdego sukcesu drużyny, ale nigdy nie było mu dane zaznać radości, jaka stała się udziałem Owena Quinneya.

Owen przychodził na mecze w znoszonym kombinezonie i grubej, kraciastej kurtce, przesiąkniętej zapachem owczej wełny. I miał w nosie, czy ktoś weźmie go za abnegata lub prowincjusza. Ba, zapytany o zdanie przyznałby się raczej do poczucia wyższości nad pozostałymi rodzicami - z których wielu przyjeżdżało na mecze z bardzo daleka - ponieważ, no cóż, leżało ono w naturze rodowitego mieszkańca Vermontu. Po meczu Owen i Anna zapraszali czasem Meg i Mike'a na kolację, ale tak się dziwnie składało, że Meg nigdy nie towarzyszyła mężowi podczas wizyt u Quinneyów. Zwykle działo się tak za sprawą zbiegu okoliczności - miała zajęcia popołudniowe, które przeciągały się do wieczora - po części czuła jednak, że Quinneyowie to działka Mike'a, Meg zaś nie lubiła brać na siebie cudzych obowiązków. Oboje mieli oddzielne sfery wpływu, oddzielny zakres odpowiedzialności.

Anna Quinney była wprost niezrównaną kucharką. Mike'owi szczególnie utkwiły w pamięci jej ciasteczka maślane; prawdę mówiąc, wątpił, by kiedykolwiek miał okazję skosztować czegoś równie pysznego. Jej babka cytrynowa była wprost palce lizać, kurczak zaś - kruchy, soczysty i aromatyczny - był wypieczony do perfekcji. W jadalni panowała wprawdzie ciasnota, ale że domowników było tylko troje, nigdy nie zabrakło krzesła lub dwóch dla niespodziewanych gości. Mike czuł, że Anna lubi się trochę popisać, chociaż skromna była aż do przesady. Nakrywała stół błękitnym obrusem, podobnym do mat w kuchni. Wystrój jadalni nasuwał Mike'owi wspomnienie babcinych posiłków z dzieciństwa, toteż podczas wizyt u Quinneyów często miał wrażenie podróży w czasie. Dręczył się myślą, że sos przeleje mu się z talerza, ale serwety i obrus zawsze były czyste jak łąza. Posiłki u Anny i Owena miały raczej charakter zwykłej kolacji niż przyjęcia. Gospodarze nigdy nie częstowali winem, dania, choć wyborne, nigdy nie zasługiwały na miano wykwintnych, no i nikt nie przebierał się do stołu. Owen siadał na szczycie, a Anna zajmowała miejsce naprzeciw niego. Silas i Mike też siedzieli naprzeciw siebie, ten pierwszy często jeszcze lekko zaczerwieniony po treningu.

Jesienią i wiosną Mike wpadał niezbyt często, rzadziej bowiem spotykał Owena, zimą jednak zjawiał się nawet dwa razy w miesiącu. W pokoju znajdowało się pojedyncze okno, duży zegar na ścianie wydzwaniał kwadrans, a ustawione na półce bibeloty miały zapewne dla Anny dużą wartość sentymentalną. Na drugiej półce widniała kolekcja kolorowych zdjęć, których lwia część stanowiły fotografie Silasa z dzieciństwa. Owen był urodzonym gawędziarzem o określonym poglądzie na większość tematów, na niektóre zaś miał więcej do powiedzenia niż na inne. Człowiek w Białym Domu doprowadzał go do białej gorączki, a wojna w Iraku do apopleksji. Uważał się za pacyfistę, toteż gdyby jego syn został powołany do wojska, zachęcałby go ze szczerego serca do ucieczki do Kanady. Turyści bawili go co niemiara i chętnie sypał anegdotami na temat głupoty przybyszów spoza stanu. Bez względu na to, który raz opowiadał daną historię, niezmiennie śmieszyła go ona do łez. Podążając za jego przykładem, Mike przytaczał opowieści o wizytach rodziców potencjalnych kandydatów na licealistów, może niezbyt dyplomatyczne w ustach dyrektora, lecz atmosfera jadalni dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Niewątpliwie działało się tak za sprawą swojskiego jedzenia, babcinego obrusa oraz przytulnej przestrzeni, która w innych okolicznościach zapewne przyprawiłaby go o atak klaustrofobii. Uważał, że to prawdziwe szczęście wychować się w takiej rodzinie, nawet jeśli się było jedynakiem.

W opowieściach Owena na temat umiejętności Silasa nie było ani odrobiny przesady. Chłopiec nadrabiał niski wzrost niespotykaną szybkością; przyjemnie było patrzeć, jak zostawia w tyle przeciwników wyższych od siebie niemal dwukrotnie. Kiedy zdarzało mu się zepsuć jakiś rzut, szczególnie taki za trzy punkty, albo gdy jego drużyna przegrywała mecz, Silas zwieszał głowę, jakby poczuwał się do odpowiedzialności za porażkę. Mike nie wierzył, by Owen lub Anna kiedykolwiek podnieśli rękę na chłopaka, lecz niewiele było trzeba, żeby go zawstydzić. Przegrana nie wchodziła w grę i Silas nie potrafił

przejsć nad nią do porządku dziennego, tak jak większość jego kolegów.

Czasem, kiedy spotykali się na terenie kampusu, przystawali, aby zamienić słówko. Mike zadawał pytania, a Silas na nie odpowiadał. Co słysząc u rodziców? Jak zapowiada się sobotni mecz? Jak mu idzie w szkole? W drugiej klasie Anna i Owen wyprawili w domu kolację dla całej drużyny; Mike też był zaproszony. To właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczył ich jadalnię. W trzeciej klasie zaś odbył z Silasem pierwszą poważną rozmowę.

Tak się niefortunnie złożyło, iż dotyczyła ona sprawy związanej z seksem. Otóż po lekcjach przyłapano na parkingu dwóch trzecioklasistów, którzy w szarej hondzie civic palili marihuanę. Ponadto w samochodzie zastano drugoklasistkę, która robiła fellatio jednemu z nich. Całą trójkę, która miała pecha, bo jeden z nauczycieli został dłużej, żeby sobie pobiegać, niezwłocznie zaprowadzono do gabinetu dyrektora. Mike porozmawiał najpierw z chłopcami (za jednym z nich nigdy nie przepadał), a następnie zawiesił obu w prawach ucznia do czasu zwołania komisji dyscyplinarnej. Co do dziewczyny, której imienia nie pamiętał, kazał jej usiąść przy biurku naprzeciw siebie i poddał ją stanowczemu, acz taktownemu przesłuchaniu. Przyjął niesłusznie, że została przez chłopców wykorzystana i że w grę wchodziła transakcja o zgoła podejrzanym charakterze. Dlatego był, delikatnie mówiąc, zszokowany (choć po blisko dwudziestu latach pracy wśród nastolatków niewiele powinno go szokować), kiedy oznajmiła bez ogródek, że przyszła za chłopcami na parking i wprosiła się do samochodu, a następnie ubłagała jednego z nich, aby pozwolił jej zrobić to, na czym przyłapał ją nauczyciel. To, że chłopcy palili skręta, nie miało tutaj, jej zdaniem, nic do rzeczy. Poirytowany tą jakże oczywistą nonszalancją Mike spytał, czy często zdarza jej się chodzić za chłopcami i prosić o seks, na co dziewczyna, tak mu się zdawało, z pewną zadumą odparła:

- Dosyć.

Na pytanie o konkretne nazwiska wymieniła sześciu chłopców, w tym Silasa Quinneya. Mike był tak zdumiony, że powtórzył imię Silasa jak echo.

- Ale z nim w sumie nie wyszło - dodała nie bez kobiecego zażenowania. - Właściwie to nie chciała.

Dziewczyna została zawieszona na cztery dni, po czym podjęła naukę i - o ile go pamięć nie myliła - poszła do Bowdoin. Mike wezwał Silasa do swego gabinetu i w ten oto sposób zamienili więcej niż trzy zdania w otoczeniu innym aniżeli cztery ściany jadalni Quinneyów.

Patrzył, jak Silas zmierza w stronę biurka z torbą przewieszoną przez ramię. Zajął krzesło, na którym tak niedawno siedziała dziewczyna. Sprawiał wrażenie lekko zbitego z tropu i widać było, że ma się na baczności. Nie wiedział, po co Mike kazał mu przyjść, lecz wezwanie do dyrektora rzadko oznaczało dobre wieści. Urósł od czasu, gdy Mike widział go po raz pierwszy, a do tego bardzo zmężniał. Miał gęste włosy ojca, a na jego twarzy widniał cień zarostu, choć zapewne golił się rano lub poprzedniego wieczora. Ubrany był w niebieski sweter z wełny szetlandzkiej, w którym Mike często go widywał, najpewniej zakupiony w Wal-Marcie. Podobnie jak większość rówieśników nosił dżinsy, ale Mike zauważył z ulgą, że przynajmniej nie wiszą mu one na biodrach, odsłaniając gumkę bokserek.

- Co u rodziców? - zagał Mike.

- W porządku - odpowiedział Silas, po czym dodał z grzeczności, jak na dobrze wychowanego chłopca przystało: - Mama chce wrócić do szkoły.

- To wspaniale. A gdzie?

Silas wymienił nazwę miejscowego kolegium.

- Chce zdobyć licencjat z marketingu i otworzyć piekarnię.

- Kto jak kto, ale ona nadaje się do tego najlepiej - skwitował Mike, szczerze ucieszony. - Przydałaby się u nas dobra piekarnia.

Silas kiwnął głową. Zabrakło mu tematów.

- Cóż, zastanawiasz się pewnie, po co kazałem ci przyjść
- przeszedł do sedna Mike. - Otóż zdarzył się pewien incydent.

Mike wymienił nazwisko dziewczyny i podał Silasowi powód, dla którego wezwał go do gabinetu. Twarz chłopca pobladła, przybierając odcień kremowych zasłon.

- Silas? - powiedział z niepokojem Mike.

Silas prawie niezauważalnie potrząsnął głową.

- Silas, przecież o nic cię nie oskarżam.

W ciszy, która zapadła w gabinecie, Mike zdążył odnotować głos Kasi na korytarzu, niepokojący stukot deszczu o szybę (wybierał się po południu na mecz piłki nożnej) oraz płynący zza drzwi aromat kawy z ekspresu.

- Chodzi tylko o to - oznajmił wreszcie - żeby potwierdzić prawdziwość dziewczyny.

Mike zmienił pozycję na krześle. Silas dalej siedział ze wzrokiem wbitym w biurko. Mike nie mógł dociec, o czym myśli: o ewentualnej reakcji matki? O dłoniach dziewczyny na swoim kroczu? O przyszłości w szkole publicznej?

- Spójrz na mnie, Silas.

Silas niechętnie podniósł wzrok. Mike zauważył, że stopa chłopca postukuje wściekle o nogę biurka.

- O nic cię nie oskarżam - powtórzył cierpliwie Mike. - Nie zrobiłeś nic złego. Ściśle rzecz biorąc, miałbyś podstawy, żeby oskarżyć tę dziewczynę o... - słowo „molestowanie” nie przeszło mu przez gardło, wydawało się zbyt drastyczne - nagabywanie - dokończył. - Przyznała, że poszła za tobą i chciała... - znów się zawahał - cię dotknąć. To chyba właściwe określenie.

Silas potrząsnął głową.

- Czy nie tak było? - spytał Mike.

- Tak - odparł cicho Silas. - Właściwie to tak.

- No cóż, bardzo mi przykro - uzupełnił Mike. - Zawiesiłem ją na cztery dni.

Chłopiec ponownie potrząsnął głową, tym razem energicznie.

- Niesłusznie - zaproponował.
- To chyba moja decyzja, prawda?
- Przecież nic się nie stało.

Mike odchylił się na krześle i postukał ołówkiem o blat.

- Czasami - zaczął - uczeń potrzebuje czegoś, co podziała na niego jak zimny prysznic. I przywróci go do pionu. To nie jest odosobniony przypadek. Chcemy za wszelką cenę uniknąć kolejnych.

- To był tylko... - Silas rozłożył ręce.

- Chyba nie musisz mi tego tłumaczyć - dokończył za niego Mike. Zaczął żałować, że w ogóle wezwał Silasa na dywanik. Twarz chłopca nie odzyskała jeszcze normalnego koloru. - Posłuchaj - dodał, wysuwając się do przodu. Ni stąd, ni zowąd nasza go nieodparta chęć na filiżankę kawy. - Nie będę ci stwarzał żadnych problemów. Potrzebowałem wyjaśnień, a ty ich mi udzieliłeś. Gdyby dziewczyna skłamała, podając twoje nazwisko, cóż, musielibyśmy poczynić pewne kroki. Jakiejś pomocy czy coś w tym stylu. Nie żebym uważał, że w tej sytuacji nie potrzebuje pomocy...

Chłopiec znów potrząsnął głową. Jego stopa wciąż podrygiwała bezwiednie.

- Nie wspomnę rodzicom o naszej rozmowie - uzupełnił dyrektor. - Nie ma takiej potrzeby.

Silas poderwał głowę.

- Myśli pan, że tylko o to mi chodzi?

Mike zdumiał się siłą emocji ukrytych za tym pytaniem.

- O to, co powiedzą moi rodzice? - dodał Silas, na wypadek gdyby Mike nie zrozumiał.

- No, nie... - zaczął Mike.

- Pozwoliłem, żeby do tego doszło - podjął Silas. - Kiedy zapukała do okna, siedziałem w samochodzie. Zdziwiłem się, kiedy poprosiła, żebym ją podwiózł, wcale jej nie znałem. Ale zanim wyjechaliśmy z parkingu, ona położyła rękę na moim rozporku. Zatrzymałem samochód i przez chwilę nie reagowałem.

- Silas - powiedział Mike. - Masz szesnaście lat.

- Siedemnaście.
- Nie wątpię, że cię zatkało. Byłeś jak sparaliżowany. W takiej sytuacji każdy chłopiec zachowałby się podobnie.
- Mogłem...
- Co? - spytał Mike. - Zareagować o ułamek sekundy wcześniej?
- Chyba mnie też powinien pan zawiesić - oznajmił żarliwie Silas.
- Nie mogę cię zawiesić, Silasie. Nie mam powodu.
- To niesprawiedliwe. Ona nie wiedziała, co robi.
- Myślę, że jednak wiedziała - odrzekł spokojnie Mike. - Być może nie wie, dlaczego to zrobiła, i mam szczerą nadzieję, że pójdzie po rozum do głowy i wyciągnie odpowiednie wnioski. Może ten... zimny prysznic da jej trochę czasu do namysłu i odczyzy podobnych praktyk, ale jestem przekonany, że doskonale wiedziała, co robi.

Chłopiec wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze. Mike zobaczył z ulgą, że na policzki Silasa wracają rumieńce.

- Nie żebym był masochistą czy coś - stwierdził chłopiec. - Wcale nie chcę się pchać w kłopoty. - Urwał. - Gdybym został zawieszony, tata by mnie zabił i nie mógłbym grać w koszykówkę. - Kolejna pauza. - Po prostu uważam, że zbyt długo się wahałem, że mogłem ją powstrzymać i trochę szybciej się wprosić z samochodu. Ale ja siedziałem jak zaczarowany.

- To nie była twoja wina, Silasie - oświadczył Mike, siląc się na surowy ton. Nie chciał, aby myśl o incydencie stała się obsesją chłopaka lub, co gorsza, zaważyła na jego dalszych losach. Miał być dobrym uczniem, dobrym synem i wybitnym koszykarzem. Koniec i kropka.

Zdziwiony nieoczekiwaną zmianą tonu dyrektora Silas usiadł prosto i położył rękę na torbie z książkami.

- Dokąd teraz idziesz? - spytał Mike.
 - Na chemię - odparł Silas.
 - Mam ci napisać usprawiedliwienie?
 - Nie trzeba, poradzę sobie - odpowiedział, wstając.
- Mike też podniósł się z miejsca.

- Dziękuję, że przyszedłeś - rzucił, jakby gawędzili o zmianie kursu.

Silas kiwnął głową.

- Pozdrów rodziców.

Odprowadził wzrokiem wychodzącego chłopca. Silas szurał nogą zupełnie jak Owen. Przystanął na progu i spojrzął na dyrektora, jakby chciał coś dodać, ale tylko wzruszył ramionami i wyszedł. Po chwili Mike podążył jego śladem i nalał sobie w sekretariacie kubek piekielnie mocnej kawy.

W ciągu kolejnych dni zachodził w głowę, po co w ogóle wezwał Silasa. Czy faktycznie tylko w celu zweryfikowania wersji dziewczyny? Czy było to konieczne? A może z innego powodu: wiedziony ojcowską potrzebą uświadomienia latorośli, że widzi i wie wszystko? Mike wiedział doskonale, że nie jest ojcem Silasa, w razie gdyby jednak, wbrew słowom dziewczyny, chłopak dopuścił się wykroczenia, czy Mike nie zechciałby dać mu dyskretnie do zrozumienia, że o tym wie?

Po ich „rozmowie” w zachowaniu Silasa wobec dyrektora nastąpiła zmiana. Dawniej, kiedy Mike zastawał go w rodzinnym domu przed telewizorem, chłopak wstawał, podchodził do gościa i witał się jak należy, ale teraz wyraźnie się przed tym ociągał. Zupełnie jakby każde spotkanie przypominało mu wymianę zdań w gabinecie, a tym samym incydent w samochodzie. Tak jakby czuli, że obaj myślą o tym samym, toteż wizja dziewczyny z dłonią na rozporoku Silasa wisiała między nimi jak niewidzialna zasłona. I tak Mike przestał zaglądać zbyt często do Quinneyów, rzadziej też witał się z nimi w obecności Silasa, kiedy przychodzili na mecze. Wiedział też, że Silas ma dziewczynę, prześliczną skrzypaczkę o imieniu Noelle, która - jak Mike miał nadzieję - dostanie się do Juilliarda. Avery rzadko miewało równie wybitnych i zasłużonych uczniów (zwanym w branży „trofeami”, gdyż dzięki nim szkoła pozyskiwała rzesze potencjalnych uczniów oraz dotacje; byli na wagę złota, dosłownie i w przenośni) i Mike śledził postępy Noelle z rosnącym entuzjazmem. Nie tak dawno temu, we wrześniu, dała w kaplicy taki koncert,

że uczniowie i nauczyciele zgotowali jej owację na stojąco. Wielu płakało. To była niezwykła chwila.

Noelle była smukłą brunetką o długich włosach i ruchach tancerki. Miała rozbrajający uśmiech. Gdyby Mike był w wieku Silasa, pewnie też by się w niej zakochał. Zdaniem dyrektora, chłopak miał niebywałe szczęście, że zwrócił na siebie jej uwagę. Należało również wspomnieć, że darzył Silasa wielką sympatią i w duchu gratulował Noelle wyboru. Kiedy patrzył, jak ramię w ramię idą przez campus, pogrążeni w rozmowie i roześmiani, przepełniało go uczucie, że sprawy układają się jak należy. Kto powiedział, że nie może się udać, myślał sobie. Przecież są uczniowie pracowici, o silnym charakterze, którzy nie piją i nie biorą narkotyków, a rokują spore nadzieje na przyszłość. Avery pomagało im robić z energii dobry użytek i pilnowało, by nie zesłi na manowce. Ich widok niebezpiecznie usypiał czujność co do kondycji ludzkości.

Noelle

Siedzimy na łożku Silasa. W domu jest cicho. Ma zagraco-ny pokój na poddaszu, z oknem na las. Na drzewach właśnie pojawiły się pączki, czerwienieją wśród soczystej zieleni liści, jak na dziecięcym obrazku. Siedzimy obok siebie, bardzo blisko, ale się nie dotykamy. Jego rodzice pojechali za granicę kanadyjską, żeby poszukać jakiejś owcy. Ciekawe, jak to jest jechać do Kanady po owcę. Silas nic nie mówił, ale domyślam się, że nie byliby zachwyceni, widząc mnie tu w środku dnia. Powinniśmy być w szkole, ale nie jesteśmy.

Silas chce mi pokazać różne rzeczy. Oglądam jego płyty i kolekcję kart z baseballistami. Pokazuje mi kolejkę, którą trzyma pod łożkiem, mówiąc, że to N-series. Nie wiem, co to jest N-series, ale podoba mi się, że lubi kolejki. Widzę zdjęcie, na którym strzyże owcę, na innym asystuje przy narodzinach jagnięcia. Oglądam je długo, nigdy nie widziałam narodzin owieczki. Opowiada mi, jak to jest. On i jego tata przez miesiąc noszą pagery, na wypadek gdyby owca zaczęła rodzić. Jedna osoba nie dałaby rady; mama Silasa, która w okresie wykotów nie rusza się z domu, nie może robić tego sama. Ktoś musi przytrzymywać zwierzę, podczas gdy druga osoba odbiera poród. Owca podołałaby temu zadaniu o własnych siłach, tłumaczy Silas, ale hodowla jest zbyt cenna, żeby pozwolić sobie na wypadek lub niedopatrzenie. To właśnie z tego żyją jego rodzice, z produkcji zdrowych egzemplarzy najwyższego gatunku. Zdarzyło się kiedyś, że pager zadzw-

nił na matematyce, podczas gry w wiffle ball i na klasówce. Nauczyciele to rozumieją. Ich zdaniem to ekstra, mówi Silas, że jest coś ważniejszego od szkoły. Lubi pomagać rodzicom, ale nie chce odziedziczyć farmy. Nigdy nie rozmawiał o tym z tatą otwarcie, ale wie, że ojcu bardzo na tym zależy. Jednak Silas i jego mama mają inne plany. Silas chce złożyć papiery na Uniwersytet Vermontu i do Middlebury College. Prędej dostanie się do tego drugiego, dodaje.

Mówię mu, że chcę iść do Juilliarda, ale pewnie przyjmą mnie do innej szkoły.

Silas pokazuje mi teczkę z rysunkami zwierząt, nad którymi pracował w ciągu trzech lat na różnych zajęciach plastycznych. Są naprawdę niesamowite. Owce, psy, jeże, jelenie i konie, wypisz, wymaluj jak żywe. Mówię Silasowi, że powinien zostać artystą, na co on tylko wzrusza ramionami.

Czuję bijącą od niego treść, jest wręcz namacalna. Ilekroć wstaje, żeby mi coś pokazać, łóżko skrzypi przeraźliwie. Kiedy na zewnątrz rozlega się szczekanie, Silas zrywa się z miejsca i idzie do przedpokoju, żeby wyjrzeć przez okno. Widzę, jak oddycha z ulgą. To tylko listonosz, mówi i wraca do pokoju. Słyszę samochody jadące ze wzgórza w stronę Avery, zza okna dobiega miarowy szum pojazdów. Wszędzie ich pełno, nawet na wsi.

- Więc - mówi Silas.

Jest niski jak na koszykarza, ale silny i barczysty. To widać, jak gra. Kozłuje piłkę, jakby ją okładał ze wszystkich stron. Przez ostatnie dwa tygodnie Silas i ja odnajdujemy się w miejscach, w których dotąd nie zwracaliśmy na siebie uwagi. W korytarzu po lekcjach. Przy wejściu na stołówkę. W holu albo z daleka, kiedy idzie z kolegami, i wiem, że mnie zauważył, chociaż nie

daje nic po sobie poznać. Widzę to po jego postawie. Po tym, jak staje się czujny.

Ma brązowe oczy i wiecznie nastroszone włosy. Nosi czapkę baseballową, zdejmując ją tylko w szkole, bo tak trzeba. Ale wówczas jego włosy nie leżą płasko na głowie, jak u innych chłopców, tylko żyją własnym życiem. Właśnie tak postrzegam Silasa: jako człowieka, który żyje własnym życiem.

Patrzy na mnie, a potem odwraca wzrok. Mamy jeszcze pół godziny; nie wiem, co będziemy robić tutaj, w jego pokoju.

Chcę tego i nie chcę.

On też, chce i nie chce.

Ku mojemu zdziwieniu pyta, czy umiem grać w boggle.

Śmieję się głośno. Nawet się jeszcze nie pocałowaliśmy.

Jestem w szkolnej sali do ćwiczeń. Beznadziejna akustyka, nie wiem, kto urządził tutaj salę do ćwiczeń. Wysoki sufit, ściany wyłożone boazerią, tak jakby kiedyś była tu biblioteka. Kiedy ćwiczę, słyszę mnie na korytarzu, ale co tam. Kiedy ćwiczę, przenoszę się gdzie indziej i czas płynie innym trybem niż na matematyce. Kiedy ćwiczę, liczy się tylko muzyka.

Chowam skrzypce i otwieram drzwi. Silas stoi naprzeciw mnie, oparty o ścianę. Nie udaje, że ogląda wywieszony obraz, nie ucieka spojrzeniem.

- Hej - mówię.

- Hej - odpowiada.

Wyciąga rękę i bierze futerał. Zarzucam torbę z książkami na ramię. Do stołówki jest blisko, nie wzięłam kurtki. Oburącz zgarniam włosy i zarzucam je na plecy. Oboje wiemy, że to oznaka zdenerwowania. W rękach Silasa futerał wydaje się taki mały. Idzie pochylony, lekko rozstawia nogi na boki. Pod zarostem na twarzy widzę krostki. Jeszcze pachnie szamponem Neutrogena.

Dochodzimy do stołówki i stajemy w kolejce. Siadamy przy małym stoliku; wiem, że jego koledzy patrzą na nas i komentują. Mało mnie to obchodzi, ale i tak nie mogę nie przełknąć. Kucharka nałożyła mi stek i tłuczone ziemniaki, chociaż wcale tego nie zamawiałam. Nie lubię mięsa. Kiedy wstaję po szklankę mleka, trzęsą mi się ręce. Biorę głęboki oddech i przyzymkam oczy.

Będzie inaczej. Czuję, jak ogarnia mnie podekscytowanie.

Stoimy przy ceglanej ścianie przed salą gimnastyczną. Czekałam na Silasa przed podwójnymi drzwiami. Nie wiedział, że tam będę, i uśmiechnął się na mój widok. Jest mokry, przed chwilą brał prysznic. Całujemy się po raz pierwszy.

Posuwamy się wzdłuż ściany i znikamy za węglem, z dala od spojrzeń. Czekałam na to chyba przez całą wieczność. Ujmuję dłońmi moją twarz, pachnie szamponem i mydłem. Pocałunki smakują jak popcorn. Depczemy sobie po palcach; początkowo nie wiem, jak stanąć. Silas jest wyższy ode mnie, ale tylko trochę. Oplata mnie ramionami, jest zadziwiająco silny. Odsuwa się i wybucha śmiechem. Oboje jesteśmy zdeenerwowani.

Śmieje się i znowu mnie całuje, tym razem mocniej: musimy iść i chce, żebym dobrze zapamiętała ten pocałunek.

Odsuwamy się od siebie i idziemy na parking. Staję przy jego samochodzie, szuka kluczyków. Samochód jest stary, zardzewiały i poobijany. Tapicerka pachnie psem. Nie robimy żadnych planów, przecież mamy jutro i pojutrze.

- Na razie - mówi i wślizguje się za kierownicę.
- Na razie - odpowiadam.

Ale Silas nie odjeżdża, tylko wysiada z samochodu. Podchodzi i znów mnie całuje, na parkingu przed salą gimnastyczną.

Uczniowie wsiadają do samochodów, rodzice czekają na dzieci. Trener, którego nazwiska nie znam, przechodzi obok i patrzy. Idzie zgarbiony, z rękami w kieszeniach, ale widzę, że uśmiecha się pod nosem. Odsuwam się, żeby złapać oddech.

Silas opiera się o samochód. Chce coś powiedzieć, ale nie wie jak. Pewnie myśli, że trochę się pospieszyliśmy. Chcę mu powiedzieć, że wcale nie.

- Noelle - mówi.

Czekam.

Śmieje się z siebie, po czym odwraca i lekko trąca pięścią bok wozu.

Uśmiecham się; to takie łatwe, takie nieskomplikowane.

Odwraca się, kładzie mi ręce na ramionach i przyciąga bliżej. Jest gorący jak piec. Tym razem mnie nie całuje, tylko trzyma.

- Na razie - mówi. Wsiada do samochodu i zamyka drzwi. Patrzę, jak cofa, skręca i wyjeżdża z parkingu. Czekam, aż mi pomacha. Pochyla się nad kierownicą, żeby lepiej widzieć. Uśmiecham się i też podnoszę rękę.

Biegnę do stołówki. Nie wiem, czy powiedzieć o wszystkim koleżankom, czy nacieszyć się sekretem w samotności.

Po chwili dzwoni telefon. Wyrzebuje go z torby.

- Hej - mówi Silas.

Daryl

Kto pani powiedział, że to byłem ja? Przecież nie pisali o tym w gazetach. I całe szczęście. Kurwa, skoro pani twierdzi, że nie jest dziennikarką, muszę uwierzyć na słowo. Zresztą kogo by to teraz obchodziło, nie?

Taa, sprzedaję gówniarzom alkohol. I co z tego? Mógłbym pokazać pani ośmiu, którzy chętnie zajęliby moje miejsce. Niektórzy uczniowie mają dowody, nie jestem im potrzebny. Kupują lipny towar od jednego gościa z miasta, mniejsza o jego nazwisko. Smarkacze srają szmałem. Mówią starym, że potrzebują dwieście dolców na drobiazgi, i po krzyku. Ja? Zarabiam tyle tygodniowo.

Idą nadęci, że niby co to nie oni. Wszyscy wiedzą, kim jestem i czym się zajmuję, a te siusiumajtki zgrywają wielkich światowców. Skrzynka piwa? Phi, wielkie rzeczy. Ale miny mają, jakby wygrali los na loterii. Albo zaliczyli pierwszą cipkę. Boki zrywać.

Nie, nie znałem tamtych. Nie pytam o nazwiska. Po co miałbym to robić? Żeby sobie popsuć interes? Gówno mnie obchodzi, kim są. Dla mnie mogą być nawet córką samego prezydenta, mam to w nosie. Handluję porządnym towarem, a smarkacze są tak napaleni, że bez mrugnienia okiem płacą dwa razy tyle, co w sklepie.

Siódme wtajemniczenie, pomyślałby kto.

Dziewczyny zjawiają się rzadko, głównie chłopcy. Ale wiem, że też chleją jak złoto, widzę je w parku po imprezach. Rzygają jak koty. Ohyda, nie ma nic gorszego od rzygającej laski. Facet

może być nawet zabawny, ale laska? Zgina się jak scyzoryk, paskudzi sobie włosy. Laska z farfocłami we włosach, aż człowieka skręca na samą myśl.

Handluję też fajkami, ale dragów nie tykam. Od tego są inni. Złapią cię na nielegalnym handlu procentami, obrywasz po łapach. Dragi to inna para kaloszy. Miasto umywa ręce, idziesz do pudła. Masz przejebane.

Siedzę w tym już jakieś pięć, sześć lat. Mieszkam ze starym, wychodzi taniej. Odłożyłem w banku trochę grubszej gotówki. Myślę, żeby się przenieść na Florydę, wynająć domek z paroma kumplami. Osiem patoli zadatku, kolejne osiem na pokrycie wydatków przez pierwsze pół roku. Trza się jakoś urządzić.

Niby dlaczego niemoralne? Moralność nie ma tu nic do rzeczy. Nie kupią ode mnie, kupią od kogoś innego.

Silas

Masz taki słodki uśmiech. Od razu zwróciłem na niego uwagę. Pewnie nie pamiętasz, ale ja tak. Zobaczyłem, jak idziesz przez boisko. Była wiosna, pączki czerwieniały na drzewach, nikt nie nosił płaszcza. Przecięłaś boisko po przekątnej, nie wyczułaś mojego spojrzenia. Zobaczyłem, jak powoli unosisz ręce niczym baletnica. Chyba już wtedy się zakochałem, kiedy tak poruszyłaś rękami. A potem zakochałem się w twoich ustach i uśmiechu. I w tym, jak się śmiałaś, cicho, ale szczerze. Nigdy nie było w tobie cienia fałszu, nigdy nie udawałaś.

Gdybym mógł cofnąć czas, wymazałbym tamten dzień, wieczór. Zostałbym w swoim pokoju i zamknął drzwi na klucz, dopóki złość ze mnie nie wywietrzeje. A potem otworzyłbym drzwi, a ty byś się martwiła. Wiem, że się martwiłaś, bo nie zadzwoniłem ani nie odpowiedziałem na SMS-y, za to też przepraszam. Mama pukałaby do drzwi, a trener wszędzie by mnie szukał, ale w końcu wszystko by się wyjaśniło. A tak zacząłem pić jeszcze przed meczem. Znalazłem w lodówce piwo i wypłem je na śniadanie. Rzuciłem piłkę na trybuny, trafiłem w jakąś kobietę, i tyle mnie widzieli. Myślałem tylko o tym, żeby się upić, teraz, zaraz. Oczywiście to żadne wytłumaczenie, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie i mogę tylko żałować, że nie zostałem w pokoju. Nigdy tego nie zrozumiesz, ja sam tego nie rozumiem, chociaż tam byłem. Byłem tam. Zrobiłem to, co zrobiłem. Ale nie chcę tego pamiętać. Nie, chciałbym to wyciąć ze swojego mózgu. Chciałbym się cofnąć w czasie,

zatrzymać czas i usunąć z przeszłości tamten dzień. I tamten wieczór. Żeby nie zostało po nim ani śladu. Gdyby tylko nie było tej kasety. Gdybym wtedy wrócił do domu. Gdybym tylko nie był tak pijany. I zły.

Nie mogę znieść myśli, że będziesz cierpiała. To dla mnie najgorsze. Już nigdy nie będę mógł na ciebie spojrzeć. Nigdy nie staniemy twarzą w twarz. Nie popatrzymy sobie w oczy.

Lekko poruszałaś rękami, jakbyś zaraz miała zakręcić pirueta. Poczułem to i zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, a ty nic o tym nie wiedziałaś.

Mike

Mike po raz pierwszy ujrzał Akademię Avery pewnego popołudnia, kiedy zamieć oprószyła delikatnie śniegiem zamarznąłą trawę i nagie drzewa wzdłuż długiej alei prowadzącej do celu. Obłoki rozproszyły się na niebie i szkoła objawiła mu się z jasnością, jaka towarzyszy nieoczekiwanym przebłytkom słońca w pochmurny dzień. Musiałyby być naprawdę nieczuły, gdyby owo migotliwe światło odbijające się od granitowych budynków nie wywarło na nim wrażenia, i naturalnie uznał ten widok za bezsprzecznie dobry znak. W tej samej chwili drzwi kilku spośród czteropiętrowych budynków stanęły otworem i na trawnik wysypały się rzesze uczniów w szalikach i rozpiętych kurtkach, którzy w zdumieniu badali własne ślady na cienkiej kołderce śniegu. Paru śmiałków rzuciło śnieżkami, dziewczęta uciekały z piskiem. Była to pierwsza z wielu podobnych scen, dzięki którym pamiętał, że licealiści to dorośli, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z dzieciństwa, co z kolei nasuwało mu pytanie, jak ich kształcić, roztaczając zarazem nad nimi opiekę. Campus zaprojektowano z rozmachem, trzymając się jednego stylu architektonicznego. Dokoła przestronnego dziedzińca, poprzecinanego równymi ścieżkami, wzniesiono tuzin okazałych budynków. Na szczycie schodów niektórych z nich widniały białe kolumny, pozostałe zaś, które słusznie wziął za internaty, wyposażono w okiennice, jak na Nową Anglię przystało. Poza granicami dziedzińca biegingy obsadzone drzewami trawniki; zza nagich gałęzi prześwitywały zarysy pozostałych budynków szkolnych oraz kilku ładnych domów,

z których jeden, jak po cichu liczył Mike, miał niebawem stać się jego własnym.

Postawił samochód przed głównym budynkiem administracyjnym; zastanawiał się, czy nie powinien aby poszukać innego parkingu, gdyż jego volvo było jedynym pojazdem, który maćcił nieskalaną przestrzeń dziedzińca. Ruszył żwawym krokiem w stronę frontowych drzwi, z gorącym pragnieniem olśnienia członków zarządu, których zwołano naprędce z tej okazji. U poprzedniego dyrektora, powszechnie cenionego i lubianego, wykryto niedawno raka trzustki; zostało mu niewiele czasu, w tym ani chwili dla szkoły. Wyprowadził się już z campusu i zamieszkał z siostrą, w Bostonie. Kwestię homoseksualizmu tego tolerancyjnego pięćdziesięciopięcioletka poruszono otwarcie dopiero po jego wyjeździe. Kadra naukowa, równie tolerancyjna jak były pryncypał, w większości zbyła ją machnięciem ręki, ale członkowie zarządu zapewne odetchną z ulgą na wieść o tym, że Mike od pięciu lat żyje w małżeńskim stadle. (Określenie „małżeńskie stadło”, nieodparcie nasuwające wizję stabilizacji i harmonii, kiepsko oddawało naturę kruchych i burzliwych relacji łączących Mike'a i Meg, ale o tym zarząd nie musiał wiedzieć). Jeśli kandydatura Mike'a wzbudzi aprobatę zarządu, miał on objąć funkcję pełniącego obowiązki dyrektora, dopóki Avery nie wpadnie na trop odpowiedniej osoby. Nie było tajemnicą, że kilku prorektorów, w tym Geoff Coggeshall, ostrzy sobie zęby na stołek - Mike dowiedział się o tym przez telefon - miał jednak nadzieję, że będzie mógł nie mieszać się w owe rozgrywki i robić to, co do niego należy, czyli doprowadzić lekko podupadłą na duchu szkołę aż do czerwca i przepchnąć przez egzaminy jak najwięcej czwartoklasistów, których znaczna część nie mogła się poszczycić dobrymi wynikami w nauce. Ponadto miał podjąć zainicjowaną przed rokiem kampanię, mającą na celu zebranie funduszy na budowę nowej hali sportowej i pracowni plastycznej.

Zaproszono go na rozmowę, ponieważ pełnił wówczas funkcję prorektora do spraw uczniów w podobnej, acz nieco

gorszej instytucji w Hartford, w stanie Connecticut, i grono jego najbliższych współpracowników wiedziało, że darzy swoją pracę głęboką niechęcią, zwłaszcza że przyszło mu ją wykonywać w mieście o jednym z najwyższych wskaźników przestępczości w całym kraju. W jego szkole zamykano drzwi na klucz, uczniowie musieli przechodzić przez wykrywacze metalu, a podczas meczu piłki nożnej z inną miejscową drużyną jeden z widzów oberwał nożem. Jednym słowem, miał stresującą pracę w stresującej szkole. Marzył o sielskiej atmosferze prowincjonalnej szkoły prywatnej, a nie mrożącej krew w żyłach rzeczywistości nowojorskiego liceum publicznego. Jakby tego było mało, nauczyciele i prorektorzy zarabiali tyle, co kot napłakał, przez co dzielnica, w której przyszło mu zamieszkać razem z Meg, też nie poprawiała Mike'owi nastroju. (Należy zaznaczyć, że Meg czuła się w ich szkole jak ryba w wodzie i należała do grona najbardziej lubianych nauczycielek: umiała świetnie wytłumaczyć nawet najtrudniejsze reguły matematyczne tym, którzy chcieli jej słuchać, bardziej opornych zaś potrafiła sobie zjednać jak mało kto). Pokrzepiony cokolwiek samolubną otuchą Mike pchnął drzwi, bez reszty oczarowany widokiem pozornie szczęśliwych uczniów i podniecony perspektywą dowodzenia okrętem, który w przeciwieństwie do obecnego miejsca pracy zdawał się spełnieniem jego marzeń o karierze akademickiej.

Pierwsze wrażenie na ogół długo zapada w pamięć, Mike odkrył jednak, że im dłużej to się dzieje, tym bardziej kłóci się z rzeczywistością tego, czego dotyczy. Weźmy na przykład sekretariat, będący sercem części administracyjnej szkoły, czyli siedzibą konsultantów i prorektorów oraz dyrektora i jego asystentki. Było to przestronne pomieszczenie z mozaikową podłogą i śnieżnobiałymi ścianami, obwieszonymi rzędem portretów. Posadzkę zaścielały perskie dywany, po jednej stronie zaś wydzielono specjalny kącik, w którym gość mógł sobie nalać filiżankę kawy bądź poczęstować się jabłkiem lub ciasteczkami. Chodziło o to, aby zrobić wrażenie na rodzicach i potencjalnych sponsorach, ale Mike także nie krył podziwu:

część administracyjna szkoły, z której (symulując chorobę) zwolnił się tego dnia, robiła wrażenie jedynie kratami w oknach, zamontowanymi dla ochrony przed chuliganami.

Jednak Mike odkrył później, że nawet w Avery, gotowym na pierwszy rzut oka przychylić nieba każdemu gościowi, rzekomo perskie dywany są w istocie tanimi reprodukcjami, upstrzonymi w dodatku plamami od kawy i smaru, ciasteczka - masowo produkowane przez szkolną stołówkę - często zalegały na talerzach przez wiele dni, nasuwając Mike'owi myśl, czy nie należałoby ich aby odkurzyć, a portrety, które wzbudziły w nim jakże nabożny szacunek, przedstawiały nie poczet byłych dyrektorów, ale darczyńców. (Wraz z upływem kolejnych lat Mike nabrał żywej awersji do uwiecznionego na jednym z płócien mężczyzny bez podbródka, finansisty i członka szkolnego zarządu, który miał nader przykry zwyczaj publicznego traktowania Mike'a jak jednego ze swych licznych popychadeł z Wall Street. Mike szczególnie nie lubił zwrotu: „I to już”, ponieważ w ustach mężczyzny bez podbródka brzmiał on tak, jakby ten osobiście ukuł go i opatentował).

Pierwsze wrażenie dotyczące pani Górzyńskiej (która niebawem stała się dla Mike'a Kasią) okazało się szczególnie mylące. Kiedy ruszył w jej stronę, pokonując lśniąca połać wypolerowanej posadzki, kobieta uniosła wzrok znad biurka. Okulary, gruba w talii, kiepska ondulacja - nasunęło mu się od razu. Następnie przyszło mu do głowy określenie „matrona”, choć nie było nic bardziej dalekiego od prawdy. Wkrótce miał się dowiedzieć, że pani Górzyńska trzykrotnie wstępowała w związek małżeński i natura obdarzyła ją błyskotliwym poczuciem humoru oraz gardłowym śmiechem, wskazującym na bujne i nader urozmaicone pożycie seksualne. Sarah Grace, koleżanka Mike'a z rekrutacji, mogła opowiadać bez końca o mylnych pierwszych wrażeniach i często przytaczała historie o tym, jak to rzekomo obiecujący młodzieniec o rozumnym spojrzeniu z premedytacją rozpijał młodszych kolegów, a pozornie słodkie dziewczątka notorycznie ściągało z sieci prace semestralne, zdobywając w ten sposób zaliczenia.

Pani Górzyńska poprosiła Mike'a, aby usiadł na chwilę i poczekał. zaproponowała mu rzeczoną kawę i ciastka, ale wymówił się grzecznie, ponieważ pogryzanie herbatników podczas powitania z zarządem byłoby zdecydowanie nie na miejscu. Denerwował się i - będąc z natury fatalistą - nie robił sobie wielkich nadziei, ale pocieszał się myślą, że nawet jeśli nie dostanie pracy, zaliczy przynajmniej miłą wycieczkę do urokliwego zakątka Vermontu, z dala od znienawidzonej szkoły w Hartford, która budziła w nim żywą niechęć i strach. Poza tym te parę chwil spędzonych w Avery nakarmi jego wyobraźnię i podsyci marzenia, motywując go do dalszych poszukiwań.

Na spotkanie wyszedł mu Geoff Coggeshall. Na wstępie zmierzli się wzrokiem, jak dwaj aktorzy ubiegający się o tę samą rolę, co nie uszło uwagi Mike'a. Coggeshall zaprowadził go do położonej z boku sali konferencyjnej. Kiedy Mike wszedł do środka, pięciu członków zarządu (tylko tylu udało się zwołać w trybie natychmiastowym) siedziało wokół owalnego, orzechowego stołu. Skinęli głowami, ale żaden nie ruszył się z miejsca.

Przedstawili Mike'owi zakres obowiązków, a następnie wzięli go w krzyżowy ogień pytań. Co najmniej trzykrotnie usłyszał, że praca ma charakter wyłącznie tymczasowy (zdaniem Mike'a, osoba nadająca się na to stanowisko przyswoiłaby sobie tę informację już za pierwszym razem). Słuchał uważnie, odpowiadał na wszystkie pytania, bezbłędnie wychwytywał niuansy. Uśmiechał się i śmiał, nie szczędził zapewnień. Uprzejmie kiwał głową, sam również zadał kilka celnych pytań i zanim zdążył wrócić tego wieczora do Hartford, robotę miał w kieszeni. Zgodnie z informacją, którą usłyszał z automatycznej sekretarki, w chwili gdy przekroczył próg mieszkania, miał zacząć jak najszybciej. Reakcja żony mówiła sama za siebie: Meg stała metr od telefonu, a na jej twarzy malowała się mieszana zaciekawienia i wściekłości.

Mike tłumaczył się gęsto, bądź co bądź zataił przed żoną wyjazd do Vermontu. Nie ulegało wątpliwości, co go do tego

skłoniło: Meg zapierałaby się nogami i rękami, przekonując, że nie może wyjechać w połowie roku szkolnego, nie ma zamiaru opuszczać szkoły, którą zdążyła bardzo polubić, a poza tym czy Mike nie powinien zostać w szkole, która potrzebuje go znacznie bardziej niż elitarna akademicka? Gdyby wiedział, że Avery odpowie tak szybko - w dodatku telefonicznie - podałyby pani Górczyńskiej tylko numer służbowy i niezwłocznie rozpoczął kampanię mającą na celu roztoczenie przed Meg jej własnych korzyści płynących z przeprowadzki do Vermontu.

Po trzech bardzo trudnych dniach postanowili, że Mike obejmie tymczasowe stanowisko w Avery, ale Meg dokończy rok szkolny w Hartford. W czerwcu, jeśli Mike otrzyma propozycję przedłużenia kontraktu, przemyśla sytuację na nowo. Miał przyjeżdżać do Hartford co drugi weekend (w pozostałe weekendy Meg będzie go odwiedzać w Vermontcie) - nie lada przedsięwzięcie z uwagi na konieczność uczestniczenia w sobotnich meczach, co należało do obowiązków dyrektora. Wydawało mu się wówczas, że rozłąka wyjdzie im na dobre. Meg będzie musiała stawić czoła burzy, jaka rozpęta się po jego odejściu, ale za to będzie mogła odetchnąć w pustym mieszkaniu. Co do Mike'a, zyska okazję, aby spełnić swe odwieczne marzenie, co pochłonie cały jego czas i uwagę.

Mike i Meg poznali się w Hanover, w stanie New Hampshire, na uroczystej kolacji w przeddzień Święta Dziękczynienia, wyprawionej przez jednego z absolwentów podyplomowego kursu w Dartmouth. Była to barwna gromadka, złożona w większości z nauczycieli licealnych, pełnych nadziei na poprawę swego losu i zarobków, resztę zaś stanowiły osoby, które z bliżej nieokreślonych powodów wzbraniały się przed podjęciem studiów doktoranckich. Mike należał do tej drugiej grupy. Kurs oferował szeroki wachlarz specjalizacji, począwszy od seminariów z psychologii rozwojowej, a skończywszy na warsztatach z twórczego pisania. Mike nie umiał jeszcze wtedy gotować, dlatego przyniósł na przyjęcie tylko wino. Meg zjawiła się z niezbyt tradycyjną babką dyniową własnej roboty, która najpierw wzbudziła konsternację gości, a następnie stała się

niekwestionowanym przebojem kolacji. Podobno Meg upiekła ją według przepisu swej babki z Ohio; pomimo niemal zabójczej ilości kwaśnej śmietany i adwokata wszyscy zawsze zajadali się nią po uszy. Meg siedziała przy prowizorycznym stole ze sklejki naprzeciw Mike'a; dzieląca ich odległość i wrzawa panująca w pokoju skutecznie uniemożliwiały rozmowę, ale Mike nie mógł oderwać od niej oczu. Ujęła go jej swoista przebojowość, a zarazem ciepło, wskazujące na seksualny apetyt, który mógł stać się źródłem wielu niespodzianek. W pewnym momencie Meg odwzajemniła spojrzenie, po czym otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się lekko, jakby chciała powiedzieć: „No co?“, po kolacji zaś, kiedy zajął miejsce obok niej, wyraźnie sprawiło jej to przyjemność. Poznał jej imię, kierunek studiów, hobby (siatkówka) oraz zawód (uczyła od trzech lat w liceum publicznym w Lewiston, w stanie Maine). Dowiedział się też - ratując ją przed nadciągającym plackiem świątecznym - że ma umięśnione ramiona, dzięki czemu wbił sobie do głowy, że cała jest twarda i napięta jak struna.

Później tego samego wieczora, zanim i po tym, jak jego przypuszczenia na temat jej seksualności okazały się słuszne, uświadomił sobie również, że jest wyjątkowo niechlujna. Wydawało się to wręcz nieprawdopodobne, ponieważ publicznie sprawiała wrażenie wyjątkowo zadbanej: miała kasztanowe włosy przycięte tuż poniżej linii uszu i gładką twarz o zdrowym połysku. Dzieliła z koleżanką mieszkanie, które wyglądało na dość schludne, dopóki Meg nie otworzyła drzwi do swego pokoju, gdzie nie było ani skrawka wolnej podłogi. Rolę dywanu odgrywała rozrzucona odzież, splątane kable przeróżnych urządzeń elektronicznych oraz notesy z wysypującymi się kartkami. Mike odnotował to wszystko kątem oka, ponieważ Meg ściągała właśnie sweter, odsłaniając błędą połąć smukłych pleców i kierując się w stronę łóżka. Jednak po kilku godzinach świadomość brudu uderzyła Mike'a jak grom, kiedy zjrzał do wanny wypełnionej szarawą cieczą, będącą zapewne pozostałością niezliczonych kąpieli, a widok umywalki umazanej kosmetykami i oblepionej zaschniętą

pastą do zębów oraz strzępami papieru toaletowego mało nie przyprawił go o mdłości.

- Mam problem z kanalizacją - zawołała z pokoju umiarkowanie przejętym tonem. - Od paru tygodni.

Mike skorzystał z toalety, starając się niczego nie dotykać, po czym zapytał, jakim cudem Meg bierze prysznic.

- Eee tam, codziennie trochę spływa - odpowiedziała, demonstrując poszanowanie dla zasobów naturalnych, jakiego pozazdrościłby jej nawet Al Gore. Zniesmaczony, acz całkowicie zaintrygowany ciemnymi sutkami gospodyni, dołączkiem w zagłębieniu biodra oraz dotykiem jedwabistych włosów łonowych na swoim policzku, Mike zachował się, jak na oczarowanego wielbiciela przystało. Obiecał, że wróci z węzłem do przetykania kanalizacji.

Było to nadzwyczaj trudne i niewdzięczne zadanie. Mike doszedł do wniosku, że niechlujstwo Meg zdyskwalifikowałoby ją w oczach każdego zdrowo myślącego mężczyzny. Mężczyzna ten w życiu nie poprosiłby jej pół roku później o rękę, przywróciwszy jej zaśmieconemu lokum pozory względnej czystości. To, że Mike zdecydował się na ów krok, stanowiło jego zdaniem hołd złożony nieustraszonemu wdziękowi Meg bądź jego własnemu przekonaniu, że małżeństwo z nim skieruje ukochaną na właściwą drogę.

(Mike pokochał Meg od chwili, kiedy ujrzał ją za stołem ze sklejki. Co się tyczy Meg, sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Mike odnosił wrażenie, że przystała ona na to małżeństwo, i czasownik ten w pełni odzwierciedlał naturę ich związku oraz jego wewnętrzną dysharmonię. Mike pytał. Meg czasem wyrażała zgodę. A czasem nie. Meg odgrywała w małżeństwie rolę dominującą, co bynajmniej Mike'a nie dziwiło ani nie budziło jego niezadowolenia. Najbardziej dręczyło go to, że czasami może mu owej zgody nie udzielić).

Koniec końców otrzymał stanowisko dyrektora Akademii Avery (na czas nieokreślony). Meg z ociąganiem wprowadziła się do dyrektorskiego domku, czyli świetnej repliki stylu georgiańskiego, wraz z którym otrzymali sprzątaczkę oraz

możliwość korzystania z usług szkolnych kucharzy, co zdu-
siło w zarodku wiele potencjalnych niesnasek. Mike uważał,
że wrósł w swoją funkcję jak żaden z jego poprzedników, a ma-
rzenie i rzeczywistość bycia dyrektorem akademii przełożyły
się na niez mordowaną pasję i lojalność wobec posady, która
jego zdaniem spadła mu z nieba. Szybki triumf zawdzięczał
w dużej mierze nad wyraz hojnej dotacji, pozyskanej dla szkoły
w jego „okresie tymczasowym”: kwota opiewała na cztery
miliony dolarów, a dzięki sprawnej interwencji Mike'a udało
się bezboleśnie przebrnąć przez uciążliwą zwykle zawieruchę
biurokratyczną i pieniądze spoczęły bezpiecznie na koncie
akademii. I chociaż było jasne, że wobec rangi darowizny rola
Mike'a wypadła dość blado, niemniej na jakiś czas przyłgnę-
ła do niego opinia szczęściarza, choć parę osób próbowało
ją zignorować. (Pełne rezerwy, żeby nie powiedzieć surowe
nastawienie zarządu uległo zmianie cztery miesiące po roz-
mowie kwalifikacyjnej, podczas kolacji, która miała miejsce
po serii długotrwałych nowojorskich spotkań zakończonych
przyznaniem owej imponującej dotacji. Pozbawione pod-
bródka nemezis Mike'a zamówiło z tej radości tuzin butelek
szampana, co niezawodnie rozwiązało biesiadnikom języki,
powodując istną beczkę śmiechu oraz szereg gagów, które
na długo zapadły wszystkim w pamięć).

Początkowo Meg twardo obstawała przy pozostaniu w Hart-
ford, jednak podczas wizyty w kampusie (która przypadła
na wyjątkowo pogodny dzień) dała dowód swej ludzkiej -
a przede wszystkim kobiecej - natury. Opuściwszy georgiański
budynek, który począł budzić w niej coś na kształt uznania,
odbyła rekonesans po rozległych terenach zielonych oraz
boiskach, gdzie rozgrywano letnie mecze piłki nożnej i hokeja
na trawie. Z niektórych pagórków rozciągał się widok na Green
Mountains na wschodzie i Adirondacks na zachodzie oraz
na położoną między nimi zaciszną kotlinę: piękno krajobrazu
złagodziło nieco wojowniczą żyłkę Meg i pozwoliło jej zrozu-
mieć, że uczniowie szkoły z internatem mają w zasadzie iden-
tyczne potrzeby jak uczniowie szkoły tradycyjnej i w żadnym

wypadku nie należy ich dyskryminować. A że miała przy tym nauczać rachunku różniczkowego i całkowego na poziomie zaawansowanym i trenować dziewczęcą drużynę siatkówki, sprawa była właściwie przesądzona.

W sierpniu wprowadziła się do Mike'a na dobre. Mike po cichu uznał to za swoje zwycięstwo, choć niebawem miał się przekonać, że Meg w swoim mniemaniu zrobiła mu wielką łaskę, co przejawiało się jej drażliwością, obojętnością na wszystko oraz zawsze gotowym na poczekaniu cynicznym uśmiechem, którym kwitowała to, co uważała za elitarne.

Mike wstał z kanapy z zamiarem wyjęcia kasety z kamery, a następnie wezwania do gabinetu Kasi i Arlene w celu uzyskania od nich informacji na temat jej pochodzenia. Naraz usłyszał szmer otwieranych drzwi frontowych. Lekko spanikował; nie chciał, aby przyłapano go na podłodze z dowodem rzeczowym w rękę. Odłączył kamerę, powyciągał kable i upchnął je pod kanapą. Tymczasem Meg weszła do kuchni i Mike pospieszył jej na spotkanie.

- A ty co tu robisz? - zapytała, stawiając na stole siatkę z zakupami i wypchaną brązową torebkę ze skóry. Najwidoczniej liczyła, że będzie miała dom dla siebie, toteż nie kryła rozczarowania. Torebka miała zepsuty zamek i Mike zobaczył z daleka upchnięty w niej plik wygniecionych klasówek. Bałaganiarstwo Meg przekładało się także na płaszczyznę zawodową, co zdecydowanie nie powinno mieć miejsca. Jego żona wiecznie gubiła długopisy, plany lekcji i kalkulatory, a raz nawet prace egzaminacyjne. Zawsze ostatnia wystawiała oceny. Większość nauczycieli starała się to robić tuż po końcowych egzaminach, tak aby uczniowie mogli pojechać do domu z mglistym choćby pojęciem na temat swego świadectwa. Uczniowie Meg niestety mieli mniej szczęścia i często odbierała w czasie wakacji telefony od nieszczęśników, którzy wciąż nie wiedzieli, czy zaliczyli semestr i uzyskali stopień, który nie przekreślał ich szans na college. Mike odruchowo wzdygał się na wieść o tym, że obiecujący uczeń poprosił Meg o referencje, po-

nieważ rzadko kiedy wywiązywała się z tego zadania na czas. Pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że niedbalstwo jego żony nie przekreśliło niczych szans na studia. I przypominał sobie, że bądź co bądź jest świetną nauczycielką.

Rzadko zjawiał się w domu w środku dnia, w związku z czym pytanie żony wydało mu się w pełni uzasadnione. Wyjąkał mętną wymówkę, która zabrzmiała nieprzekonująco nawet dla jego uszu.

- Zo-zostawiłem listę - powiedział. - Nie widziałaś jej może? Listę sponsorów do corocznego biuletynu?

Meg wyjęła z siatki pierwszy z tuzina beztłuszczowych jogurtów i zmrużyła oczy.

- Jest jeszcze coś - dodał Mike. - Chodzi o... pewną kasetę.

- Z czym?

Meg strząsnęła płaszcz i rzuciła go niefrasobliwie na krzesło. Nie przyszyłoby jej do głowy, żeby go powiesić.

- Zdarzył się incydent - odpowiedział Mike. - Potencjalnie poważny incydent.

Meg odchyliła wieczko opakowania jogurtu i podejrzliwie zbadała jego zawartość.

- Chyba powinnaś to zobaczyć - ciągnął Mike. - To bardzo ważne.

- Skoro tak twierdzisz - odparła.

Kiedy ruszyli korytarzem w stronę pokoju, Mike zaczął żałować, że wepchnął kable pod kanapę. Próbował się wytłumaczyć.

- Nie wiedziałem, kto przyszedł.

- Rozumiem, że ludzie zawsze składają ci we wtorki niezapowiedziane wizyty bez pukania? - spytała ironicznie Meg.

Mike podłączył kable.

- To będzie ostre - uprzedził.

- Co jest na filmie?

- Grupa uczniów - odpowiedział Mike. - Oni... - Urwał, zdziwiony swym zakłopotaniem. Nie był pewien, czy bardziej krępuje go sama sytuacja, czy też raczej jej wyjątkowo śmiały charakter. - Oni uprawiają seks.

- Nasi uczniowie? - zapytała Meg. - Skąd to masz?

- Od Kasi. Dostała kasetę od Arlene. - Mike patrzył, jak Meg formuje jogurt na łyżeczce górną wargą, tworząc coś na kształt erotycznej rzeźby. Wyjątkowo nie czuł się na siłach, żeby to docenić. Meg jadała pięć małych i jeden duży posiłek dziennie (kolację), wspomniany jogurt zaś był według obliczeń Mike'a posiłkiem numer trzy. Beztłuszczowa zawieszina o brzoskwiowym smaku zawierała dokładnie sześćdziesiąt kalorii i Meg delectowała się każdą łyżeczką.

- Zobacz sama - powiedział Mike.

Przewinął kasetę do początku i na ekranie pojawiła się dziewczyna w osobliwym tańcu pomiędzy wysokim chłopcem, który był jeszcze ubrany, i rozebrany chłopcem o bardziej przysadzistej sylwetce. Podczas drugiego seansu - który kosztował go tyle samo trudu, co pierwszy - Mike zwrócił uwagę, że twarze uczestników znajdują się poza zasięgiem wzroku widza. Chłopcy byli widoczni jedynie od ramion w dół, przynajmniej na początku.

- O Boże - powiedziała Meg, opuszczając łyżeczkę. Powiedziała to cicho, jakby mówiła: „Rany Julek”, i Mike zrozumiał, że jego przestrogi bynajmniej nie uzmysłowiły jej faktycznego wymiaru sytuacji.

- O Boże - powtórzyła po chwili.

Nagi chłopiec przywarł ustami do piersi dziewczyny, a drugi za jednym zamachem opuścił spodnie. Głowa dziewczyny zawisła na wysokości jego krocza. Meg zasłoniła ręką usta.

- Zatrzymam - powiedział Mike.

- Nie, czekaj.

Mike raz jeszcze spróbował dociec, gdzie wydarzył się ów incydent - szukał kalendarza na ścianie, otwartego notosu na biurku - ale kamera skakała po całym pokoju i znów ogarnęły go mdłości.

Patrząc na poczynania dziewczyny, słuchali pojękiwań chłopca na łożku.

- Co za ohyda - oznajmiła Meg.

- Młoda, prawda? - zapytał Mike.

- Pierwszoklasistka. Jest w drużynie pitki nożnej.
- Ile ma lat?
- Czternaście, może piętnaście.
- Wiesz może, jak się nazywa?
- Nie.

Meg zsunęła się na krawędź kanapy i wychylona do przodu oparta dłonie na kolanach, nie odrywając oczu od telewizora. Jednak tym razem zamiast bohaterów jej ulubionego serialu na ekranie widniała twarz Silasa Quinneya.

Wreszcie odwróciła się i utkwiała wzrok w mężu.

- Musisz coś z tym zrobić - powiedziała.

Laura

Kiedy pierwszego dnia rodzice przywieźli mnie do szkoły, nie byli zachwyceni moją współlokatorką. Dziwnie się przy nich zachowywała, niby przymilnie, a jednak sztucznie, rozumie pani. Chyba próbowała zrobić na nich wrażenie, zwrócić na siebie ich uwagę. Powiedzmy, że trochę jej nie wyszło; wiem, że chcieli mnie potem przenieść do innego pokoju, ale z uwagi na liczbę pierwszoklasistów nie dało się nic zrobić.

Jadąc do Avery, wiedziałam, że trzeba będzie się dogadywać z masą ludzi, z którymi nie miałam zbyt wiele wspólnego, ale zdawałam sobie sprawę z tego, co mnie czeka, i nawet się na to cieszyłam. Ale ona przeszła moje najśmielsze oczekiwania.

Pierwszego dnia zjawiła się przede mną. Zajęła lepsze łóżko i lepsze biurko. Cóż, można się było tego spodziewać. Chociaż ja na jej miejscu zostawiłabym lepsze dla koleżanki. No, ale to ja. Kiedy weszliśmy do pokoju, na jej łóżku leżała sterta butów i torebek. Nie odróżniam podróbek od oryginałów, ale wszystko wyglądało na bardzo drogie. Słyszałam później, jak mama nazwała je „markowymi”. W Avery nikt nie nosi torebek, w dodatku markowych. Nosimy zwykłe plecaki, i tyle. Moja współlokatorka miała tyle ciuchów, że nie było gdzie upchnąć butów i torebek, więc wcisnęła je pod łóżko, gdzie trzymała słodycze.

Wszyscy trzymamy słodycze pod łóżkiem. Jeśli zostawiamy je na biurku, każdy może się poczęstować. Zapas pod łóżkiem jest nietykalny.

Pierwszego dnia byłam trochę roztrzęsiona, w końcu wcześniej wyjeżdżałam z domu tylko na obóz. A ona zaproponowała mi skręta. No wzięło mnie, dosłownie. W życiu nie paliłam skręta, nawet nie trzymałam go w rękę. Miałam wtedy czternaście lat. Odmówiłam. Zapaliła w pokoju, a ja pomyślałam sobie: No ładnie, wywalą nas na zbity pysk, zanim moi rodzice zdążą wrócić do domu. Nie wiedziałam, co zrobić, więc poszłam na spacer, żeby miała czas wypalić tego skręta.

Następnego ranka, kiedy się obudziłam, moja współlokatorka dostała małego rozumu. Nie wiedziała, w co się ubrać. Zakładała jedną rzecz, po czym zdierała ją z siebie i sięgała po następną. Moim zdaniem we wszystkim wyglądała obłądnie. Była naprawdę prześliczna. Miała długie jasne włosy, duże zielone oczy i idealny nos. Była szczupła, nie wychudzona, ale szczupła. W bluzce na ramiączkach wyglądała bajecznie.

Można powiedzieć, że ubierała się dość seksownie. Niektóre dziewczyny nie muszą się starać, żeby wyglądać sexy, ale ona wkładała w to masę wysiłku. Patrzyłam, jak się ubiera, jak dobiera bieliznę, zakłada krótką spódniczkę albo koronkowy top pod białą koszulę. Przestrzegała zasad, ale naginała je do ostatecznych granic. Wiem, że nie powinno się oceniać nikogo po ubiorze, ale moim zdaniem ona chciała być w ten sposób oceniana. I dlatego zakładała takie, a nie inne ciuchy. Chciała dać ludziom coś do zrozumienia.

Dużo piła jak na pierwszoklasistkę. Chyba pisali o tym w gazetach. To, ile potrafiła w siebie wlać, stanowiło dla niej sprawę honoru. Bez przerwy ją nosiło. Nie interesowali jej ani pierwszo-, ani drugoklasiści. W szkole nie brakuje dziewczyn, które od razu startują do najstarszych chłopaków. Należała do tej grupy. Bezbłędnie wyławiała ich z tłumu. Z J. Kropką było tak samo. Mam na myśli Jamesa Roblesa, który też był zamieszany w całą aferę.

Lubiła uchodzić za głupią blondynkę. Często mówiła o swoich „blond zaćmieniach umysłu”. Ale moim zdaniem była całkiem niegłupia.

Poszłam do Akademii Avery, bo była to najlepsza szkoła, do jakiej mogłam iść. Moi rodzice pochodzą z New Hampshire i są wielkimi zwolennikami edukacji w prywatnych szkołach. Żadne z nich nie chodziło do szkoły publicznej. Początkowo strasznie się buntowałam i ryczałam jak głupia. Ale potem mi przeszło i kiedy teraz jeżdżę do domu i patrzę na naszą szkołę publiczną, która mieści się w jednym budynku, i słucham opowieści o tym, że nauczyciele nie mogą zadawać lektur, bo klasy są zbyt liczne i nie ma kasy na zakup książek, uważam się za skończoną szczęściarę. Wiem, że mam większe szanse, aby dostać się do college'u, a moim nauczycielom naprawdę zależy na tym, żeby nas dobrze przygotować. Mam też masę innych możliwości. Na przykład od razu we wrześniu dostałam się do szkolnej drużyny piłkarskiej. W pierwszej klasie w liceum publicznym mogłabym sobie tylko o tym pomarzyć, byłoby więcej kandydatów niż miejsc w drużynie. W trzeciej pewnie też nie. Kolejna rzecz, którą zawdzięczam Avery. Myślę, że piłka nożna pomoże mi się dostać do lepszego college'u.

Moja współlokatorka trafiła do Avery z tak zwanych zdroworozsądkowych powodów. Jej rodzice mieli furę kasy i sporo podróżowali, w związku z czym nie poświęcali jej zbyt dużo czasu. Często pozostawiano ją samą sobie i moim zdaniem w tym cały problem. Niektóre dzieciaki przychodzą tu z powodu rozvodu rodziców, inne wpadły w tarapaty i rodzice nie wiedzą, co z nimi począć. Mówiła, że jej starzy niezbyt się dogadują i wiecznie drą koty. Widziałam ich tylko raz, kiedy przyjechali na weekend dla rodziców. Wydali mi się całkiem w porządku.

Tamtego wieczora, kiedy nakręcono film, w szkole była dyskoteka. Na dyskoteki chodzi mnóstwo pierwszaków i drugoklasistów, starszych jest mniej, dla nich potańcówki to obciach. W sumie szkoda, że moja klasa przestała się tym interesować, ale kiedyś to było naprawdę coś. Nie miałam pojęcia, ile tam idzie alkoholu, i na początku nie mogłam się nadziwić. Naprawdę nie wiem, na jakim ja świecie żyłam. Niektórzy trzymali zapas na tyłach hali sportowej, można było kupić

puszkę i wypić ją na miejscu. Trzeba było się spieszyć, żeby nie zostać nakrytym. No więc trochę tańczyłeś, pokręciłeś się na zewnątrz, a potem biegłeś, piłeś duszkiem i z powrotem na salę. W miarę upływu czasu dzieciaki były coraz bardziej nawalone. Mówię o pierwszo- i drugorocznikach. Co rusz organizuje się akcje, żeby zniechęcić młodzież do picia. Każda klasa bierze w nich udział, a przynajmniej parę osób z każdej klasy. Ale to do niczego nie prowadzi. Pilnują nas, ale dzieciaki są sprytniejsze. Zawsze coś przemycą.

Tamtego wieczora zaczęła pić jeszcze przed dyskoteką, kiedy się ubierałyśmy. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęła alkohol. Trzymała go pod łóżkiem, razem z zeszytami i słodyczami. Miała takie małe buteleczki, jak w pokojach hotelowych. Szkocką, wódkę i coś tam jeszcze. Poczęstowała mnie kiedyś szampanem z takiej małej buteleczki; był ciepły i rozboliła mnie po nim głowa. Nie wiem, ile buteleczek obaliła przed wyjściem, ale humor miała znakomity. Zastanawiam się, czy znalazłby się ktoś z naszego rocznika, kto mógłby jej dorównać pod względem picia, ale nikt nie przychodzi mi do głowy.

Nie miała kamery. Wiedziałabym o tym na bank, bo pewnie bez przerwy kręciłaby jakieś filmy. Ze sobą w roli głównej, ma się rozumieć.

Wychodząc, miała na sobie dzinsy marki Seven, które przepięknie podkreślają tyłek. I niebieską bluzkę na ramiączkach. Jej lekko opalona skóra połyskiwała w świetle. Nie była szczególnie wysportowana, ale i tak wyglądała super. Na wierzch narzuciła obcisłą, białą kurtkę, coś jak rozpinany sweter. Nic cieplejszego, chociaż był styczeń, mróz i w ogóle. Założyła fantastyczne hipisowskie kolczyki ze srebra, naprawdę duże i wiszące. I srebrne szpilki. Wyglądała bajecznie.

Jonathan

Jeśli chodzi o Roba Leichta, najbardziej pamiętam jego wypracowanie o Faulknerze. Zadanie uczniów polegało na tym, aby na podstawie wybranego fragmentu z „Kiedy umieram” rozwinąć postać danego bohatera lub konkretny wątek. Pamiętam, że nie mogłem doprosić się od Roba planu eseju ani nawet przemyśleń związanych z książką. Zbывał mnie półsłówkami, aż nabrałem podejrzeń, że w ogóle nie przeczytał lektury. Jednak gdy zbliżał się wyznaczony termin, zauważyłem, że przykłada się coraz bardziej, a kilka pytań, które zadał mi pod sam koniec, świadczyło o głębokim zrozumieniu tematu. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy Avery kiedykolwiek widziało bardziej wnikliwego czytelnika niż Rob. Pracuję tu od piętnastu lat i mogę mówić tylko o uczniach, których uczyłem osobiście, myślę jednak, że Rob cieszył się uznaniem całej kadry.

Jego największym problemem była niesystematyczność. W obliczu wyzwania - a myślę, że Brown byłby dla Roba ogromnym wyzwaniem - umiał stanąć na wysokości zadania i zabłysnąć na całej linii. Ale jeśli jego zdaniem materiał okazywał się zbyt łatwy, a nauczyciel nie budził jego sympatii, miał wszystko w nosie i odwalał prace na przysłowiowym kolanie. Wiódł prym w dyskusjach klasowych, co pomogło mu zaliczyć przedmioty, do których wcześniej się nie przykładał. Chyba powinienem zaznaczyć, że byłem promotorem Roba i jego nauczycielem angielskiego w trzeciej klasie.

Wracając do wypracowania o Faulknerze, Rob wybrał najtrudniejszy fragment z powieści, a mianowicie ten, kiedy

głos zabiera matka, Addie Bundren. Znaczenie owego ustępu jest początkowo niejasne i trzeba się porządnie natrudzić, aby pojąć tak nienaturalną, a zarazem kluczową bohaterkę książki. Wypracowanie Roba na długo zapadnie mi w pamięć. Myślę, że niewielu studentów wyższej uczelni stworzyłoby tak dogłębną analizę pojęcia „śmierci za życia”. Było tak, jak gdyby Rob znał Addie Bundren osobiście. Po prostu oniemiałem. Sprawdziłem wszystkie dostępne mi źródła, czy aby nie dopuścił się plagiatu, lecz nie ulegało wątpliwości, że praca była od początku do końca jego dziełem. Wiedziałem, że jest do tego zdolny. Był zwykłym, wesołym chłopakiem, a zarazem krył w sobie refleksyjną, żeby nie powiedzieć mroczną stronę, i myślę, że Addie Bundren przemówiła właśnie do tej części jego natury.

Wypracowanie zdobyło nagrodę literacką w konkursie dla trzecich klas. Reszta uczestników pozostała daleko w tyle.

Byłem jednym z nauczycieli, którzy napisali Robowi listy referencyjne do Browna. I wcale się nie zdziwiłem, kiedy został przyjęty w „trybie natychmiastowym”.

Ale tak jak powiedziałem, Rob nosił w sobie tę drugą, mroczną stronę. Poznałem jego rodziców; zrobili na mnie wrażenie bardzo zwyczajnych, toteż raczej nie należy przypisywać tego wychowaniu. Kto wie, dlaczego ktoś staje się taki jak on. Nie chodzi tu o „mroczność” w sensie, że któregoś dnia Rob miałby wtargnąć do biblioteki z karabinem maszynowym i położyć trupem wszystkich obecnych. Nie, chodzi raczej o nadmiar nihilizmu, jaki rzadko spotykamy u szesnasto-, siedemnastolatków. Pod koniec trzeciej klasy opuścił trochę zajęć, to samo zdarzyło się na początku czwartej. Próbowalem z nim o tym porozmawiać, ale niewiele wskórałem. Dostał kiedyś ostrzeżenie, jednak obyło się bez komisji dyscyplinarnej.

Rob, którego znałem, budził we mnie wielką sympatię. Pewnie widziała pani jego zdjęcie. Wysoki chudzielec z gęstą czupryną ciemnych włosów. Niezbyt przystojny, ale niezwykle ujmujący. Zawsze niecierpliwie wyczekiwałem naszych spotkań. Lubił być traktowany jak dorosły i potrafił się zjeżyć, kiedy

ktos zwracał się do niego protekcyjnie. Nie miał zamiaru pozwolić innym na to. Niektórzy uczniowie nigdy nie osiągają tego typu dojrzałości.

Perspektywa nauki w Brownie cieszyła go niezmiernie. Zadzwoił do mnie chyba od razu, jak się dowiedział, jeszcze brakowało mu tchu. W pełni podzielałem jego entuzjazm. To jeden z powodów, dla których cały incydent przejął mnie taką zgrozą. Nie sposób patrzeć, jak najwybitniejsze i najbardziej błyskotliwe jednostki zmierzają ku samozagładzie.

Naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego Rob zrobił to, co zrobił. On kompletnie nie pasuje mi do tego scenariusza. Nie mogę sobie wyobrazić, że w którymś momencie nie powiedział do siebie lub innych: „To czyste wariactwo”. Często próbuję sobie przypomnieć, jak to jest, kiedy człowiek ma siedemnaście lat. Próbuję postawić się w jego sytuacji.

Jakiś miesiąc po ujawnieniu sprawy usiłowałem się z nim skontaktować, zapewnić o swoim wsparciu. Zadzwoiłem do niego do domu. Słyszałem, jak matka próbuje nakłonić go do rozmowy, ale gdzie tam. Może za bardzo się pospieszyłem.

Sienna

Od razu lepiej. Uwielbiam Starbucks. Chybabym umarła, gdyby go nie było w pobliżu campusu. Zawsze zamawiam duże beztłuszczowe latte bez kofeiny. Mam ochotę na kanapkę. Zjemy na pół? Te panini są super. Z szynką. No dobra, lećmy już z tym koksem. Co jeszcze chce pani wiedzieć? Upili mnie, no. Nie lubię o tym rozmawiać. To krępujące. Ale tu zimnica. Gdybym od razu zgłosiła się do szpitala, pewnie wykryliby u mnie we krwi te środki, które podrzuca się laskom, żeby nie mogły się bronić. Rofatol czy jakoś tak. Założę się, że ze mną było tak samo, no bo przecież ja nigdy... Niech pani na mnie popatrzy. Czy ja wyglądam na taką, która zrobiłaby coś takiego? Tylko szczerze. Przestałam pić. Wiem, czym to grozi. Wpadłam na pomysł, że jeśli mi nie wyjdzie ze studiami, mogłabym prowadzić pogadanki dla dziewcząt, żeby nie dawały się wykorzystać, ale wiem, że rodzice w życiu by mi na to nie pozwolili. Oni wolą o wszystkim zapomnieć. To co z tą kanapką? Nie żebym była głodna, nic z tych rzeczy. Ale warto wyrównać poziom cukru we krwi. Jak pani zamówi przy ladzie, przyniosą do stolika, tutaj tak robią. Trzymałabym buzię na kłódkę, słowo daję, ale w środę rano dyrektor wezwał mnie na dywanik. Boże, zerwałam się bladym świtem, jeszcze zaspana, i nie miałam pojęcia, co pan Bordwin do mnie mówi. Mówi do mnie, że ma kasetę, a ja mu na to: „Jaką znowu kasetę?”. „Kasetę z filmem, na którym w pokoju w internacie odbywasz stosunek z grupą chłopców”. Tak to nazwał. Wtedy ja mu mówię: „O czym pan mi tu, kurwa, opowiada?”. Nie, zdaje się, że nie

powiedziałam „kurwa”. Odpowiedział, że może mi ją włączyć, jeśli chcę, ale ja nie chciałam oglądać żadnego filmu. Dodał, że to poważne wykroczenie i że nie mam jeszcze kłopotów, ale chłopcy wręcz przeciwnie, w związku z czym byłoby dobre, gdybym opowiedziała mu wszystko, co pamiętam. Ten cały pan Bordwin był beznadziejny. Gdybyśmy mieli innego dyrektora, wszystko na pewno potoczyłoby się inaczej. Tak twierdzi mój tata. „Może i byłam w sobotę na imprezie - odpowiedziałam. - Chodzę na mnóstwo imprez i może się zdarzyć, że ktoś usiłuje mnie zmusić do picia. Wypiłam może jedno piwo, a może nie, w sumie nie pamiętam, może ktoś mi czegoś dosypał? Może dlatego nie mogę sobie przypomnieć?”. Pan Bordwin miał takie bardzo niebieskie oczy i trudno było wytrzymać jego spojrzenie, więc powiedziałam, że źle się czuję i powinnam chyba wrócić do pokoju, żeby przemyśleć to, co właśnie usłyszałam, no bo to w końcu nie przelewki. A jak już wszystko przemyślę, od razu dam mu znać. Wyleciałam stamtąd jak z procy, mówię pani. Wróciłam do pokoju, cała zielona ze strachu, w końcu taka taśma może narobić dużo smrodu, nie? Powoli zaczęłam sobie wszystko przypominać, to było naprawdę dziwne. Wreszcie dotarło do mnie, że muszę zadzwonić do rodziców, w przeciwnym razie pan Bordwin mnie wyręczy. Aż dziw, że jeszcze tego nie zrobił. No to zadzwoniłam. Ojciec złapał się za głowę i kazał mi natychmiast zawiadomić policję. A ja mu na to, że wykluczone. Odpowiedział, że muszę, bo to był gwałt, a ja jestem ofiarą i szkoła nie wykręci się od odpowiedzialności. I zadzwonił na policję. Kiedy przyszli do mojego pokoju, spanikowałam. To było takie dziwne i surrealistyczne, wiedziałam, że wszyscy mnie za to znienawidzą. Policjanci powiedzieli, że muszę pojechać do szpitala, takie są przepisy, a ja zrozumiałam, że ojciec miał rację, że to nie żarty i postąpiłam słusznie. Pojechałam do szpitala i opowiedziałam wszystko, co pamiętałam, czyli w sumie niewiele, bo przez cały czas byłam półprzytomna. Nie mam pojęcia, co się ze mną działo tamtego wieczora. W szpitalu wykryli u mnie alkohol, ale mój adwokat obalił ten zarzut, w końcu

od soboty minęły cztery dni, co za różnica? Musiałam się jakoś znieczulić, nie? Takie bycie w centrum uwagi było dla mnie traumatycznym przeżyciem. Oglądałam potem „Oprah” i przyszło mi do głowy, że byłoby fajnie wystąpić w takim programie z innymi dziewczynami w moim wieku i opowiedzieć o tym, jak to chłopacy mogą cię upić i zmusić do robienia rzeczy, jakich normalnie nigdy byś nie zrobiła, a ty jesteś przez cały czas nieprzytomna i nie ponosisz odpowiedzialności za swoje czyny. Bez przerwy się nad tym zastanawiam: skoro nie byłam przytomna, no powiedzmy nie całkiem, to tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło, nie? Coś mi się zdaje, że ta szynka jest trochę śliska. Zjem tylko pół swojej połówki, resztę zostawię na wieczór. To nie będzie za dużo kalorii. Żarcie w tutejszej stołówce jest do dupy, chociaż mają bar sałatkowy i mrożony jogurt, więc mogę sobie pozwolić na kanapkę. Wiosną robi się istny ukrop, można by skonać bez klimatyzacji, ale na szczęście jest. Ta cała obdukcja była ohydna. Właściwie to człowiek staje się ofiarą dwa razy, bo na dokładkę musi znosić potem te wszystkie upokorzenia. Sporo na ten temat czytałam i chyba mogłabym zostać rzecznikiem do spraw pokrzywdzonych dzieci, na przykład w college’u. Nie cierpię tej koszuli. Nie cierpię fioletu. Chyba oddam ją dla bezdomnych. Opowiadałam pani o tym projekcie na rzecz bezdomnych, który mieliśmy w szkole. Będzie dobrze wyglądał w moim podaniu. Ale jeśli nie wyjdzie ze studiami, może spróbuje swoich sił w przemyśle fonograficznym. Przez to wszystko trochę opuściłam się w nauce. Musiałam zmienić szkołę, narobiłam sobie zaległości i nie jest łatwo o tamtym wszystkim zapomnieć, co też odbija się na ocenach. Niby mówią, że rozumieją, ale wciąż wlepiają mi jedynki, co to ma, kurde, znaczyć? Ale wie pani co, tak między nami mówiąc, mogłabym o tym wszystkim napisać takie wypracowanie, że oko by im zbiełało. Promotor doprowadza mnie do szału. Poczytaj o tej szkole, poczytaj o tamtej, człowiek nie ma ani chwili spokoju. Wiem, że pomagają się dostać do college’u i w ogóle, ale to chyba ich obowiązek, nie? Nie rozumiem, dlaczego mam się do nich

przymilać, jak każe moja matka. Twierdzi, że jeśli promotor mnie nie polubi, mam przechlapane. Na szczęście nie mam na koncie wyrzucenia ze szkoły, bo po pierwsze nie zostałam wyrzucona, tylko sama odeszłam, a po drugie oficjalna wersja jest taka, że potrzebowałam zmiany otoczenia, moja alergia przybrała na sile czy coś w tym guście. Serio, kiedy byłam w Avery, naprawdę dobrze się uczyłam. W pierwszym półroczu dostawałam głównie trójki z plusem i czwórki z minusem, czyli znośnie, nie? Byłoby jeszcze lepiej, ale potem się zdarzyła ta cała afera i, no wie pani, to było naprawdę traumatyczne. Cierpię na zespół stresu pourazowego. To chyba też zrobi wrażenie. W moim podaniu.

Noelle

Czekam na Silasa, zaraz skończy trening. Stoję na korytarzu wyłożonym białymi kafelkami, na niebieskiej posadzce, i zaglądam do środka przez zadrutowaną szybę. Większość treningów dobiegła już końca, w powietrzu unosi się zapach przepoconej odzieży. Mam nadzieję, że Silas zaraz wyjdzie, nie chcę się spóźnić na kolację w stołówce.

Grają młodsi chłopcy, Silas jest z nimi. Porusza się jak zwierzę, szybko i z wdziękiem. To pierwszo-, może drugoklasiści; odbijają piłkę. Silas wydaje polecenia i głośno ich dopinguje. Widzę po ich minach, że go lubią. Robią wszystko, o co prosi. Jednemu nie wychodzi rzut, i Silas każe mu powtarzać aż do skutku, wreszcie się uśmiecha. Widzę, że byłby dobrym nauczycielem. Sprawia, że stają się coraz lepsi. Stoję przy zadrutowanym okienku i wyobrażam sobie Silasa po latach, jako trenera w liceum, może nawet w szkole prywatnej. I już wiem, że chłopcy będą go szanować, że w razie czego krzykną, ale i pochwalą. Dziewczęta będą się w nim podkochiwać, ale Silas będzie kochał tylko mnie. Zostanę jego żoną, a on będzie wspomniałym ojcem. Widzę to wszystko, nawet teraz.

Nie jadę do domu na Wielkanoc, za mało czasu, żebyjechać taki kawał. Rodzice Silasa zapraszają mnie na świąteczny obiad. Poznałam jego tatę na meczu koszykówki, ale mamę zobaczę po raz pierwszy. Silas przyjeżdża po mnie do szkoły, ma na sobie koszulę i krawat. Mówi, że był z rodziną w koś-

ciele. Mam ochotę dotknąć jego koszuli i krawata. Kiedy siadam na przednim siedzeniu śmierdzącego samochodu Silasa, uświadamiam sobie, że włożyłam zbyt krótką sukienkę. Zastanawiam się, czy nie pobiec z powrotem do pokoju i nie przebrać się w spodnie i bluzkę, ale Silas już wyjeżdża z parkingu i kieruje się w stronę domu.

W samochodzie marzną mi nogi, mamy wprowadzić Wielkanoc, ale do wiosny daleko. Gdzieś tam leży śnieg, a ja nie włożyłam nawet rajstop. Mam na sobie bawełnianą błękitną sukienkę. Myślałam, że będzie odpowiednia na świąteczny obiad, ale nie jest. Silas wyciąga rękę i kładzie ją na mojej gołej nodze, tuż nad kolanem. Nie wiem, co ma znaczyć ten gest. Chce mnie pocieszyć czy po prostu dotknąć mojej skóry?

Może myślę się co do sukienki, ponieważ mama jest miła i rozmawia ze mną w kuchni. Zabawne, ledwie zdążyliśmy przestąpić próg, a już siedzę w kuchni z kobietami, podczas gdy Silas przechodzi do pokoju, do mężczyzn. Oglądają w telewizji mistrzostwa w golfie. Pani Quinney piecze bułeczki drożdżowe z cynamonem. Nigdy nie znałam osoby, która piekłaby bułeczki drożdżowe z cynamonem. Przygotowała dla mnie koszyk wielkanocny i właśnie mi go wręcza. Nie wiem, co powiedzieć. W mojej rodzinie specjalnie nie obchodzi się Wielkanocy. Nie dostałam takiego koszyka od czasu, kiedy skończyłam osiem lat. W środku, na żółtej słomie z plastiku, znajduję kolorowe czekoladowe jajeczka, które do złudzenia przypominają jajka drożdza, są nawet nakrapiane. Są tam również żelki i ciastka ozdobione jak pisanki. Nie wiem, co powiedzieć. Bez słowa obejmuję panią Quinney. Tak po prostu. Wcale tego nie planowałam. Pani Quinney nie kryje zdziwienia, a potem się uśmiecha. I już się nie denerwuję.

Silas i ja siadamy przy stole naprzeciw siebie. Widzę go ponad świątecznym stroikiem, czyli połyskliwym zajaczkciem

z otworem na kwiaty w grzbiecie. Pewnie posadzono nas oddzielnie, ponieważ nikt nie chce powiedzieć wprost, że jesteśmy parą. Próbuję podtrzymać rozmowę, ale Silas wbija we mnie wzrok. Ilekroć to robi, tracę wątek. Pan Quinney co rusz zerka to na Silasa, to na mnie, jak gdyby głowił się nad jakąś zagadką.

Po obiedzie Silas oznajmia, że idziemy we dwójkę na spacer. Zakładamy płaszcze, a on bierze mnie za rękę, przy rodzicach i wujostwie. Trzymając się za ręce, idziemy przez trawnik, jeszcze trochę zaśnieżony, w stronę ścieżki prowadzącej do zagajnika. Mam na nogach zimowe buty pani Quinney, trochę na mnie za duże. Ślizgają mi się na piętach. Marzną mi gołe nogi. Myślę o butach pani Quinney, które pokonują drogę do owczarni i z powrotem, setki razy.

Wspinamy się na śliską skarpe, Silas prowadzi. Czasami ogląda się na dom. Przez ogołoczone gałęzie widzę jego samochód. Pewnie sprawdza, czy nikt za nami nie idzie, ale wreszcie zaczynam rozumieć, że po prostu próbuje określić moment, kiedy znajdziemy się poza zasięgiem wzroku.

Przystaje na ścieżce i czeka, aż do niego dołączę. Jestem trochę zdyszana. Śmieje się i mówi, że nie mam kondycji. Obejmuje mnie i przyciąga bliżej. A potem mnie całuje. Najpierw pocałunki są mocne i trochę chaotyczne, wreszcie zwalniają tempo, stają się ciepłe i łapczywe. Też jestem łapczywa. Dotyk piersi Silasa, jego ładnej białej koszuli. Wsuwa mi rękę pod płaszcz, ich żar przenika przez ciekłą tkaninę sukienki. Całujemy się długo, a kiedy Silas się wreszcie odsuwa, czuję, jakby zabierał ze sobą jakąś część mojej osoby. Pochyliam się ku niemu i muszę stanąć na palcach, żeby nie stracić równowagi.

Po powrocie do domu od razu idę do łazienki, położonej tuż obok kuchni. Widzę w lustrze swoje odbicie, mam zaczer-

wienione i nabrzmiąte usta. Kontury warg stały się niewyraźne. Odkręcam zimną wodę i przemywam twarz. Raz po raz ochlapuję usta, a następnie osuszam je ręcznikiem. Znowu patrzę do lustra. Nadal są opuchnięte, nie pozostawiając wątpliwości, co robiliśmy z Silasem w lesie. Muszę jednak wyjść z łazienki, inaczej pomyślą, że się pochorowałam.

Kiedy wchodzę do kuchni, pani Quinney stoi do mnie plecami, kończy zmywać naczynia. Przychodzi mi do głowy, że powinnam była zaproponować pomoc, ale tego nie zrobiłam. Przepraszam za to, że wyszliśmy, że nie pomogłam jej przy sprzątanii. Odwraca się, żeby coś odpowiedzieć, ale słowa więzną jej w gardle. Nie odrywa wzroku od mojej twarzy. Myślę sobie, że chyba nie powinna się dziwić - w końcu co się dzieje, jej zdaniem, kiedy dwoje nastolatków wychodzi na samotny spacer? - ale w jej wypadku jest inaczej. Zastygamy bez ruchu. Widzę, że jest wstrząśnięta. Ledwie mogę oddychać.

- Silas jest w pokoju - mówi.

Geoff

Jako dyrektor Akademii Avery jestem szczerze przekonany, że sposób załatwienia sprawy pogorszył sytuację, w jakiej znalazła się szkoła. Od dwóch lat próbuję zmniejszyć rozmiar dokonanych szkód, ale to istna walka z wiatrakami. Nagonka medialna oraz ciągnące się w nieskończoność sprawy sądowe uniemożliwiają powrót do normalności. Za miesiąc, około 21 stycznia, raz jeszcze zjadą się tu wozy transmisyjne i dziennikarze będą maglować wszystkich uczniów, którzy zechcą z nimi rozmawiać. Wiem z góry, co powiedzą. „W drugą rocznicę gwałtu w Akademii Avery...”. Dotacje spadły niemal do zera, kandydatów jak na lekarstwo, że o rankingach nie wspomnę. Gdyby Mike Bordwin nie próbował zatuszować sprawy i nie wymusił na chłopcach zeznań pod nieobecność rodziców bądź prawników, zamiast od razu przekazać ich w ręce policji, wszystko potoczyłoby się inaczej. Cóż, mielibyśmy kłopoty, ale nie na taką skalę. Na początku można by pociągnąć do odpowiedzialności jedną lub dwie osoby. „Interwencja” Bordwina doprowadziła do tego, że ludzie zaczęli kwestionować wiarygodność całej szkoły.

Nie mieliśmy pojęcia, że nagranie pojawiło się w Internecie już w poniedziałek. Było bardzo kiepskiej jakości, za co pozostaje mi dziękować Bogu, lecz nie ulega wątpliwości, że grupa uczniów zobaczyła, co trzeba. Można by się spodziewać, że chłopcy pokroju Roba i Silasa zgłosiliby tę informację władzom szkoły, ale w końcu trudno przewidzieć czyjaś reakcję w obliczu równie upokarzających dowodów, prawda?

Po południu, 24 stycznia, rozmawiałem z Kasią Górczyńską. Powiedziała, że Bordwin prosił ją o zachowanie filmu w tajemnicy i schował kasetę w sejfie. Dowiedziałem się, że taśma została skonfiskowana przez Arlene Rodrigues, opiekunkę internatu, która weszła do pokoju w chwili, gdy trzech chłopcy oglądali nagranie na telewizorze. Kiedy zagadnąłem ją jeszcze tego samego popołudnia, powiedziała, że Bordwin również na niej wymógł obietnicę milczenia. Razem doszliśmy do wniosku, że nie sposób zachować czegoś takiego w tajemnicy, i uznaliśmy, że powinienem pogadać z Bordwinem, co zrobiłem zaraz po treningu hokeja. Byłem wówczas trenerem młodszej drużyny.

Nie zastałem go w gabinecie, więc udałem się do jego domu. Zapukałem, a on otworzył drzwi.

- Geoff - powiedział, niezbyt ucieszony na mój widok. A może był po prostu zmęczony. - Proszę, wejdz - dodał. - Rozgość się. Meg jest na zebraniu. Napijesz się czegoś?

Odmówiłem. Nie wypadało toczyć takiej rozmowy przy kieliszku.

Zaprowadził mnie do salonu, w którym już przedtem wielokrotnie bywałem. Usiadł na fotelu, ja zająłem miejsce na kanapie.

- Nie będę owijał w bawełnę - oznajmiłem. - Słyszałem, że znalazłeś się w posiadaniu pewnej kasety.

- Owszem - odpowiedział, zmieniając pozycję. - Schowałem ją w sejfie.

- Podobno grupa osób, zarówno uczniów, jak i nauczycieli, słyszała o filmie bądź też widziała jego fragmenty - podjąłem.

- Ktoś umieścił je w Internecie.

Bordwin zbladł.

- Tego się obawiałem - powiedział.

- Myślę, że powinniśmy niezwłocznie zacząć działać - oświadczyłem.

Bordwin przez chwilę się nie odzywał.

- Jutro z samego rana każę chłopcom stawić się w gabinecie - powiedział wreszcie. - Przedstawię im dowody i poinformuję,

że zostaną wydaleny ze szkoły jeszcze przed przesłuchaniem, które odbędzie się w najbliższy piątek.

Komisja dyscyplinarna zbiera się w piątkowe popołudnia i rozpatruje każdy przypadek naruszenia szkolnego regulaminu.

- Stąpamy po śliskim gruncie - zauważyłem, pochylając się do przodu. - Niepowiadomienie policji może zostać uznane za próbę zatajenia incydentu.

- Będę obstawał przy tym, że sprawa ma czysto wewnętrzny charakter i taki powinna zachować - odpowiedział Bordwin. Jego twarz odzyskała normalny odcień. - Powinniśmy wysłuchać chłopców, zanim zawiadomimy policję, o ile w ogóle się do tego posuniemy, jesteśmy im to winni. Z chwilą gdy sprawa wyjdzie na jaw, nie opędzimy się od prasy. Nie mieliśmy czasu na właściwą ocenę sytuacji.

- Nie uważasz jednak, że biorąc pod uwagę liczbę uczniów, którzy widzieli film, sprawa już wyszła na jaw? - zapytałem.

- W obrębie szkoły, a to nie to samo - zaznaczył.
- Rozmawiałeś z rodzicami dziewczyny? - spytałem.
- Porozmawiam z nią jutro z samego rana.
- Mam się tym zająć?
- Dam sobie radę - odparł.

Nie wiedziałem wówczas, że Bordwin chce wymóc na chłopcach pisemne zeznania. Może on sam jeszcze tego nie wiedział, trudno powiedzieć.

Obaj nie mogliśmy się nadziwić, że Silas Quinney i Rob Leicht brali w tym udział, kto by się spodziewał.

- Byłeś na dyskotecce, prawda? - zapytał Bordwin.

Kiwnąłem głową.

- O ile pamiętam, wspomniałeś coś o nadmiernym piciu.

- Użyłem tego słowa? - zapytałem. - Nadmierne?

- Tak mi się wydaje. Chyba się nie mylę, nawet je sobie zanotowałem. Zrobię ci jutro kopię, jeśli chcesz.

Przemknęło mi przez myśl, że może Bordwin chce zwalić na mnie całą winę.

- Jestem prorektorem do spraw studentów - przypominałem - ale nie ponoszę odpowiedzialności za tamtą dyskotekę. Zapewne pamiętasz, że dyżur pełniła wówczas Asa Troy.

- A nie sądzisz, że wszyscy ponosimy odpowiedzialność? - zapytał wyniosłym tonem, jaki rzadko u niego słyszałem.

Wstałem.

- Chyba powiedzieliśmy już na ten temat wszystko, co było do powiedzenia.

Bordwin skinął głową i wyszedłem.

Jako nigdy nie przekonałem się do Bordwina w czasach jego „rządów” w Avery. Przynajmniej, że umiał pozyskiwać sponsorów, naprawdę miał do tego smykałkę, ale zawsze drażniła mnie jego swoista nonszalancja w kwestiach moralnych. Nie był urodzonym przywódcą, brakowało mu entuzjazmu, nie potrafił zdopingować uczniów w dążeniu do samodoskonalenia. Odnosiłem wrażenie, że spoczął na laurach. Szkole potrzebny był ktoś, kto postawiłby wyzwania zarówno przed uczniami, jak i przed kadrami, ale Mike Bordwin kompletnie nie nadawał się do tej roli. Zawsze uważałem, iż zarząd zanadto się pospieszył z przydzieleniem mu stanowiska dyrektora, ale że sam ubiegałem się o tę funkcję, musiałem zachować wątpliwości dla siebie. Po prawnym i medialnym chaosie, który powstał w wyniku aresztowania chłopców, i po rezygnacji Bordwina zarząd uznał mnie za najlepszego kandydata na jego następcę. Kilku członków przyznało, że była to cokolwiek spóźniona decyzja.

Mike

Rozmowa z młodą kobietą, której nazwisko znalazł na liście uczniów, okazała się istną udręką. Na żywo, siedząc na wprost niego po drugiej stronie biurka, sprawiała wrażenie wyjątkowo kruchej i skonsternowanej. Początkowo zachowywała się tak, jakby nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Potem przyznała się, że istotnie była w tamtym pokoju. Może coś piła, nie pamięta. Najwyraźniej nie wiedziała o istnieniu kompromitującej taśmy i informacja ta wstrząsnęła nią do głębi. Zaczęła płakać. Mimo to przez cały czas trwania rozmowy Mike nie mógł się opędzić od myśli, że niepozorna postura kryje istotę twardą jak stal. Jednak nie był pewien, czy zawierzyć owej intuicji, ponieważ widok dziewczyny nieodparcie nasuwał mu obrazy z filmu. On też był skonsternowany, a jakże. Dziewczyna tak często zmieniała wersję, że Mike zagubił się w labiryncie jej opowieści i koniec końców nie pozostawało mu nic innego, jak odesłać ją z powrotem do pokoju z prośbą o przemyślenie wszystkiego raz jeszcze, tak aby mogli wrócić do rozmowy za parę godzin. Wydawało mu się, iż jasno dał jej do zrozumienia, że wspólnie zatelefonują do jej rodziców.

Przemęczony i pełen niepokoju, Mike wyczekiwał nadejścia wezwanych przez Kasię chłopców. Anna, matka Silasa, nie będzie mogła uwierzyć w to, co zaszło. Kiedy wyobrażał sobie, jak Anna usiądzie przed telewizorem, patrząc na seksualne ekscesy z udziałem własnego syna, aż go skręcało. Czuł, że powinien ją zawiadomić o sprawie, powiedzieć, że wezwał Silasa do swego gabinetu. Poprosi, żeby nie oglądała filmu.

W jego rozmyślania wdarł się głos Kasi: wsunęła głowę przez drzwi, informując, że Rob i J. Kropka już idą, ale Silas gdzieś przepadł. Mike skrzętnie skrył ulgę.

- Szukajcie dalej - polecił.

Chwilę potem rozległo się ostrożne pukanie do drzwi. Rob wszedł do środka, unikając wzroku Mike'a. Nie zapytał też, po co został wezwany, co utwierdziło Mike'a w przekonaniu, że chłopak doskonale wie, o co chodzi. Mike zwrócił uwagę na jego staranny ubiór, ciemnoniebieską koszulkę polo schludnie schowaną w spodnie zapięte na pasek. W rękę trzymał czapkę baseballową.

- Zaczekamy na J. Kropkę - powiedział Mike, używając powszechnie znanego przezwiska koszykarza. Rob na chwilę przymknął oczy. - Silasa jeszcze nie znaleźliśmy - dodał Mike.

Rob kiwnął głową. Mike ugryzł się w język, powstrzymując pytania, które cisnęły mu się na usta. „Dlaczego? Co ty sobie myślałeś?”. Zastanawiał się, czy Rob wie, że widział taśmę. Ciekawe, czy Rob też ją widział. Mike stwierdził, że byłoby mu niezwykle trudno oglądać w seksualnych zmaganiach samego siebie.

Drzwi były otwarte, toteż J. Kropka wkroczył do środka bez pukania. Niewiele sobie robił z regulaminu: koszulkę miał wetkniętą w pasek, a spodnie wisały mu na biodrach kilka centymetrów niżej niż spodnie Roba. Chłopcy nie odezwali się do siebie, unikali też kontaktu wzrokowego. J. Kropka usiadł na krześle obok Roba.

Mike uznał, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy. Nie chciał, aby spotkanie trwało choćby sekundę dłużej, niż było to konieczne. Powiedział chłopcom, że obejrzał film. Rob drgnął i zwiesił głowę. J. Kropka miał czelność spytać:

- Jaki film?

Rob tylko potrząsnął głową, bez słowa.

- Film, na którym obaj uprawiacie seks z nieletnią dziewczyną - uściślił Mike.

- Ja nic nie wiem o żadnym filmie - oznajmił J. Kropka.

- Jest w moim sejfie - odpowiedział Mike. - Mogę kazać przynieść telewizor i obejrzymy go razem, nie ma sprawy.

- To nie będzie konieczne - wtrącił pospiesznie Rob, rzucając Kropce ostre spojrzenie.

- Co wyście narobili, do jasnej cholery? - nie wytrzymał wreszcie Mike. - Wiecie, ile ona ma lat? Czternaście. Powtórzę raz jeszcze: czternaście. Czy wiecie, że w naszym stanie stosunek z nieletnią to przestępstwo na tle seksualnym, za które można trafić za kratki?

Rob dalej unikał wzroku dyrektora. J. Kropka rozwalił się na krzesło w - zdaniem Mike'a - rażąco niedbałej pozie.

- To był jej pomysł - oznajmił. - Proszę ją zapytać. Powie panu to samo. Sama do nas przylazła.

- A wy co zrobiliście? - spytał Mike. - Poprosiliście grzecznie, żeby odeszła? Dopilnowaliście, żeby wróciła bezpiecznie do swojego pokoju? Nie, wszystko wskazuje na to, że wykorzystaliście młodą dziewczynę, która najwyraźniej nie wiedziała, co robi.

- Już ona dobrze wiedziała - zapewnił J. Kropka.

- Skąd wiesz? - spytał Mike.

- Obejrzał pan film - odparł J. Kropka, przyznając się do tego, czemu przed sekundą żarliwie zaprzeczał. - I jak pan myśli?

- Myślę, że obaj macie poważne kłopoty.

Chłopcy nie spojrzeli na siebie.

- Jeszcze jedno - dodał Mike. - Chcę wiedzieć, kto trzymał kamerę.

W gabinecie zapadła cisza.

- W porządku - oznajmił Mike. - Skoro nie chcecie po dobroci...

Wyjął z górnej szuflady dwa arkusze papieru w linie i dwa długopisy.

- Jeśli nie chcecie, żebym pokazał taśmę na piątkowym zgromadzeniu komisji dyscyplinarnej - powiedział - macie mi złożyć pisemne oświadczenia. Chcę poznać wszystkie szczegóły, nazwiska, godziny oraz ilość wypitego alkoholu.

Tu i teraz. Żaden z was nie wyjdzie z mojego gabinetu, dopóki nie skończy.

- Zadzwoń pan do moich rodziców? - spytał J. Kropka.

- Owszem - odpowiedział Mike.

J. Kropka z rozmachem oparł się na krześle, niby to wzburzony.

- A cóż oni mają z tym wspólnego? - zapytał.

- Chyba chcieliby wiedzieć, że ich syn został wyrzucony ze szkoły.

- Jestem panem samego siebie. Mam dziewiętnaście lat.

- W tym sęk. Masz spisać wszystko, co pamiętasz z tamtego wieczora, a pod spodem złożyć swój podpis. Schowam wasze oświadczenia w sejfie razem z kasetą, a w piątek przedstawię je komisji dyscyplinarnej, bez filmu. W razie ewentualnych pytań obaj macie się stawić.

- A Silas? - zapytał J. Kropka, rozglądając się wokół. - Gdzie on się podziewa?

- Szukamy go - odpowiedział Mike. - On też zostanie poproszony o pisemne zeznanie.

- A dziewczyna?

- Już z nią rozmawiałem - poinformował Mike.

- No i...? - J. Kropka zawiesił głos.

- No i co? - spytał Mike.

- No i przyznała, że to był od początku do końca jej pomysł?

- Nasza rozmowa miała charakter poufny - oznajmił Mike.

- I niech tak pozostanie. Na razie. - Czuł, że z prawnego punktu widzenia stąpa po niepewnym gruncie.

- Nikt więcej ich nie przeczyta? - zapytał J. Kropka.

- Nikt - obiecał Mike. - Wolałbym też, żebyście przez najbliższe parę dni zachowali tę poufność godną sprawę dla siebie. Nie widzę powodów, dla których miałyby dotrzeć do uszu postronnych osób. Po obejrzeniu filmu doszedłem do wniosku, że musimy rozstrzygnąć ją we własnym zakresie.

Podsunał im papier i długopisy. Rob spojrział na nie tak, jakby kazano mu podpisać własny wyrok śmierci.

J. Kropka sięgnął po długopis i zaczął wystukiwać nim rytm na biurku.

- Nie wyjdziemy stąd, dopóki nie skończycie - powtórzył Mike. - Będę z wami przez cały czas. Dopuściliście się karygodnego czynu, który pociągnie za sobą poważne konsekwencje.

J. Kropka przysunął do siebie kartkę. Rob ani drgnął i dalej milczał jak zakłęty.

- Jeszcze jedno pytanie, tak z ciekawości - dorzucił Mike, wychylając się do przodu. - Dlaczego?

J. Kropka przesadnie wzruszył ramionami, a Rob, którego Mike tak bardzo cenił kiedyś i szanował, powoli zwiesił głowę nad lśniącym, mahoniowym blatem biurka.

Nerwy nadal miał w strzępach, chociaż od chwili umieszczenia zeznań w sejfie minęła ponad godzina. Najpierw zapoznał się z ich treścią. J. Kropka przyjął taktykę obronną, podkreślając raz jeszcze, że cały incydent nastąpił z inicjatywy dziewczyny, a kiedy zaczęła go na dyskotece, była pod wpływem alkoholu. Wszystko wskazywało na to, że J. Kropka w ogóle nie poczuwa się do winy.

Oświadczenie Roba też było związane, ale chłopak nie próbował się usprawiedliwiać. Całość przypominała policyjny raport. Rob precyzyjnie określił, ile wypił i gdzie, podał dokładną godzinę, o której wyszli z dyskoteki, oraz ile czasu spędzili w pokoju, po czym drobiazgowo opisał współżycie z dziewczyną. Nie podjął ani jednej próby obarczenia winą dziewczyny bądź kogokolwiek innego. Podpisał dokument „Robert Leicht, '06". Musiał to zrobić odruchowo, a nie na zasadzie prowokacji, ponieważ domyślał się chyba, że nie zakończy edukacji wraz z resztą klasy.

Mike schował dokumenty w sejfie, po czym opadł na fotel i na jakiś czas zastygł bez ruchu. Wprawdzie okazał złość, co zważywszy na okoliczności, było ze wszech miar zrozumiałe, w głębi serca czuł jednak narastającą panikę. J. Kropka niewiele go obchodził. Im szybciej pozbędzie się go ze szkoły,

tym lepiej. Ale Rob miał na swoim koncie liczne osiągnięcia, zarówno w dziedzinie nauki, jak i sportu. Z wyprzedzeniem dostał się na wyższą uczelnię, co też podniosło renomę Avery. Mike nie znał go zbyt dobrze, ale to, co o nim wiedział, stanowiło dla niego powód do dumy i zadowolenia. A teraz Rob zostanie wyrzucony ze szkoły, straci indeks i co? Takie perspektywy obrócone wniwecz aktem piramidalnej głupoty. I po co to wszystko?

A Silas... Mike nie mógł myśleć o Silasie. Z całego serca pragnął, aby nie było go na tym filmie. Gdyby tylko osoba trzymająca kamerę nie pokazała jego twarzy. Ale Silas tam był. Też był winny. Poniesie poważne konsekwencje, też zostanie wyrzucony ze szkoły. Jego związek z Noelle, jeśli po sobocie w ogóle jeszcze miał rację bytu, raczej nie przetrwa takiego ciosu. Poza tym Mike nie mógł sobie wyobrazić, żeby chłopiec dalej mieszkał z Anną i Owenem. Ponownie przyszło mu do głowy, że musi zadzwonić do Anny, i to szybko.

Obrócił się na fotelu i wyjrzał przez okno. Pomyślał o latach spędzonych w Avery, o studentach, którzy na jego oczach kończyli szkołę. Miał do czynienia z mnóstwem problemów dyscyplinarnych, ale żaden nie mógł się równać z obecną sytuacją. Pomyślał o Silasie i Robie, i J. Kropce. Pomyślał o Annie i Meg, i Owenie. Nie spisał zeznania, ale wiedział, że on także nie jest bez winy. Nie ponosił jej bezpośrednio. Ale ponosił.

Laura

W środę rano moja współlokatorka wcześniej wyszła z pokoju. Po jakimś czasie wróciła, cała nakręcona. Zamknęła drzwi, ale nie poprosiła, żebym wyszła. Akurat ślęczałam nad książkami. Słowo daję, czasem chyba nawet nie zauważała mojej obecności.

Najpierw zadzwoniła do koleżanki. Nie zapamiętałam zbyt wiele z tej rozmowy, bo zdążyłam przywyknąć do tego, że paplała przez telefon, podczas gdy ja usiłowałam się uczyć. Cała ona. Zainteresowałam się dopiero, kiedy powiedziała:

- Ale kto wyniósł kasetę?

Najpierw myślałam, że mówi o muzyce, tyle że sprawiała wrażenie trochę przestraszonej. Wtedy rzuciła:

- Boże, rodzice mnie zabiją!

Odwrociłam się, żeby na nią spojrzeć. Odwzajemniła spojrzenie, ale dam głowę, że nie widziała mnie, tylko swojego rozmówcę, albo wyobrażała sobie wściekłość rodziców. Nie miałam pojęcia, o czym mówi, ale zaczęłam się przysłuchiwać. Następnie dodała:

- I co ja teraz zrobię? - a potem jeszcze - tak myślisz?

Gadała przez jakieś dziesięć minut. Przeważnie słuchała tego, co miała do powiedzenia druga strona, i tylko co jakiś czas wtrącała:

- Jezu, tak uważasz?

Pamiętam też, że powiedziała:

- To jak nazywa się ten środek? - I dodała: - Jeśli to nie zadziała, już po mnie.

Nie wiedziałam, o co tu chodzi. Kiedy wreszcie się rozłączyła, raz jeszcze popatrzyłam w jej stronę.

- Wszystko gra? - zapytałam.

Wystukiwała właśnie kolejny numer.

- Co? - odpowiedziała z roztargnieniem.

Zapytałam, czy coś się stało. Ale wówczas osoba po drugiej stronie linii odebrała telefon. Moja współlokatorka w jednej chwili wybuchnęła płaczem. Była wstrząśnięta. Ona naprawdę płakała. Jeśli udawała, to koncertowo. Z trudem dobywała słowa. Szlochała, czkała i zawodziła. Zgięła się w pół ze słuchawką przyciśniętą do ucha, jakby nagle rozbolała ją brzuch.

- Mamo - wydusiła pomiędzy jednym szlochem a drugim.

- Zostałam zgwałcona.

Dosłownie wbiło mnie w podłogę. Pierwszy raz słyszałam o jakimś gwałcie. Pamiętam, że siedziałam z otwartymi ustami. Ktoś zapukał do drzwi i moja współlokatorka machnęła dziko ręką, że mam go spławić. Podeszłam do drzwi i powiedziałam mojej przyjaciółce Katie, że rozmawiam przez telefon z mamą i zaraz przyjdę. Następnie usiadłam z powrotem na łóżku. I patrzyłam na współlokatorkę jak oniemiała.

Słyszałam, jak opowiada matce o trzech chłopcach, dwóch czwartoklasistach i jednym dziesięcioletku. I że to się stało w sobotę. Nic nikomu nie mówiła, ze strachu. Nie, nie była u lekarza. To nieważne. Nie pójdzie. Nie, nie zna tych chłopców. Rzucili się na nią z nienacka. I jest jeszcze coś. Mówi się o istnieniu pewnej kasy.

Usłyszałam, jak jej matka wrzeszczy coś do słuchawki.

- Skąd mogłam wiedzieć, że to nagrywają! - zawyła moja współlokatorka. - Naszprycowali mnie czymś. - I rozbeczała się na całego. Nie chce nic nikomu powiedzieć. Nie, nie pójdzie do opiekuna internatu. Chciała tylko powiedzieć matce, na wypadek gdyby doszły ją jakieś słuchy. Nie, nic jej nie jest. Tak jej się przynajmniej wydaje. Przez cały ten czas chlipała do słuchawki, smarki leciały jej z nosa. Błaga rodziców, żeby przyjechali. Nienawidzi tej szkoły. Chce wrócić do domu.

Wreszcie zakończyła rozmowę. Podałam jej chustkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

Siąknęła nosem, a potem go wysmarkała. Wstała, żeby przejrzeć się w lustrze, i otarła łzy.

- Luzik - powiedziała.

Przysięgam, że właśnie tak brzmiała jej odpowiedź.

Noelle

Jest maj, zaraz zapadnie zmierzch. Po raz pierwszy od wielu tygodni powietrze nie mrozi swym oddechem. Przez cały dzień uczniowie grali na dziedzińcu we frisbee. Trzecią dyscypliną Silasa jest baseball, ale gra średnio i nie traktuje tego zbyt poważnie. Czasem zaczyna na drugiej bazie, ale przeważnie siedzi na ławce. Ma mocną rękę i jest z natury wysportowany, jednak nie potrafi dobrze uderzyć piłki. Mógłby pochodzić na dodatkowe treningi, ale baseball nie jest jego specjalnością. Silas uwielbia koszykówkę. Gdyby mógł, grałby w nią w każdym sezonie. Po treningu i po kolacji w stołówce siedzimy na trawniku, dopóki się nie ściemni. Okna w internatach są pootwierane, czasami słysząc głosy i muzykę, czasami okrzyk.

Siedzimy blisko siebie, z wyprostowanymi nogami. Kładę się na trawie. Przez całą wiosnę szukaliśmy miejsc, gdzie możemy być sami. Nie mówimy o tym głośno, ale tak właśnie jest. Przeważnie siedzimy w samochodzie Silasa. A gdy pogoda dopisuje, leżymy na trawie. Od rana myślę o tym, że moja współlokatorka pojechała na weekend do domu i wróci dopiero w niedzielę wieczorem. Nigdy nie złamałam regulaminu i zastanawiam się, czy starczy mi odwagi. Moje spodenki i podkoszulka zwilgotniały z tyłu od rosy, słupek rtęci leci w dół. Nawet na początku maja noce w Vermoncie są bardzo zimne.

Wstaję i wyciągam rękę.

Kiedy zbliżamy się do mojego internatu, Silas chyba domyśla się, co chcę zrobić, ale nie mówi ani słowa. Zawiesiliby nas oboje? Każę mu poczekać przy drzwiach, a sama wchodzę do środka i zaglądam do dyżurki. Nikogo nie ma, telewizor wyłączony. Dzisiaj każdy chce być gdzie indziej. Otwieram drzwi i kiwam, żeby przyszedł. Silas zdejmuje buty, a ja wytrzeszczam oczy. Może tak samo robi w domu, gdy wraca później, niż obiecywał. Przypominam sobie jego pokój na piętrze. Prowadzę go po schodach internatu, starając się nie wydawać żadnych odgłosów. Silas kładzie dłoń w zagłębieniu moich pleców i gubię krok.

Kiedy docieramy na kolejne piętro, daję mu znak, żeby poczekał. Biegnę do pokoju, przekręcam klucz w zamku i uchylam drzwi. Następnie pokazuję mu przez zadrutowaną szybę, że droga wolna. Pędzi korytarzem i wślizguje się do mojego pokoju jak szpieg. Wybuchamy śmiechem, przyciskając ręce do ust.

Przyprowadziłam go tu z jednego powodu, oboje wiemy, w czym rzecz. Silas przyciąga mnie do siebie i mocno całuje. Jeszcze nigdy się nie kochaliśmy i trochę się boję. Jestem dziewczyną. Nie wiem, jak Silas. Spytał mnie kiedyś, czy byłam z mężczyzną. Odpowiedziałam, że nie, i zobaczyłam ulgę na jego twarzy.

Prowadzę go do łóżka i odsuwam kołdrę. W pokoju panuje tylko lekki nieład, moja współlokatorka przed wyjazdem wysprzątała swoją połowę. Kładę się na łóżku. Nie wiem, jak to się robi. Tysiące razy oglądałam udawany seks w kinie i telewizji, ale w prawdziwym życiu chyba jest inaczej. Wciąż mam na sobie ubranie. Silas staje nade mną i wyciąga z kieszeni telefon komórkowy i portfel, a następnie kładzie je na nocnym stoliku. Sięga ręką do paska, po czym zamiera bez ruchu,

jakby się obawiał mojej reakcji. Wsuwa się do łóżka i musi mnie objąć, bo nie starcza miejsca dla nas obojga.

Przez dłuższy czas się nie poruszamy. Zastanawiam się, czy aby nie czeka na moje przyzwolenie, ale boję się odezwać. Może tylko na tym mu zależy, żeby się przytulić. Może nigdy nie był z kobietą i też nie wie, co zrobić. W filmach dziewczyna zawsze wchodzi na górę, włosy opadają jej na twarz, a potem ściąga bluzkę albo rozpina mu koszulę. Ale ja tak nie mogę.

Silas całuje mnie w usta. Wsuwa rękę pod mój podkoszulek; czuję, że próbuje mi rozpiąć stanik i trochę mu nie idzie. Po chwili unoszę rękę i sama go rozpinam. Pomaga mi zdjąć podkoszulek i stanik, potem rozpina pasek. Jednym ruchem wyciąga go ze spodni, rozpina dżinsy. Po chwili ma na sobie już tylko koszulkę i bokserki. Myślę gorączkowo, czy zamknęłam drzwi na klucz.

Odkrywam, że kochanie się z mężczyzną to nie chwila lub dwie. To sto chwil, sto drzwi, które stają otworem, drzwi do pomieszczeń, których nigdy przedtem nie było nam dane odwiedzić. Pierwszy raz, kiedy Silas dotyka mnie między udami, to drzwi. Pierwszy raz, kiedy muskam palcami jego sutki, to drzwi. Wszystkie drzwi zdają się niezwykle ważne i doniosłe, i bardzo przyjemne. Żadne nie są mniej ważne niż drzwi ostatnie, które tak naprawdę wcale nie są ostatnimi, ponieważ za nimi znajdują się następne i jeszcze jedno. Na przykład to, jak Silas na mnie patrzy. I to, jak wchodzi do środka. Ból to też są drzwi do nieznanego świata. To właśnie on, bardziej niż wszystko inne tego wieczoru, sprawia, że czuję się kobietą. Leżę w ramionach Silasa, czuję ból i myślę, że przekroczyłam granicę kobiecości.

Kiedy się kochamy, Silas nie odzywa się ani słowem. Bardzo mnie to cieszy. Nie mówi, że mnie kocha, to dobrze. To byłoby jak zapłata, coś, na co sobie zasłużyłam. Wolę usłyszeć

to podczas spaceru, na trawniku lub w drodze do sali gimnastycznej.

Kiedy pokonujemy prawie wszystkie drzwi i obolała leżę w jego ramionach, myśląc o tym, że po raz pierwszy w życiu jestem kobietą, brzęczy telefon Silasa. Dźwięk rozrywa ciszę i w pierwszej chwili myślę, że zostaliśmy przyłapani. Lecz po chwili już wiem. Znam treść wiadomości, zanim jeszcze Silas sięgnie po telefon: „Wracaj do domu”.

Jagnię szykuje się na świat.

Silas

Ostatni raz poszliśmy tą ścieżką tuż przed wiosenną przerwą, puściłem cię przodem i patrzyłem, jak idziesz. Zapytałaś, czy poluję, a ja wiedziałem, że nie mogę skłamać, i odpowiedziałem, że tak. Bardzo cię to zdenerwowało; zapytałaś, jak to jest zabić ptaka i patrzeć, jak spada z nieba, albo zastrzelić biegnące zwierzę, a ja nie umiałem ci na to odpowiedzieć. Wtedy zapytałaś, czy kiedykolwiek zabiłem jelenia, i strasznie się zawstydzilem, chociaż nigdy nie był to dla mnie powód do wstydu. Odpowiedziałem, że tak; zadrzałaś, a kiedy usiedliśmy na kamieniu, odsunęłaś się ode mnie tak, żebyśmy się nie dotykali. Czułem, że nie powinienem cię dotykać, że musisz zapomnieć o tamtym jeleniu, i powiedziałem ci, co czuję, i że nie chcę więcej tego robić. To była prawda, ale nie wiem, czy mi uwierzyłaś. Dzień był taki piękny, widziałem dom i samochód, chciałem cię objąć, zapewnić o swojej miłości, ale wiedziałem, że myśl o jeleniu przesłoni wszystko. Dlatego milczałem, chociaż słowa kipiały we mnie i miałem je na końcu języka. Tak bardzo chciałem, żebyś je usłyszała. Bałem się, że coś się stanie, że coś wedrze się między nas i nigdy nie zdołam ci powiedzieć. Bałem się tego przez długi czas.

Ale w końcu ci powiedziałem i bardzo się z tego cieszę, cieszę się, że wiedziałaś, jak bardzo cię kochałem.

A teraz to wdarło się między nas i zagnieździło na dobre, bez względu na to, co powiem, na kasecie zachowa się obraz mnie i tamtej dziewczyny, i nigdy się go nie pozbędziesz. Kiedy będę cię dotykał, całował czy choćby tylko patrzył, będziesz

myślała tylko o tym, co się wtedy zdarzyło, i nic nie będzie takie jak dawniej, i to w tym wszystkim jest najgorsze. Mógłbym iść do więzienia, znieść upokorzenie, a nawet pozwolić, żeby ojciec mnie uderzył, ale nie byłbym w stanie spojrzeć ci w oczy i zobaczyć w nich tamte sceny. To ponad moje siły.

Mike

We wrześniu, cztery miesiące przed wybuchem skandalu, Mike zapukał do drzwi Anny Quinney. Niósł karton z sześcioma butelkami przedniego wina, ponieważ tego wieczora u Anny miało się odbyć pierwsze spotkanie komitetu rodzicielskiego. Mike uważał się wówczas za swoistego konesera win i bardzo szczylił się tym, że przy wszelkich okazjach towarzyskich serwował wyłącznie najlepsze trunki. Wątpił, czy większość rodziców potrafi docenić różnicę pomiędzy dobrym i kiepskim cabernetem, ponieważ lwią część komitetu stanowili rodzice uczniów dojeżdżających, wywodzący się przeważnie z nieco niższych warstw społecznych. Anna powitała go szerokim uśmiechem. Na widok kartonu klasnęła w ręce, po czym wzięła się do dyskusji, gdzie go postawić, który rodzaj wina podać w pierwszej kolejności, a który schłodzić w lodówce. Mike zaniósł butelki we wskazane miejsce i stanął pośrodku czystej kuchni z pustym kartonem w ręce, zachodząc w głowę, czy powinien od razu się pożegnać. Jakoś nie mógł się zdecydować. Anna wyczuła jego wahanie i zaproponowała mu filiżankę herbaty, na co Mike, który nigdy nie zdradził jej swej niechęci do tego napoju, przystał z ochotą godną strudzonego wędrowca na pustyni. Oznajmił, że właśnie tego mu trzeba, a następnie postawił karton na podłodze i zrzuciwszy kurtkę, powiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł przy stole, a Anna nastawiła wodę.

Patrzył, jak przygotowuje filiżanki, cukier i śmietankę. Miała na sobie bluzkę z okrągłym dekoltem i szarą spód-

nicę z paskiem. Przyszło mu do głowy, że pewnie przebrała się zawczasu, żeby potem nie spieszyć się po jego wyjściu. Przez cienką tkaninę bluzki prześwitywała biała podkoszulka z koronką. Nie podejrzewał, że Anna ma taką szczupłą talię. Przeważnie zakładała swetry i bluzy, które skutecznie maskowały jej figurę. A może po prostu odwykł od jej widoku, w końcu rzadko odwiedzał latem rodziny uczniów. W czasie miesięcznej przerwy administracyjnej pojechali z Meg na południe Francji, gdzie wynajęli willę. Milo spędzili czas, co nappełniło Mike'a optymizmem na przyszłość. Liczył, że napięta i burzliwa atmosfera cechująca ostatnie sześć, siedem lat ich małżeństwa (a w zasadzie wszechobecna od początku jego trwania) po powrocie też weźmie sobie wolne. Niestety, jak się okazało podczas oczekiwania na lotnisku de Gaulle'a, nadzieje Mike'a były cokolwiek płonne. Zastanawiał się, czy Anna i Owen kiedykolwiek wyjeżdżają na wakacje i kto troszczy się wówczas o zwierzęta. Wszystko wskazywało na to, że Anna spędziła większość dnia w kuchni, ponieważ na stole w jadalni stały półmiski z przekąskami, na blacie zaś czekały na swoją kolej talerze pełne czekoladowych ciastek z orzechami, cytrynowych makaroników i jagodowych babeczek. Mike skusiłby się chętnie na jeden z makaroników, ale nie miał odwagi poprosić, żeby Anna zdjęła folię.

Anna oparła się o blat, przyjmując swą zwykłą pozycję. Skrzyżowała ręce pod biustem, jak gdyby go podtrzymywała. Zza dekoltu bluzki wyłoniła się koronka w całej okazałości.

- Normalnie Owen byłby już w domu - powiedziała Anna.

- Wyjechał?
- Tak, do Bennington.
- Interesy?
- Jak zawsze.

Mike odkrył, że oczekiwanie na gwiazd czajnika wymusza cokolwiek sztuczną wymianę zdań. Zupełnie jakby dopiero ów sygnał i podanie herbaty miały rozluźnić atmosferę. Przez jakiś czas oboje unikali swojego wzroku, dopóki (zdawałoby

się, że minęła cała wieczność) czajnik nie obwieścił gotowości i wreszcie mogli odetchnąć. Mike uznał, że chyba właśnie dlatego nie przepadał za herbatą.

Anna usiadła naprzeciw niego i zdjęła folię z makaroników.

- Widziałam, jak na nie patrzyłeś - powiedziała.

- Tak łatwo mnie przejrzeć?

- Czasami - odpowiedziała z uśmiechem.

- Dziękuję. Nie wiem, jak to się stało, ale umieram z głodu.

- Zawsze, kiedy używam tego wyrażenia, Silas zwraca mi uwagę, że wcale nie umieram, tylko po prostu jestem głodna.

- I pewnie ma rację - odrzekł Mike. - Co porabiał lastem?

- Pojechał jako opiekun na obóz w pobliżu Burlington.

- Był cały czas na miejscu?

- Tak, to mu dobrze zrobiło. Przynajmniej się wyrwał. Ale tęsknił za dziewczyną.

- Noelle.

- Właśnie.

- Przyda mu się to przy składaniu podania - zauważył Mike. - Zastanawiał się już, gdzie złoży papiery?

- Mówi, że do Middlebury, ale mam co do tego pewne obawy.

- Czy ja wiem? - odpowiedział Mike. - Koszykówka to jego dodatkowy atut. Poza tym wiesz, że napiszę mu referencje. W ciągu całego roku piszę zaledwie trzy lub cztery, nie każdy może na nie liczyć.

- Dziękuję - powiedziała z wdzięcznością Anna.

- Czasami ktoś mnie o to prosi i nie mogę odmówić, bo na przykład rodzice łożyli na szkołę albo są znajomymi członkami zarządu. Nie znoszę takich sytuacji. Ale w tym wypadku to będzie dla mnie przyjemność.

Anna ponownie się uśmiechnęła.

Mike wygrzebał z filiżanki torebkę i rozejrzał się po stole. Nie bardzo wiedział, gdzie ją odłożyć. Kolejny aspekt picia

herbaty, który wyprowadzał go z równowagi. Jeśli odłoży torebkę na talerzyk, zachłapie ciasto, a nie może przecież położyć jej na obrusie. Jeśli wybierze spodek, zamoczy spód filiżanki, czego również nie znośli.

- W co będzie grał jesienią?

- W piłkę nożną. Bardzo jej nie lubi. - Anna wypita łyk herbaty. - Zawsze powoli się rozkręca, ale potem odnajduje swój rytm. Prawie jak w zegarku. Gdzieś między piątym a dziesiątym października nabierze rozpędu.

- Kto jest jego promotorem?

- Richard Austin.

Mike zanotował w myślach, żeby z samego rana porozmawiać z Richardem o szansach Silasa na dostanie się do Middlebury. Dokończył makaronik i sięgnął po serwetkę.

- Ładnie wyglądasz - powiedział.

Poczerwieniała.

- Przebrałam się wcześniej, chcę mieć trochę czasu dla Silasa, kiedy wróci. Przynajmniej mam to z głowy, nie lubię się szykować w pośpiechu.

Była to dość wątpliwa wymówka, w końcu Owen i Anna niezbyt często wychodzili wieczorami z domu, ale Mike tylko skinął głową. Naraz uświadomił sobie, że chociaż biesiadował u Quinneyów już co najmniej sześć razy, jeszcze nigdy nie zaprosił ich z rewizytą. Obiecał sobie w najbliższym czasie naprawić ten błąd. Meg będzie musiała się przemęczyć. W ciągu minionych lat Mike nauczył się gotować parę dań, w sam raz na podobne okazje.

- Skąd jesteś? - zapytała nieoczekiwanie Anna. - Niedawno przyszło mi do głowy, że wciąż rozmawiamy o Silasie i sprawach związanych ze szkołą, a o tobie nic prawie nie wiem.

Mike miał dobry powód, by unikać tego tematu: wywodził się z biednej, robotniczej rodziny, która nie licowała z funkcją dyrektora prywatnego liceum. Był wprawdzie rok 2005, ale wciąż często zwykło się zakładać, że osoba na tym stanowisku pochodzi co najmniej z wyższych sfer.

- Ojciec był mechanikiem u Logana - odpowiedział Mike.

- Był dobrym człowiekiem, ale chyba nie spełniałem jego oczekiwań. Nie miałem smykałki do techniki, wcześniej ugrzązłem w książkach, głównie za sprawą matki, która chciała studiować, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

- Dlaczego?

- Zaszła w ciążę i urodziła moją starszą siostrę, musieli się pobrać. Miała wtedy zaledwie dziewiętnaście lat. Małżeństwo rodziców nie trwało długo. Po rozwodzie wyszła za nauczyciela. Miałem dziewięć lat.

- Ach tak. - Anna podparła dłońmi podbródek. - To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Było - odparł szczerze Mike. - Nie lubiłem ojczyma, nie mogłem jej tego darować. Wychowali mnie ojciec i siostra, ale prawie całą wiedzę o życiu zaczerpnąłem z książek. Pewnie dlatego tak ciągnęło mnie do szkolnictwa.

- Chcesz otworzyć czerwone wino? - zapytała nagle Anna.
- Powinno trochę pooddychać, nie?

- Bezwzględnie - odrzekł Mike, zadowolony ze zmiany tematu.

Anna przyniosła korkociąg i Mike wybrał najlepsze czerwone wino spośród przyniesionych butelek. Było zbyt dobre na zebranie komitetu rodzicielskiego, ale wybornie nadawało się na spontaniczny kieliszek popołudniową porą, okazję o niemal europejskim posmaku. Nastąpiło małe zamieszanie przy otwieraniu butelki, ponieważ Mike bał się, że tani korkociąg pokruszy korek. Następnie nalał trunek do dwu różnych kieliszków przyniesionych przez Annę.

Jednocześnie wzniesli kieliszki.

- Za...? - Anna zawiesiła głos.

- Za zaangażowanych rodziców i świetnych uczniów - powiedział.

- Nie, za ciebie - odrzekła i stuknęła w jego kieliszek.

Skinął głową i wypił łyk. Wykwintny trunek nie pasował zbyt do skromnego wystroju, ale Mike nauczył się traktować kuchnię Quinneyów wyłącznie jako tło dla Anny, toteż bez trudu wyobraził sobie, że siedzą w miłej kafejce na południu

Francji i popijają czerwone wino, obserwując grę świateł w koronach drzew. Przyszło mu to tym łatwiej, że podobny widok roztaczał się za oknem.

- Owen by mnie zabił - przyznała.

- Za picie wina o czwartej po południu?

- Mniej więcej.

- Przecież sam pije - stwierdził Mike na wspomnienie niezliczonych butelek piwa, wypijanych choćby w jego obecności.

- Nie spodobałoby mu się to - odpowiedziała.

Owo „to” zabrzmiało dwuznacznie i Mike trochę się zdziwił. Nie pamiętał, co miał robić o tej porze, ale raczej nie była to pogawędka przy winie z Anną Quinney.

- Silas tyle ci zawdzięcza - dodała Anna. - Tak dobrze mu idzie. Ma wszystko, czego każda matka pragnęłaby dla swego syna. Dobro dziecka przede wszystkim, prawda?

Natychmiast uświadomiła sobie swój błąd i odstawiła kieliszek.

- Czy kiedykolwiek chciałeś mieć dzieci? - zapytała.

- Chciałem - odpowiedział Mike. - I nie chciałem. Zastanawiam się czasem, czy moja praca nie wykształciła aby we mnie cynizmu wobec młodzieży. Oczywiście nie mam tu na myśli Silasa.

- A twoja żona?

- Meg.

- Trudno myśleć o niej inaczej niż „pani Bordwin”. W pierwszej klasie uczyła Silasa matematyki. - Anna uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Rodzice dobrze ułożonych dzieci potrafią być nieznośni, prawda?

- Tak. - Mike w pełni przyznawał jej rację.

- Pewni swego.

- Jeszcze jak.

- To niebezpieczna postawa wobec dzieci. Los lubi płatać figle.

- O Silasa możesz być spokojna.

- Zmieńmy temat - zaproponowała. - Jeszcze zapeszymy.

Mike ponownie napełnił kieliszki. Stwierdził, że za pierwszym razem pili zbyt szybko, ponieważ oboje byli zdenerwowani. Obiecał sobie, że drugim kieliszkiem będzie się delektował.

- Nie powinnam - powiedziała, spoglądając znacząco na butelkę. - Będę podchmielona.

Mike uśmiechnął się mimowolnie, rozbawiony staroświeckim określeniem.

- Będiesz brylować - uściślił.

- Muszę omówić tyle spraw.

- Na pewno pójdziesz ci fantastycznie - odpowiedział, po czym przekroczył kolejną subtelną granicę, odpowiadając nieopatrznie „to” Anny. - Jesteś fantastyczna - uzupełnił.

Anna spłonęła rumieńcem i Mike zapatrzył się na jej profil.

Nieraz dochodził do wniosku, że niewiele trzeba, by poruszyć kobietę, choć nie był pewien, czy świadczy to o kruchości, czy może raczej sile przedstawicielki tej płci. Kiedy Anna ponownie skierowała na niego wzrok, spróbowała się uśmiechnąć, ale widział, ile ją to kosztuje wysiłku. Gotów był dać głowę, że gdyby teraz zniknął z kuchni, najprawdopodobniej wybuchnęłaby płaczem.

Tylko dlaczego?

Nie wykorzystał sposobności, jaką nasunęła mu ta chwila, i podczas gdy Anna z wolna dochodziła do siebie, on zajął się kolejnym makaronikiem. Miała zaczerwienione oczy; wiedział, że gdyby teraz spojrzała do lustra, raczej nie byłaby zachwycona.

- Owen ma na oku jakąś konkretną owcę? - spytał, usiłując skierować rozmowę na bardziej neutralny grunt.

- Owen... - zaczęła Anna, po czym zaciśnęła usta. Mike wiedział, że nigdy nie wyraziłaby się źle o mężu. Inna kobieta na jej miejscu zapewne ponarzękałaby na brak uwagi i porozumienia, niechęć do rozmowy, a nawet obojętność wobec uczuć żony. Ale nie Anna.

- Niedługo wróci - uzupełniła i Mike potraktował to jako przestrożę.

Skinał głową. Wyprostował się na krześle i dopił wino, sygnalizując gotowość do zakończenia wizyty.

- Na mnie już czas - powiedział.

Zrobiła to bez ostrzeżenia. Mike ani się spostrzegł, jak przykryła ręką jego dłoń.

Ten pierwszy dotyk nie przyprawił go o wstrząs, ale rozszedł się falą po całym ciele.

Mike spojrzał na ich dłonie, złączone na stole. Czuł, że nie było to zaproszenie, ale deklaracja, choć nie był do końca pewien, czego dotyczyła.

Poczuł lekki ucisk palców, po czym Anna cofnęła dłoń.

- Jesteś dla nas taki dobry - powiedziała, jakby oboje potrzebowali wymówki.

Wstał, a ona zaniósła kieliszki do zlewu. Zobaczył, że myje je bardzo starannie, a następnie odstawia na suszarkę. Wiedział, że po jego wyjściu zostaną wytarte i wstawione z powrotem do szafki. Nie miał pojęcia, co zrobi z napoczętą butelką wina.

- Powodzenia na zebraniu - powiedział, zakładając kurtkę.

- Dzięki.

- Wpadnę za jakiś czas.

Anna spojrzała na zastawiony przekąskami stół w jadalni, a kiedy ponownie skierowała wzrok na Mike'a, wyglądała tak, jakby właśnie podjęła ważną decyzję.

- Tak - powiedziała. - Koniecznie.

Ellen

Przez chwilę patrzysz synowi w oczy. Po raz pierwszy widzisz takie spojrzenie, przejmując cię dreszczem.

- Co się stało, Rob? - pytasz.

Przymyka oczy. Nie odpowiada.

Za twoimi plecami do pokoju wchodzi dyrektor.

- Pani Leicht - mówi. Odwracasz się, a wtedy on lekko wzdyga się na twój widok. Trudno powiedzieć, co masz wypisane na twarzy.

Spotykaliście się kilkakrotnie. Za każdym razem rozmawialiście o Robie. Wysłuchiwałaś komplementów. Wymienialiście uwagi na temat drużyny bądź roku szkolnego. Kto wie, może odbyliście tę samą rozmowę z pół tuzina razy.

- Chciałbym porozmawiać z twoją mamą na osobności, Rob - mówi dyrektor. - Możesz tu zostać, my przejdziemy do mojego gabinetu.

Syn z ulgą przyjmuje twoje wyjście. Nie chce przebywać z tobą w tym samym pomieszczeniu. Czujesz to na odległość.

Wchodzisz za dyrektorem do gabinetu. Siada za biurkiem, domyślasz się, że masz usiąść na krześle ustawionym po drugiej stronie. Ależ on ma niebieskie oczy, nigdy nie zwróciłaś na to uwagi. Jest drobny, co również cię dziwi, dawniej wydawał ci się wyższy. Nosi okulary i w naturalnym świetle ukośnie padającym z okna widzisz, że ma pomazane szkła. Zastanawiasz się, jakim cudem dostrzegasz takie drobiazgi, skoro masz na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

- Dziękuję, że pani przyjechała - mówi.

Powtarzasz pytanie, które zadałaś wcześniej synowi.

- Co się stało?

Dyrektor pyta, czy napijesz się wody, a ty kiwasz głową. Odwraca się i z półki, która wisi za jego plecami, bierze małą butelkę wody mineralnej. Trzęsą ci się ręce; wiesz, że to zauważył. Nerwowym ruchem odgarniasz włosy za ucho i czujesz, że zgubiłaś kolczyk. Sprawdzasz drugie ucho. Został tylko jeden. Przelatuje ci przez myśl, że pewnie zawieruszył się w samochodzie.

- Właśnie rozmawiałem o tym z Robem - mówi mężczyzna naprzeciw ciebie.

Pospiesznie chwytasz oddech.

- Przez telefon powiedział pan tylko, że Rob jest oskarżony o przestępstwo... na tle seksualnym. Został wyrzucony ze szkoły?

- To jedynie kwestia czasu - odpowiada.

Lekko przekrzywiasz głowę, jakbyś nie dosłyszała.

Dyrektor przytakuje.

Wyrzucony. Słowo przelatuje z impetem przez twój mózg, siejąc w nim spustoszenie.

- Co on takiego zrobił?

- Trudno mi o tym mówić, pani Leicht.

- Ellen.

Dyrektor spogląda na ciebie przez chwilę. Zmienia pozycję na krześle. Uzmysławiasz sobie, że siedzisz wychylona w jego stronę.

- Pani syn dopuścił się wykroczenia wobec nieletniej - oznajmia.

Mija dłuższa chwila, zanim odzyskujesz mowę.

- Słucham?

Dyrektor nie odpowiada.

- Nic z tego nie rozumiem - mówisz. To prawda. Nie możesz sobie tego wyobrazić.

- Uprawiał... seks... z dziewczyną, która ma dopiero czternaście lat. O ile dobrze pamiętam, Rob ma lat... osiemnaście?

Powoli kiwasz głową, usiłując to wszystko ogarnąć.

- Czy to jest podstawa do wyrzucenia ze szkoły? - pytasz.

Na twarzy dyrektora odbija się zdziwienie.

- Niestety tak. - Wygląda, jakby chciał coś dodać, ale zmienia zdanie.

- O Boże - mówisz.

Dyrektor sięga po pióro i zaczyna postukiwać nim w notes.

- Czy jest pan pewien, że chodzi o Roba? - pytasz.

- Tak - odpowiada.

- Skąd pan wie, że ta dziewczyna... zakładam, że ma jakieś imię... ta czternastoletnia dziewczyna i mój syn brali... udział w tym, jak pan to ujął, incydencie?

- Nakręcono z tego film - przyznaje z ociąganiem dyrektor. - Tak się złożyło, że kasetą dostała się w moje ręce. W ten sposób się dowiedziałem.

Unosisz do piersi zaciśniętą pięść i mocno przyciskasz.

- Kasetą - powtarzasz jak echo.

- T a k .

- Mój syn i ta dziewczyna. Widział ich pan.

- T a k .

- Czy to jest...? - Nie możesz dokończyć pytania.

- Drastyczne? - Dyrektor kończy za ciebie. - Niestety.

Zasłaniasz ręką usta, jakby to ciebie przyłapano na gorącym uczynku. Jakbyś to ty została zdemaskowana.

Dyrektor czeka. U nasady włosów pojawiły mu się kropelki potu. Jemu też jest ciężko - myślisz. Aż go skręca.

- Ile osób obejrzało ten film? - pytasz.

Kręci się na krześle, jakby wolał się nad tym nie zastanawiać.

- Trudno powiedzieć - mówi wymijająco. - Cztery osoby z kadry. Nie wiemy, jak długo nagranie krążyło wśród uczniów, ale są podstawy, aby sądzić, że parę osób zdążyło się z nim zapoznać.

Milczysz.

- Pewna grupa jest również zamieszana w sam incydent
- dodaje dyrektor. Każde zdanie kryje w sobie kolejny cios, jakby nie dosyć było pierwszego. - Konkretnie pięć osób.

- Pięć?

- Trzech chłopców, w tym pani syn, dziewczyna oraz osoba, która nakręciła film. Nie znamy jeszcze jej tożsamości.

Nie wierzysz własnym uszom.

- Czy to... czy to była... orgia? - pytasz. Przy ostatnim słowie głos z lekka odmawia ci posłuszeństwa.

Dyrektor drapie się w czubek nosa, jakby zbierało mu się na kichanie.

- Coś w tym rodzaju - odpowiada. - Wolałbym nie zagłębiać się w szczegóły. Raczej nie musi ich pani znać, to nie wpłynęłoby dobrze ani na panią, ani na pani syna. Dość rzec, iż... jak by to ująć? ... wygląda na to, że Rob nie współżył z dziewczyną w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Niechciane obrazy stają ci przed oczami, próbujesz je wymazać ze świadomości. Jeżysz się na myśl, że ktoś broni ci dostępu do informacji bezpośrednio dotyczących twojego syna. Za kogo się właściwie uważa? Lecz po chwili zaczynasz rozumieć, że dyrektor ma rację. Za nic w świecie nie chcesz tego oglądać.

- Skąd pan wie, że to na pewno Rob?

- Wiem - mówi.

- Skąd ta pewność?

- Po prostu wiem. Rozpoznali go jeszcze dwaj inni członkowie kadry.

- Boże. - Kolejne wieko zatrzaskuje się z hukiem, zamykają się kolejne drzwi.

Myśl, że inni dorośli oglądali twoje dziecko uprawiające seks z nieletnią - z jakąkolwiek - dziewczyną, ciąży ci na sercu jak kamień.

Dyrektor przesuwając bliżej ciebie butelkę z wodą. Sięgasz po nią i bierzesz duży łyk.

- Czy powinienam wezwać prawnika? - pytasz.

Dyrektor ucieka spojrzeniem w bok.

- Owszem, jeśli kwestionuje pani decyzję o wydaleniu ze szkoły - wyjaśnia. - Jestem zmuszony *zaznaczyć*, iż byłoby to równoznaczne z upublicznieniem sprawy.

- Czy to znaczy, że możemy tego uniknąć? - pytasz.

- W pewnym sensie. Pozostali uczniowie będą wiedzieli, że Rob i dwaj inni chłopcy zostali usunięci ze szkoły, bez plotek się nie obejdzie. Jak dotąd dokładaliśmy starań, aby rzecz nie wydostała się poza szkolne mury. Nie widzę potrzeby, aby miało być inaczej.

Strząsasz z twarzy kosmyki. Padające z ukosa światło razi cię w oczy i przyprawia o ból głowy. Na biurku stoi oprawione w ramki zdjęcie dyrektora sprzed lat w towarzystwie wysokiej, ciemnowłosej kobiety. Widziałas żonę dyrektora raz lub dwa, ale nie możesz sobie przypomnieć jej imienia.

- Co to właściwie znaczy „usunięci ze szkoły”? - pytasz.

- To znaczy, że Rob nie dokończy tu czwartej klasy. Wiosną może się ubiegać o ponowne przyjęcie od nowego roku szkolnego. Moim zdaniem miałyby na to duże szanse. Pani Leicht... Ellen... pani syn jest wzorowym uczniem, utalentowanym sportowcem oraz, pomijając ów nieszczęsny incydent, dobrym dzieckiem.

Wzmianka o „dobrym dziecku” jest niemal nie do zniesienia. Przypominasz sobie harcerza, chłopca na deskorolce, niemowlę prosto z kąpieli.

- To bardzo, bardzo niefortunna sprawa - dodaje dyrektor. - Proszę mi wierzyć, wszyscy jesteśmy tak samo wstrząśnięci.

Akurat.

- Radziłbym jednak, żeby na resztę roku zapisała go pani do szkoły publicznej. Nie chcemy przecież, żeby narobił sobie zaległości.

- Dostał się do Browna, i to od ręki. - Utajona skarga brzmi niestosownie nawet w twoich własnych uszach. Wykorzystano dziewczynę. Twój syn może zostać oskarżony o gwałt.

Dyrektor wdryga się lekko.

- Musimy zawiadomić uczelnię - mówi cicho.

Kurczysz się na krześle.

- Kto by się tego spodziewał... - mówisz.

Przypominasz sobie wielogodzinną naukę, zaliczane śpiewająco klasówki, dumnie prezentowane świadectwo. I po co to wszystko? Po to?

- Czy mój syn dopuścił się gwałtu?

- Niezupełnie - precyzuje dyrektor. - Stosunek z nieletnią jest określany w stanie Vermont jako napaść na tle seksualnym. Spieszę dodać, że pani syn nie został oskarżony o żadne przestępstwo. Ale jego wina nie ulega wątpliwości.

- Wina? - pytasz. - Nie rozumiem.

- Rob złożył pisemne oświadczenie - tłumaczy dyrektor.

- Zostanie ono przedstawione w piątek zamiast zeznania. Obejdzie się również bez pokazania filmu.

- Rob podpisał jakieś oświadczenie?

Zdajesz sobie sprawę, że powtarzasz za nim jak papuga, ale twój mózg przetwarza informacje nieco wolniej niż zwykle.

- To zwykły dokument - odpowiada dyrektor cichym głosem, jakby przeczuwał nadciągającą burzę.

- Czy mogę go zobaczyć?

Na twarzy dyrektora widać wahanie.

- Zawiera szczegóły, których wolałaby pani nie znać. Na razie.

Buntujesz się w duchu, że nie pozwala ci obejrzeć dokumentu autorstwa twojego syna, ale raz jeszcze czujesz, że ma rację. Nie masz najmniejszej ochoty na poznanie szczegółów czegoś, co mogło być orgią. Czujesz, jak ziemia usuwa ci się spod nóg.

Słyszysz, że dyrektor wstaje zza biurka i wychodzi z gabinetu. Po chwili wraca z pudełkiem chusteczek.

Pociągasz nosem, przechodzi cię dreszcz.

- Czy dziewczyna na filmie stawia opór? - pytasz, wycierając nos.

- Bynajmniej - odpowiada dyrektor. - Wręcz przeciwnie.

Wydajesz mimowolne westchnienie ulgi, co nie uchodzi uwagi dyrektora.

- Niestety nie umniejsza to powagi sytuacji - dodaje po-
spiesznie.

Sztwniejesz odruchowo i zaczynasz rozumieć, że mężczy-
zna na wprost ciebie stanie się niebawem twoim śmiertelnym
wrogiem.

- Czy ona... sama nie wiem... ich uwiodła?

- Pani syn ma osiemnaście lat - mówi dyrektor i w jego
głosie po raz pierwszy słyszysz gniew.

Colm

Zostałem w pracy do późna, jak zwykle. Musiałem przejrzeć lokalne gazety z Nowej Anglii. W ten sposób zdobywamy trzydzieści procent tematów. Oczywiście korzystam z Internetu, dzięki temu docieram szybciej do informacji. No więc czytam sobie jakieś bzdety w „Rutland Herald” o zdewastowaniu cmentarza przez bandę wielbicieli paintballu i o zamknięciu szkoły w wyniku zagrożenia pożarem, po czym dochodzę do kroniki policyjnej Avery. To najbardziej poczytna część każdego dziennika. Bije nawet nekrologi. I proszę, co moje piękne oczy widzą: „Osiemnastoletni uczeń oskarżony o napaść na tle seksualnym. Dziewiętnastoletni uczeń oskarżony o napaść na tle seksualnym. Poszukiwania osiemnastoletniego ucznia w związku z napaścią na tle seksualnym”. Przy słowie „uczeń” zapaliło mi się światło. Po pierwsze, w kronikach rzadko zamieszcza się informację o tym, czym się dana osoba zajmuje, a po drugie, słowo „uczeń” w powiązaniu ze słowem „Avery” natychmiast nasuwa myśl o „uczniu z Avery”, a co za tym idzie, „uczniu Akademii Avery”. No to myślę sobie: Skoro faktycznie chodzi o Akademię Avery i miała miejsce napaść na tle seksualnym - od razu założyłem, że ofiarą jest uczennica - kroi się ciekawa historia. Nie chcę dzwonić do znajomego gościa z Rutland, wolę na razie nie puszczać pary z ust, może jeszcze nie zauważył słowa „uczeń”. Najpierw wykręcę numer posterunku w Avery. Zawsze ktoś siedzi na dyżurze, nawet w tych pipidówkach, chociaż czasami trzeba zerwać go z łożka.

Słuchawkę podnosi sierżant Quinney, czyli pan na włościach we własnej osobie. Przedstawiam się i pytam, czy zatrzymał dwóch podejrzanych o napaść na tle seksualnym. Odpowiada półgębkiem, jest poirytowany. Mówi, że owszem, a moje pytanie o ich nazwiska kwituje związłym: „Bez komentarza”. Pytam, czy znaleziono już trzeciego ucznia, a on mi na to, że nie może mi powiedzieć, co jest oczywistą bzdurą, gdyż skoro prowadzą poszukiwania, nazwisko zaginionego nie jest żadną tajemnicą. Ale odpuszczam, mam swoje sposoby, żeby się dowiedzieć. Pytam o nazwisko ofiary, a ten mi znowu wyjeżdża z tym swoim: „Bez komentarza”, tym razem mocno wnerwiony, bo powinienem wiedzieć, że nie może mi udzielać takich informacji. Oczywiście wiem o tym doskonale. Ale widzi pani, nie wszystkie pytania mają na celu uzyskanie odpowiedzi. Większość ma rozwiązać rozmówcy język, nakłonić go do powiedzenia czegoś, co naprowadzi mnie na właściwy trop.

Pytam, czy chodzi o uczniów Akademii Avery, a on mi mówi, że tak. Zacieram ręce. Dziwię się, że w ogóle puścił farbę, ale nie daję nic po sobie poznać. Pytam, jak dowiedział się o sprawie; odpowiada, że zadzwonili do niego rodzice ofiary. Mimochodem pytam o ich nazwisko. Ale się wściki! Mnie to zwisa, liczyłem, że wyciągnę od niego, z jakiego miasta są ich rodzice, a nuż to miejscowi? Burczy, że nie ma nic więcej do powiedzenia, i rzuca słuchawką.

No to ja migiem robię notatki i szperam w Internecie. Znajduję nazwisko dyrektora szkoły - naturalnie wszyscy wiemy, że był nim wówczas Michael Bordwin - i dzwonię do niego do domu. Podnosi słuchawkę; spał, ale od razu jest czujny. Słyszę w jego głosie, że ma za sobą ciężki dzień. „Kto mówi?” - pyta. Przedstawiam się, a on od razu, że nie ma nic do powiedzenia. „Nic do powiedzenia o czym?” - ja mu na to. A gdy milczenie się przedłuża, mówię mu, że wiem o dwóch uczniach Avery zamieszanych w napaść na tle seksualnym. Bordwin nie odpowiada, potwierdzając tym samym moje domysły. Pytam, czy chciałby to jakoś skomentować, i tradycyjnie przekonuję, że to tylko w jego interesie, ponieważ sprawa

i tak wyjdzie na jaw, toteż warto określić swoje stanowisko. A kiedy już myślę, że mi trzaśnie słuchawką, mówi: „To był bardzo trudny dzień dla całej społeczności Avery”. „Dlaczego zatrzymano tylko dwóch chłopców? - pytam. - Gdzie jest trzeci?”. Wtedy dociera do niego, że guzik wiem, i rozłącza się bez słowa.

Nic nie szkodzi, ponieważ ja już wybiegam z domu i pędzę do samochodu. Dotrę do Avery przed świtem, pójdę prosto na komisariat i zażądam wyjaśnień. Ale najbardziej cieszy mnie to, że zyskam dostęp do najlepszego źródła, jakie może sobie wymarzyć dziennikarz. Do uczniów.

Gail

Pragnę wyjaśnić, że nie będę komentował sprawy z perspektywy zawodowej, czyli jako profesor prawa Uniwersytetu Vermontu, lecz jako laik z pewną znajomością tutejszych przepisów, którego poproszono o ocenę sytuacji.

Oglądałem rzeczony film. Na pierwszy rzut oka widać, iż rzecz dzieje się za przyzwoleniem czternastolatki. Ponadto jej stan wskazuje na spożycie alkoholu, z własnej czy też z cudzej inicjatywy. W żadnym momencie nie sprawia wrażenia nieprzytomnej bądź pozbawionej świadomości. Jeśli już, wygląda raczej na dość obeznaną z tematem.

Jednak owego wieczora wystąpiły inne, ważniejsze czynniki, które powinny decydować o podjęciu ewentualnych sankcji prawnych. Obecność jednej dziewczyny i trzech chłopców, w dodatku starszych od niej o co najmniej cztery lata, siłą rzeczy wskazuje na przymus. Późniejsze argumenty oskarżonych, jakoby dziewczyna ich uwiodła, działała dobrowolnie, a nawet bezpośrednio przyczyniła się do zaistniałej sytuacji, są pozbawione racji bytu. Ulegając jej rzekomym naciskom - bez względu na stopień jej „kompetencji” tudzież upojenia alkoholowego - stali się winni naruszenia prawa obowiązującego w stanie Vermont. Nietrudno udowodnić przymus, prawo nie pozostawia tu miejsca na domysły. Sytuacja z udziałem dwóch osiemnastolatków, dziewiętnastolatka i czternastoletniej dziewczyny narzuca określoną interpretację. Oglądając taśmę, można by powiedzieć: „Sama się o to prosiła”. W świetle prawa nie jest ważne, czy się prosiła, czy nie. Z racji swojego

wieku chłopcy winni byli odmówić. A że tego nie uczynili, zostali słusznie aresztowani i oskarżeni o przestępstwo na tle seksualnym.

Niniejsza sprawa dotyka również kwestii nieco innej natury. Po obejrzeniu wspomnianego filmu dyrektor wezwał do siebie dwóch spośród trzech winowajców i zażądał od nich pisemnych oświadczeń bez uprzedniego porozumienia z rodzicami lub prawnikiem. Oświadczenia te miały posłużyć jako dowody podczas zebrania komisji dyscyplinarnej, zaplanowanego na tamten tydzień. W tym wypadku również mamy do czynienia z przymusem, i to w najczystszej postaci. Wiedząc, że w podobnej sytuacji niewielu osiemnastolatków dobrowolnie zasięgnęłoby rady rodziców bądź prawników (choćby w obawie, że ci pierwsi obejrzą kompromitującą taśmę), dyrektor założył słusznie, że chłopcy przyznają się do winy. Dobitnie świadczy to o próbie zatajenia skandalu przed opinią publiczną. O ile mi wiadomo, później tego samego dnia rodzice ofiary zadzwonili do szkoły z żądaniem poczynienia odpowiednich kroków. Tym sposobem, jeszcze przed zwołaniem komisji dyscyplinarnej, pisemne zeznania chłopców, równoznaczne z przyznaniem się do winy, zostały przekazane policji. Aż do chwili aresztowania żaden z nich nie miał możliwości skorzystania z pomocy prawnej.

Jeden z chłopców, dziesiętnastoletni James Robles, wytoczył szkole proces o bezprawne i niesprawiedliwe potraktowanie jego osoby. Podobno zerwano z nim kontrakt, gdy został zmuszony do złożenia zeznań pod nieobecność rodziców bądź adwokata. W myśl prawa każdego obywatela do obrony, do czasu pojawienia się adwokatów szkoła winna uszanować suwerenność domniemanych winowajców, a co za tym idzie, nie zmuszać ich do zeznań, tylko doradzić zachowanie milczenia i powstrzymanie się od jakichkolwiek działań. Według postawionych zarzutów władze szkoły naruszyły tę zasadę, gdyż interes uczniów nie pokrywał się z interesem samej akademii. Podczas gdy uczniowie nie byli świadomi konieczności natych-

miastowego powiadomienia rodziców, dyrektor - człowiek nie tylko starszy, ale i bardziej wykształcony - niewątpliwie zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Mamy oto do czynienia z osobliwym przykładem ironii prawnej, gdyż zarzut sprowadza się do tego, iż chłopcy zostali przymuszeni do złożenia zeznań. W świetle prawa obowiązującego w stanie Vermont, przedkładając własny interes ponad dobro uczniów, szkoła najprawdopodobniej dopuściła się przestępstwa.

Mike

To podniecenie, owe impulsy elektryczne zakłócające jasność myślenia i działania, stanowiły dla Mike'a zupełną nowość. Czy tak samo czuł się podczas owej pamiętnej kolacji z okazji Święta Dziękczynienia, spoglądając na siedzącą naprzeciw Meg? Był wówczas młodszy o blisko dwadzieścia lat, więc być może jego ciało straciło dawną odporność na stres, co tłumaczyłoby ową dziwną nadpobudliwość. Kiedy nie wspominał tego, jak Anna stała przy blacie z rękami splecionymi pod biustem, rozmyślał o tym, jak odwróciła głowę, poruszona jego pozornie zdawkowym słowem. Albo jak nakryła dłonią jego rękę, ku jego wielkiemu zdumieniu. Stojąc we własnej kuchni, nalał sobie kieliszek czerwonego wina, z gorącym pragnieniem uwiecznienia w pamięci tej jakże wiotkiej nici porozumienia. Cieszył się, że Meg jest na zebraniu i wróci dopiero około dziewiątej; nie czułby się na siłach, żeby z nią teraz rozmawiać. Zwłaszcza że od pewnego czasu ich rozmowy stawały się coraz bardziej uciążliwe. Czasami Mike zachodził w głowę, czy Meg nie miała aby kochankę. Zakładał, że to możliwe. Co więcej, charakterystyczna drażliwość żony ostatnimi czasy zyskała wręcz wymiar obsesji. Bywało, że Mike denerwował ją do tego stopnia, że prawie nie mogła wydobyć głosu. Zastanawiał się, co tak naprawdę stanowi przyczynę jej irytacji. Może liczyła na lepsze małżeństwo? Może nie zaspokajał jej w łóżku? A może po prostu dawał o sobie znać jej niespokojny duch, rozeźlony perspektywą wieloletniego pobytu w Avery. Faktycznie, w razie gdyby przyszło im zabawić

tu do emerytury, Mike też nie byłby tym zachwycony. Często miał ochotę zapytać ją w czym rzecz, lecz gdy wreszcie zbierał się na odwagę, zbywała go jakimis̄ błāhostkami, nad którymi w ogóle się nie zastanawiał bądź o których nawet nie wiedział, jak na przykład niepewna przyszłość siatkarskiej drużyny. Ku rozpaczy Mike'a bywało też, że jego pytanie przelewało czarę goryczy i Meg wzdychała ciężko lub, co gorsza, wychodziła z pokoju.

Otworzył lodówkę, ale jej zawartość była niezbyt zachęcająca. Zresztą i tak nie chciało mu się jeść. Usiadł przy kuchennym stole, po czym zerwał się i zaczął spacerować tam i z powrotem. Myślał o Annie. Żałował, że nie odpowiedział jej podobnym gestem. Żałował, że jej nie dotknął. Ciekawe, czy żałuje tamtego gestu. Może jest zawstydzona? Miał ochotę do niej zadzwonić, żeby porozmawiać.

O czym? - zapytał się w duchu. Że mu na niej zależy? Że był równie poruszony jak ona? Że musi się hamować, aby do niej nie zadzwonić pod pretekstem pogawędki o zebraniu?

Zachowujesz się jak piętnastolatek, upomniał się w duchu, krążąc po domu. Był żonaty. Ona była mężatką. To on zaprosił Quinneyów do Avery. W razie romansu jego pozycja mogła zawisnąć na włosku. Anna miała syna. Jakże błāhe wydały mu się te argumenty w świetle paradoksalnej obietnicy ciepła i dreszczyku, ryzyka i spełnienia, aż sam się zdumiał. W miarę upływu czasu - a czas tego wieczora płynął ze zwodniczą powolnością, jakby celowo dając mu chwilę do namysłu - popołudniowa wizyta u Quinneyów poczęła jaśnieć w jego umyśle niezwykłym blaskiem, zacierając cienie i poczucie lojalności małżeńskiej.

Nigdy nie zdradził Meg. Nie zaznał nawet poważniejszej pokusy. Wychodził z założenia, że mężczyzna skazany na ciągłe towarzystwo ponętnych nastolatek wytwarza swoiste antyciała, które czynią go odpornym na kobiece wdzięki. Fakt, że to właśnie Anna przebiła się przez ów niewidzialny mur, a nie osiemnastoletnia uczennica bądź dwudziestotrzyletnia stażystka, świadczył jego zdaniem o resztkach przytomności umysłu.

Ale był jeszcze Owen. I Silas. No i Meg. Istnieli i należało o nich pamiętać.

Wszedł do kuchni i nalał sobie kolejny kieliszek wina, odkrywając ze zdumieniem, że wypił prawie całą butelkę.

Anna ogromnie ryzykowała.

On także.

Sięgnął po komórkę i wykręcił numer Quinneyów. Modlił się, żeby ani Owen, ani Silas nie podnieśli słuchawki. Jeśli to jednak nastąpi, grzecznym i możliwie rzeczowym tonem poprosi Annę. Po prostu chciał wiedzieć, jak przebiegło zebranie. Zaangażowanie rodziców to dla dyrektora szkoły istotna sprawa.

Odebrała Anna.

- Spodobałaś mi się od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem - wypalił bez ogródek Mike.

W słuchawce nastąpiła chwila ciszy.

- Wisiałaś do góry nogami - zauważyła wreszcie Anna z uśmiechem w głosie.

- Jesteś sama? - spytał Mike.

- Tak jakby.

- Ja... - Mike nie wiedział, jak opisać swój obecny stan ducha.

- Śmiesznie wyglądałaś - dodała. - Głową w dół.

Mike uśmiechnął się odruchowo. Lubił tę jej figlarną żyłkę. Flirtowanie, kpiący ton. Oparł się o kuchenny blat, nie odrywając wzroku od podjazdu.

- Mógłbym przyjechać?

- Nie.

- Owen w domu? - Mike popatrzył na swoje skarpetki. Na dużym palcu prawej stopy widniała ogromna dziura. Będzie musiał ją wyrzucić. Ani on, ani Meg nie mieli pojęcia o cerowaniu.

- T a k .

- To może jutro?

- T a k .

- O tej samej porze? Mógłbym zabrać butelki.

- Dużo wypiliśmy - oznajmiła Anna. - Ja dużo wypiałam - dodała. Słyszał to w jej głosie, pewne rozluźnienie spółgłosek. Zastanawiał się, jak brzmi jego własny głos.

- Ponosisz niewiarygodne ryzyko - powiedział. Odwróciwszy się, oparł czoło o szafkę.

- Wiem - odpowiedziała.

- Dawno nie czułem czegoś takiego - przyznał.

Anna milczała.

- Spotkajmy się, teraz - nalegał z bezmyślnym uporem.

- Nie mogę.

- Dobrze, zatem jutro. Owen wyjeżdża?

- Tak. Znowu coś mu wypadło.

Mike zobaczył na podjeździe światła samochodu Meg.

- Muszę kończyć - rzucił pospiesznie. Nie chciał wypowiedzieć na głos imienia żony. - Nie chcę, ale muszę.

- Wobec tego do jutra - odpowiedziała Anna.

Wepchnął komórkę do kieszeni. Powinien był przygotować dla Meg coś do przegryzienia. Choćby małą przekąskę zamiast kolacji. Schował pustą butelkę po winie, otworzył lodówkę i wyjął dwa bloczki sera. Odwinął je z folii i położył na desce do krojenia. Kiedy otwierał słoik oliwek, Meg weszła do kuchni.

Rozpięta płaszcz i strząsnęła go na podłogę, a następnie postawiła na nim torebkę. Zrzuciła buty.

- Muszę się napić - oznajmiła.

- Czerwone? Białe?

- Może być białe. - Spojrzała krytycznie na mizerną wartość deski. - Mamy świeży chleb? - zapytała, z miejsca przybierając oskarżycielski ton. Według niepisanej zasady obowiązek przyrządzenia kolacji spoczywał na osobie, która pierwsza wracała do domu; nic wielkiego, byle coś wrzucić na ruszt.

Mike modlił się, żeby tak było. W kredensie znalazł jedną trzecią bochenka, twardego jak kamień. W pocie czoła odkroił kawałek i wepchnął go do tosterka. Następnie wyjął z lodówki

butelkę pinot grigio, mając nadzieję, że dobre wino udobrucha żonę. Hojnie napełnił kieliszek.

- Proszę, jacy jesteśmy dzisiaj łaskawi - burknęła.
- Marnie wyglądasz. Ciężkie zebranie?
- Długie, nieznośne i kompletnie niepotrzebne - oznajmiła.

Popatrzyła na męża. - Ty też nie wyglądasz kwitnąco - dodała. Przechyliła głowę na bok. - Piłeś?

Mike z wolna skinął głową.

- Tak.
- Gdzie?
- Poszliśmy z Coggeshallem na parę głębszych.
- Nie cierpisz Coggeshalla - stwierdziła.
- Ano tak. Dlatego musiałem się napić.
- Czego chciał?
- Bóg raczy wiedzieć - odpowiedział Mike. - Rozmowa dotyczyła pewnych członków kadry, którzy nie spełniają pokładanych w nich oczekiwań. Nie było mowy o tobie.

- Myślę, że Larry powinien mieć się na baczności.

Mike bezmyślnie skinął głową, skazując człowieka, nad którym w ogóle się nie zastanawiał. Był pijany. Albo prawie pijany. Lecz mimo stanu otępienia impulsy elektryczne wciąż dawały o sobie znać i podniecenie nie opuszczało go ani na chwilę.

Meg spojrzała na ser.

- To wszystko?
 - Ja też dopiero wróciłem - odparł Mike. - Zrobię sałatkę.
 - Nic nie rób - odpowiedziała. - Musimy porozmawiać.
- Mike poczuł lekkie ukłucie strachu.

- O czym?

- Usiądź - poleciła Meg. Przysunęła krzesło do stołu. Mike oparł się o blat.

- Chcę mieć dziecko. - Meg nigdy nie owijała w bawełnę.
- Nie znosisz dzieci - odrzekł zbyt szybko Mike.
- W sensie zbiorowym, nie indywidualnym.

Mike znał różnicę, ale udał, że nie rozumie. Zmarszczył brwi.

- Mam czterdzieści trzy lata - obwieściła. - I ani chwili do stracenia.

Sprawa była wrażenie niezwykle zdeterminowanej. Zażąda od niego, aby niezwłocznie przystąpił do dzieła? Tu, w kuchni? Albo za parę minut w sypialni? Strach zagnieździł się w sercu Mike'a i czekał.

- Na pewno się nad tym zastanawiałaś - powiedziała wreszcie, zirytowana jego milczeniem.

- Myślałem, że podjęliśmy inną decyzję - odparł.

- To było pięć lat temu. - Podniosła kieliszek, żeby go ponownie napełnił, i Mike nagle uświadomił sobie, że nie jest dostatecznie pijany. I napełnił po brzegi oba kieliszki.

- Dasz mi chwilę do namysłu? - zapytał. - Kilka dni?

- To kwestia instynktu - odpowiedziała. - Nie potrzebujesz kilku dni. Poza tym sam dobrze wiesz, że mój zegar biologiczny tyka jak wariat.

- Louise urodziła pierwsze dziecko w wieku czterdziestu pięciu lat - przypomniał, nawiązując do znajomej nauczycielki.

- Pomyślałam wtedy, że to grzech, bo kiedy jej syn skończy dwadzieścia lat, ona będzie miała sześćdziesiąt pięć.

- A ty sześćdziesiąt trzy - przypomniał i z miejsca pożałował swej niedelikatności.

- Ale będę się świetnie trzymać - skwitowała.

Co prawda, to prawda. Meg trzymała się wyśmienicie.

- Co wpłynęło na zmianę decyzji? - spytał niechętnie.

- Mam dość opieki nad cudzymi bachorami. Pora zająć się własnym. Pewnie i tak poprzestaniemy na jednym.

- Ja... ja nie wiem, co powiedzieć - stwierdził Mike.

- Cóż, pomyśl o mnie: ty możesz zdecydować się na dziecko po pięćdziesiątce, chociaż to na pewno byłby grzech, ale ja nie. Tu chodzi przede wszystkim o mnie. Jeśli początkowe próby zawiodą, może nawet będę musiała się leczyć.

- A kiedy dokładnie chcesz...

- Zacząć? W niedzielę. Przeczytałam parę artykułów i książek. Przeprowadzono nowe badania. - Umilkła, mie-

rząc go baczny spojrzeniem. - Chyba się nie boisz, co?
- zapytała.

Mike czuł, że nie pozostaje mu nic innego jak rozłożyć ręce i wzruszyć ramionami.

- Ten ser śmierdzi - oznajmiła Meg, pochylając się nad deską. - Mamy coś jeszcze? Umieram z głodu.

Miał na końcu języka, że jest po prostu głodna. Chciał zostać sam, żeby pomyśleć, ale najpierw musiał nakarmić żonę. Od niedzieli dzieliły go cztery dni, co sprawiło mu pewną ulgę. Nie miał pojęcia, jak odmówi kobiecie, która właśnie wahała oliwki. Czy oliwki w ogóle mogą się popsuć?

- No dobrze - powiedziała. - Przemyśl to sobie. Jutro wieczorem porozmawiamy.

Jutro wieczorem - pomyślał Mike i zakręciło mu się w głowie. Jutro wieczorem miał nadzieję być szczęśliwy.

Ellen

Kupujesz szczoteczki do zębów, po czym zatrzymujesz się przy pierwszym napotkanym motelu, który w normalnych warunkach ominęłabyś szerokim łukiem. Obok ciebie siedzi twój osiemnastoletni syn w brązowej bluzie i czapce baseballowej Red Sox. Nie odezwał się do ciebie ani razu, chociaż odpowiada na twoje rzeczowe pytania. „Masz swoje książki? Nic innego nie bierzesz?”. Nie pytasz, czy chce nocować z tobą w motelu. Po prostu mu to oznajmiasz, tak jak oznajmiasz to sekretarce dyrektora szkoły, nie czekając na pozwolenie. Nie życzysz sobie, żeby spędził w internacie choćby jedną noc, choć teoretycznie jeszcze nie skreślono go z listy uczniów. Nie opuścisz go ani na krok. Dawno nie pragnęłaś tego tak żarliwie, dziwi cię to, a zarazem cieszy: nie sądziłaś, że wciąż jesteś zdolna do takich uczuć. To twój syn i nie spuścisz go z oka. Szkoda, że wcześniej nie powzięłaś tego postanowienia. Nie dopuszczasz do siebie myśli, że jak na ironię wysłałaś go z domu, aby go uchronić przed niebezpieczeństwem. Nie tylko go na nie naraziłaś, ale co gorsza, przez ciebie stał się jego sprawcą. Po raz pierwszy przychodzi ci to do głowy.

Nie, nie będziesz się teraz nad tym zastanawiać. Nie pora na ironię. Mówisz synowi, który wygląda przez okno, który wyglądał przez okno przez całą drogę, który uparcie nie patrzy na ciebie, że zaraz wrócisz. Dziwisz się, że starcza mu tupetu, aby nosić czapkę z daszkiem do tyłu.

Niby drobiazg, ale kryje w sobie niezaprzeczalną celowość.

Recepcja motelu Mountain View świeci pustkami. Widzisz małe biurko, krzesło w rogu i stół z drewna klonowego, jaki zwykle widuje się w poczekalni u lekarza, zdolny pomieścić jedynie czasopismo oraz kartę drinków z pobliskiego, jak się domyślasz, baru. Rozglądasz się za dzwonkiem.

- Halo? - wołasz z wahaniem. - Halo?

Z zaplecza dochodzi jakiś szmer i na progu zjawia się mężczyzna z brzuchem jak bęben. Widać, że coś jadł. W rękę trzyma zwiniętą serwetkę.

- Chcę wynająć pokój - mówisz. - Dla mojego syna i dla mnie.

Nagle przychodzi ci do głowy, że tamten ci nie wierzy; pewnie myśli, że romansujesz z nieletnim.

- Jest z akademii - dodajesz niepotrzebnie, od razu żałując tych słów. Kto wie, może akademia nie cieszy się sympatią miejscowych. Nic ci nie wiadomo o stosunkach łączących szkołę z miasteczkiem. Jakoś nigdy nie przywiązywałaś do tego wagi.

Podjmujesz kolejną próbę.

- Mój syn i ja. Chcielibyśmy wynająć pokój.

- Na jak długo? - pyta mężczyzna.

Sama nie wiesz. Do piątku, do czasu zwołania komisji dyscyplinarnej? Czy twój syn może tak długo przebywać poza szkołą? Czy jutro odwieziesz go do internatu? Wiadomość o taśmie rozniesie się po kampusie lotem błyskawicy, prawda? W przypływie paniki przyciskasz torebkę mocno do brzucha.

- Na dwie noce - mówisz, chociaż perspektywa dwóch nocy z milczącym synem, który unika twojego wzroku, wydaje się czymś niewykonalnym.

Mężczyzna, zapewne skłonny jak najszybciej podjąć przerwany posiłek, wymienia jakąś sumę. Prosisz o dwa łóżka. Jeśli cię słyszy, nie daje nic po sobie poznać. Zastanawiasz się, czy powtórzyć. Prosi o kartę, podpisujesz. Podaje ci plastikowy klucz w kopercie z numerem pokoju.

- Nie orientuje się pan, gdzie można zjeść dobrą kolację? - pytasz, a gdy mężczyzna udziela ci odpowiedzi, myślisz

o wspólnym posiłku z synem krnąbrnie wpatrzonym w blat stołu. - A pizzeria? - dodajesz. Dochodzisz do wniosku, że pizzę w pokoju mogłabyś jeszcze wytrzymać, choć pewnie i tak nie zdołasz nic przełknąć.

Wracasz do samochodu i przejeżdżasz na wyznaczone miejsce parkingowe. Z torebką w dłoni idziesz do drzwi i wyciągasz klucz. Rob podąża za tobą z plecakiem przerzuconym przez ramię i rękami w kieszeniach bluzy. Jest posłuszny jak więzień. Robi tylko to, co absolutnie konieczne, nic więcej.

W pokoju znajdują się dwa wąskie łóżka, obydwa przykryto ciemnymi narzutami w esy-floresy. Próbujesz zapalić ustawioną między nimi lampę, ale nie działa. Twój syn odnajduje włącznik lampy pod sufitem, a następnie rzuca plecak na jedno z łóżek, biorąc je tym samym w posiadanie. Wchodzi do łazienki. W pokoju nie ma szafy, jest jedynie reling z wieszakami, na który można zaciągnąć kraciatą zasłonkę. Wieszasz płaszcz. Nie masz ochoty dzwonić do męża.

Po powrocie z łazienki syn zrzuca plecak na podłogę i kładzie się plackiem na łóżku. Nosi teraz spodnie nisko opuszczone na biodra, nad paskiem widać parę centymetrów bokserek. Zasłania oczy zgiętym ramieniem, żeby nie widzieć ciebie, sufitu ani przyszłości. Idziesz do łazienki i myjesz ręce, a następnie wycierasz je w cienki ręcznik zawieszony nad sedesem. Od lat nie nocowałeś z synem w motelu. Na wycieczki Rob przeważnie zabiera kolegę, zajmują pokój obok twojego i męża.

Arthura.

Do którego powinnaś zadzwonić.

Od dzieciństwa nie spałaś w takim pokoju hotelowym, chociaż czujesz się tu dziwnie swojsko. Mogłabyś go opisać z pamięci, jeszcze przed wejściem, wszystkie szczegóły, łącznie ze strukturą cienkiego ręcznika. Wracasz do pokoju i siadasz na krawędzi łóżka, tuż obok syna.

- Czy to prawda? - pytasz.

W końcu nigdy nic nie wiadomo. Być może zaszło gigantyczne nieporozumienie.

Syn odwraca się i kładzie twarzą do ściany.

Mogłabyś żądać odpowiedzi. *Żądać*, żeby spojrzał ci w oczy. Pytać, dlaczego? Czy zdobyłby się na odpowiedź? Czy powiedziałby prawdę?

Przygryzasz wargę. Czujesz instynktownie, że płacz oznaczałby przegraną na całej linii.

Wygrzebujesz z torebki komórkę. Dzwonisz do męża.

Noelle

W listopadzie Silas i ja jedziemy na imprezę, na której są i uczniowie z internatu, i dojeżdżający. Silas pije drinka, ja też. Tańczymy. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak tańczy. Na boisku jest gibki i zwinny jak kot, ale tańczyć nie umie i strasznie mnie rozśmiesza. Sam też się śmieje i znowu tańczymy. Czuję, że ludzie na nas patrzą. Noelle i Silas - myślą sobie. Jesteśmy parą. Mam wrażenie, jakbyśmy wzięli coś cennego i wystawili na pokaz. Oboje czujemy to samo. To podobno normalne, ale trochę się boję, żeby nie zniszczyć tego, co razem tworzymy.

Pamiętam wszystko. Pamiętam pierwszy raz, kiedy zatrzymujemy się na stacji Mobil i Silas wychodzi z samochodu, żeby zatankować. Potem idzie do sklepu i kupuje mi pączka. Mówi, że to jego ciotka je piecze, podobno najlepsze są około szóstej wieczorem, kiedy zaczynają już twardnieć. Silas pachnie benzyną. Przełamuję pączka i daję Silasowi połówkę. Potem go całuję. Smakuje cukrem i przyprawą do ciasta. Wraca na stację, żeby dokupić pączków i zyskać więcej pocałunków. Kupuje wszystkie pączki, które zostały. Jedziemy w góry, jemy pączki i pękamy ze śmiechu. Jemy, dopóki nie zaczyna nas trochę mdlić.

Silas ma kłujący zarost, chociaż goli się codziennie. Mam podrapane usta.

Pod koniec listopada przychodzi zamieć śnieżna. Ci, którzy mieszkają w internacie, mają normalnie lekcje, w końcu nie

muszą iść daleko, chociaż niektórzy udają, że tak nie jest. Dojeżdżający dostali zwolnienie. Silas dalej przyjeżdża, choć sytuacja na drogach jest koszmarna, a on nie założył jeszcze opon zimowych. Parking dla uczniów nie został nawet odśnieżony i Silas musi zostawiać samochód przy sali gimnastycznej. Idę na angielski, w klasie są tylko trzy osoby. Rozmawiamy z panem Taylorem o naszych planach na Święto Dziękczynienia, ale pan Taylor wygląda tak, jakby najchętniej wrócił do domu i wpełzł z powrotem do łóżka.

Kiedy wychodzę z klasy, Silas stoi na korytarzu. Tak bardzo cieszę się na jego widok, że od razu rzucam mu się na szyję. Dzień bez Silasa jest pusty, nadaje się tylko na pracę domową lub skrzypce.

Silas ma na sobie pikowaną kurtkę i brązową czapkę z wełny. Ma czerwony nos i zapomniał się ogolić. Wiem, że nie przyjechał do szkoły, żeby oddać wypracowanie albo zaliczyć test. Przyjechał dla mnie. Mam ochotę go pocałować, w upiornym białym świetle padającym z okien. Pani Epstein i pan Taylor rozmawiają w rogu, ale pan Taylor co rusz zerka na nas, jakbyśmy dali mu jakiś znak.

Silas zawozi mnie do Bennington, mam wystąpić w recitalu. W samochodzie trzyma mi rękę na udzie, podczas gdy ja ćwiczę w myślach palcówki. Nie rozmawiamy. Silas wie, że się denerwuję, dlatego nie pyta, czy jestem zdenerwowana. W ten sposób uczę się nie zadawać mu pytań przed meczem.

Szosa jest biała po obu stronach, pokryta mieszaniną soli i mokrej brei, która zachlapuje przednią szybę, kiedy mijamy ciężarówkę. Bywają dni, gdy Vermont budzi wprost przygnębiające wrażenie i człowiek ma ochotę wsiąść w samochód i wyjechać jak najdalej stąd. Mam grać ze studentami, na samą myśl robi mi się sucho w ustach i oddech więźnie w krtani. Silas nie mówi: „Wszystko będzie dobrze”, cieszę się, że nie próbuje kłamać.

W czasie koncertu widzę go ze sceny, siedzi z tyłu niedużego audytorium. Jest zdenerwowany, jak na boisku, kiedy

ważą się losy meczu. Jest jak rodzic oglądający występ swego dziecka - często bardziej przerażony niż ono.

Po recitalu Silas nie posiada się z radości. Oburącz ujmuję moją twarz i całuje mnie w usta przy pani Irving, mojej nauczycielce muzyki, która nie wygląda na zachwyconą jego widokiem. Ma dla mnie nuty, jak zawsze, ale nuty mogą zaczekać. Silas uważa, że byłam świetna.

Na moje urodziny, tuż przed przerwą świąteczną, Silas zaprasza mnie na kolację do restauracji. W promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Avery znajduje się tylko jeden dobry lokal. Silas mówi, że zrobił rezerwację.

Nigdy nie byłam na prawdziwej randce, Silas pewnie też nie. Zakładam białą bluzkę, czarną spódnicę i baletki. Muszę włożyć parkę, bo mój lepszy płaszcz został w Bostonie. Szczotkuję włosy i podcinam grzywkę. Postanawiam też przyciąć boki, ale mi nie wychodzi i daję sobie spokój.

Spotykamy się we wspólnym pokoju. Silas ma na sobie granatową sportową marynarkę i błękitną koszulę. Założył „dorosły” płaszcz i wygląda tak pociągająco, że z trudem się powstrzymuję, aby go nie dotknąć. Grupa uczniów w pokoju ogląda powtórkę „Simpsonów”; patrzą na nas, jakbyśmy szli na pogrzeb.

Zanim docieramy do samochodu, mam przemoczone buty. Stopy czerwienieją mi z zimna. Silas przeprosza za kiepskie ogrzewanie. Sięga do tyłu i podaje mi koc, żebym owinęła nogi.

Kiedy wchodzimy do restauracji, jakiś mężczyzna bierze nasze okrycia. Silas obciąga mankiety koszuli, ja poprawiam spódnicę. Wciąż mam zaróżowione stopy. Silas prosi o stół w pobliżu kominka. Chyba przypadł kelnerowi do gustu, ponieważ dostajemy świetne miejsca naprzeciw ognia. Lokal jest mały i drogi, ale nawet w przyćmionym świetle widzę, że zasłony przytwierdzono do ściany zszywaczem, a kable biegają wzdłuż listwy po podłodze. Po jednej stronie sali znajduje się bar przypominający wystrojem angielski pub. Zamawiam

dietetyczną colę, a Silas wodę. Zanim zaglądamy do karty, Silas wyjmuje z wewnętrznej kieszeni niebieskie, aksamitne puzderko. Ogarnia mnie przerażenie, że zaraz się oświadczy. Może nawet głośno chwytam powietrze, gdyż barman patrzy w naszą stronę. Silas kładzie przede mną puzderko.

- Nie miałem papieru - mówi.

Ze strachem zaglądam do środka, ale zaraz odczuwam ulgę. Ze środka, z satynowej wyściółki mrugają do mnie dwa maleńkie kolczyki. Są wysadzane cyrkonem, moim kamieniem urodzinowym. Ktoś mógłby powiedzieć, że to taki staromodny prezent, ale kiedy je zakładam, czuję się piękna, jak gdyby moje uszy migotały jak gwiazdy.

Na Boże Narodzenie wyjeżdżam do domu, ale chociaż kocham moją rodzinę, strasznie tęsknię za Silasem. Tak już chyba jest, kiedy człowiek się zakocha. Teraz to chłopak jest domem, który trzeba opuścić, jadąc w odwiedziny do krewnych. Tak bardzo tęsknię, że wracam do szkoły dzień wcześniej: wolno nam to robić, jeśli uprawiamy sport albo gramy na jakimś instrumencie. Piszę do Silasa, że wróciłam. Przyjeżdża od razu. Idziemy prosto do mojego pokoju, chociaż to surowo zabronione. Słyszę, jak opiekunka internatu słucha głośno muzyki. Wiem, że jest wściekła, bo przeze mnie musiała szybciej przyjechać; udaje, że jest jeszcze na urlopie.

Padamy na łóżko. Tego popołudnia otwieramy wiele drzwi. Te drzwi i tamte, i jeszcze jedne.

Mike

Mike siedział przy biurku w swej szklanej kapsule nad gospodą. Pragnął oddać jak należy kolejny etap swej opowieści, dotyczący jego i Anny, odkrył jednak, że pisanie o miłości to niezwykle trudne zadanie. Wydawało mu się, że bez względu na obrany kierunek stawał w obliczu tak utartych schematów i frazesów, iż dawno zatraciły one swój sens. Pisanie o seksie też nie przychodziło mu łatwo. Czy nie wystarczy, myślał sobie, po prostu zachować wszystko w pamięci, bez konieczności przelewania tego na papier? Ale nie, aspekt ten stanowił integralną część jego historii, kto wie, czy dla niego samego nie najważniejszą, toteż pośpiech świadczyłby o moralnym lenistwie. Cena okazała się niezwykle wysoka, jeśli zaś Mike miał zachować szczerość wobec samego siebie, co solennie przyobiecał sobie na samym początku, musiał przyznać otwarcie, że ów romans, jakkolwiek krótki i gorący, stanowił punkt wyjścia wszystkich późniejszych wydarzeń.

Ale potrzebował przerwy. Musiał oderwać się od pisania choćby na kilka minut albo na godzinę i zająć czymś innym. O, na przykład pójdzie na drinka. Musi pamiętać o kurtce. Gospoda, pomimo kominka, a może właśnie za sprawą powstałych przez niego przeciągów, była przeważnie lodowata.

Wyszedł z pokoju i zjechał windą na parter. Minał grupę delegatów oblegających recepcję, którzy w poniedziałkowy rano rozpoczyna konferencję w sali głównej (wielki mahoniowy stół, ogień trzaskający w kominku, windsorskie krzesła oraz świeże babeczki z brzoskwiniami i malinami, o których

z doświadczenia wiedział, że są przepyszne). Od niechcenia obliczył potencjalny przyrost wagi w wyniku pięciodniowego pobytu i wyszło mu coś pomiędzy półtora a dwa i pół kilo, choć zakupy wydatnie wpływały na spalanie kalorii, podobnie jak gimnastyka w niewielkiej siłowni, którą jak dotąd skrętnie omijał, wiedziony żywą niechęcią do obnażania się przed nieznanymi (zostało mu to z czasów dyrektorskich, kiedy wizyta w szkolnej siłowni oznaczałaby dla niego akademickie samobójstwo). Wolał spacerować, dzięki czemu utrzymywał wagę na poziomie osiemdziesięciu kilogramów.

Idąc korytarzem, usłyszał, że na zewnątrz jest trzynaście stopni mrozu, ale krążyły plotki, że wiatr (Mike niemal wyczuwał w holu mroźne podmuchy) jeszcze obniżał temperaturę odczuwalną. Mike postanowił, że wypije pierwszego drinka w westybulu przy kominku, opodal choinki ustawionej jeszcze przed jego przyjazdem. Lecz gdy się tam znalazł, ujrzał siedzącego przy ogniu mężczyznę na wózku inwalidzkim. Skinął mu głową na powitanie i wbrew swym wcześniejszym planom zajął miejsce w przytulnym zakątku wśród przepastnych sof i foteli. Natychmiast pożałował swej decyzji, gdyż mężczyzna na wózku zapewne czuł się samotny i chętnie uciałby sobie pogawędkę. Jednak po chwili uznał, że gdyby teraz zmienił zdanie i usiadł w pobliżu kominka, uświadomiłby tamtemu dobitnie, że robi to z litości bądź (co postawiłoby go w nieco korzystniejszym świetle) z grzeczności, bez której samotny mężczyzna (który może wcale nie był samotny i po prostu chciał przez pół godziny odpocząć od żony) z powodzeniem mógł się obyć.

W westybulu nie brakowało zacisznych zakamarków, podobnych do tego, w którym schronił się Mike. Jeszcze do niedawna świeciły pustką, dzięki czemu Mike traktował pomieszczenie jako dodatkowy salon lub bibliotekę. Na widok licznych książek któregoś dnia założył się z samym sobą, że na pewno nie ma wśród nich tytułów, po które chętnie by sięgnął - w tym wypadku intuicja go nie zawiodła - ba, gotów był nawet dać głowę, iż większość z nich nawet nie obita się o uszy umiarkowa-

nemu erudycie jego pokroju (widok „Ostatniego Mohikanina” szybko uświadomił mu, jak błędne było to założenie). Ostatnimi czasy jednak, w miarę zbliżania się Bożego Narodzenia, westybul zatętnił życiem. Mike przeważnie widywał mężów lub dzieci (ewentualnie mężów z dziećmi), wyproszonych z pokoi na czas, kiedy żony i matki szykowały się do wyjścia. Zauważył też, że młode pary, wiedzione gorącym pragnieniem zgłębienia wszystkich aspektów pensjonatu, stawiały sobie za punkt honoru odwiedzenie każdego pomieszczenia i spędzenie w nim trochę czasu. Mike nie był pewien, czy pozostanie tu na święta, kiedy westybul zapewne przeżywał istne oblężenie. Przyszło mu do głowy, że powinien zapytać w recepcji; mogło się zdarzyć, że wszystkie pokoje zostały zaklepane, jak zwykł myśleć z przyzwyczajenia, „na ferie”. Jako że sam miał w święta do wyboru wynajęte mieszkanie w Nowym Jorku bądź spotkanie ze szwagrem, a w dodatku nie wiedział, czy do tego czasu upora się z pisaniem (ostatnio szło mu nadzwyczaj niemrawo), postanowił z pewnym ukłuciem niepokoju sprawdzić w recepcji, do kiedy może pozostać w swym obecnym pokoju.

Aż do pamiętnego wieczora we wrześnie dwa lata temu, kiedy Meg zaskoczyła go swą decyzją o dziecku, sprawiała wrażenie agresywnej przeciwniczki macierzyństwa. Co do Mike'a, miewał okresy nostalgii, podsycanej przekonaniem, że opiekunek raczej by im nie zabrakło, lecz z biegiem czasu narastało w nim przekonanie, że nawet najbardziej urocze berbecie przepoczwarzają się w zbuntowane nastolatki. Uważał, że zna młodzież z perspektywy nauczyciela, nie jako rodzic darzący dziecko miłością bezwarunkową, lecz z punktu widzenia nieco krytycznej, acz bez wątplenia życzliwej osoby postronnej. I tak mimowolnie zwracał uwagę na ciemniejszą stronę dorastania: skłonność do bezmyślnego ryzyka; eksperymenty ze skrajnymi typami zachowań, z uwzględnieniem wazeliniarstwa i pospolitego okrucieństwa; patologiczną opieszałość, znajdującą ujście w wybujałej potrzebie snu; wrażliwość w służbie rozbuchanych hormonów oraz tendencję do skrajności

w kwestii higieny osobistej (monstrualnie długie paznokcie u stóp chłopców i dziewczęta, które przebierały się trzy razy dziennie, nie licząc stroju na gimnastykę). Mike dochodził do wniosku, że to ów dystans do nastolatków zniechęca go do posiadania własnych dzieci. Kto wie, być może Meg urodziła dziecko; w chwili rozstania wciąż liczyła sobie czterdzieści trzy lata. Od wybuchu skandalu rzadko się ze sobą kontaktowali, chyba że przez prawników. Bez dzieci Boże Narodzenie (na początku ich związku tak romantyczne) straciło większość uroku i wyczekiwali go głównie ze względu na dwutygodniowy odpoczynek od sześciuset nastolatków.

Zmienił zdanie i zdecydował się na posiłek w tawernie, gdzie zaprowadzono go do kącika z dwoma tapicerowanymi krzesłami. Pomieszczenie wypełniał delikatny zapach potpourri, a z umieszczonych nad głowami głośników płynęły metaliczne taktory muzyki klasycznej o (na ile Mike się orientował) zdecydowanie niebożonarodzeniowym brzmieniu. Za jego plecami znajdowały się wysokie okna sięgające samej podłogi - chcąc je otworzyć, należało się schylić i mocno szarpnąć - od których wiało zimowym chłodem. Menu było proste, ale niezawodne: fettuccine z pieprzem, cheeseburger, kanapka z indykiem, zupa z dyni. W miasteczku nie brakowało lepszych lokali, do których zdążył już zajrzeć, ale wybitnie przypadła mu do gustu swojska atmosfera tawerny, gdzie na wszystkich obrazach widniały krowy, mające zapewne nasuwać skojarzenie z cheeseburgerem, który właśnie zamierzał zjeść, wbrew wcześniejszemu postanowieniu unikania czerwonego mięsa. Podjął je sam z siebie, gdyż nie był u lekarza od ponad dwóch lat, odkąd przestał chodzić do doktora Vaughna z Avery. Doktor Vaughn miał na wardze pokaźną brodawkę, która niezawodnie przyciągała wzrok, i Mike przy każdej wizycie zachodził w głowę, dlaczego człowiek z praktycznie nieograniczonym dostępem do służby medycznej po prostu jej sobie nie zlikwiduje. Czyżby wiązało się to z usunięciem dużego kawałka ciała? Na samą myśl o możliwym bólu Mike odruchowo zacisnął usta.

Unosząc wzrok, zobaczył siedzącą nieopodal samotną kobietę. Wypisywała adresy na białych kopertach, zaglądając czasem do małego notesu ze spiralnym grzbietem. Pisała, patrzyła na kopertę, sięgała po następną i znowu pisała. Kartki świąteczne? Mike obserwował ją dyskretnie. Miała na sobie czarny sweter z przydługimi rękawami, z których wystawały tylko palce, obcisłe džinsy i traperki. Blondynka (farbowała się u drogiego fryzjera, jeśli w ogóle) w nieokreślonym wieku. Ani młoda, ani stara, ani też w średnim wieku, co nasuwało skojarzenie z krótkowłosą kobietą o grubszej talii, która nie nosiłaby swetrów z przydługimi rękawami ani zgrabnych džinsów o nogawkach przykrywających wdzięcznie traperskie buty. Na widok nadchodzącej kelnerki odłożyła notes. Podniosła głowę i bez uśmiechu odwzajemniła spojrzenie Mike'a. Odwrócił wzrok.

Naraz usłyszał cichy okrzyk i zobaczył, że blondynka ugryzła cheeseburgera i sok (ciemnoróżowy i przejrzysty) chlapnął jej na rękę, a następnie spłynął do rękawa. Roześmiała się i wytarła rękę serwetką, a kiedy ponownie uniosła wzrok, tym razem trochę nieśmiało, znów pochwyciła jego spojrzenie. Posłała mu lekki uśmiech i zajęła się cheeseburgerem.

Mike uznał, że zapewne bawi tu bez męża, w przeciwnym razie nie zeszłaby sama na kolację. Kobiety najwyraźniej nie miały nic przeciwko samotnym śniadaniom i obiadom, ale w tawernie rzadko pojawiały się bez eskorty.

Przyniesiono piwo oraz cheeseburgera i Mike z rozkoszą zatopił zęby w bulce: owszem, jemu też sok spłynął po palcach i musiał go zlizać. Pisanie w zdumiewający sposób pobudzało jego apetyt i jadł, aż mu się uszy trzęsły, jak po morderczym treningu. Po skończonym posiłku miał ochotę zamówić kolejnego cheeseburgera, ale się powstrzymał, bo gryzło go sumienie z powodu pierwszego. Poprzysiągł sobie, że do końca tygodnia nie tknie czerwonego mięsa. Kiedy odkładał serwetkę na stół, tawerna rozbrzmiewała okrzykami pracowników, którzy przyszli tu na swe coroczne przyjęcie świąteczne, polegające głównie na spożywaniu dużych ilości białego i czerwonego wina. Mike przypomniał sobie swoje przyjęcia z Hartford i Avery oraz

ich sielski nastrój, który niestety wygasał wraz z nadejściem Nowego Roku.

Po kolacji poszedł do pokoju po czapkę, szalik i rękawiczki, gdyż pogłoski o lodowatym wietrze wydały mu się ze wszech miar uzasadnione. Miał zamiar dojść aż do końca promena-
dy, a następnie skrócić w szeroką ulicę domków letniskowych, z których część została przystosowana do zimy. Na szczycie wzgórza wejdzie na bardziej uczęszczaną drogę bez pobocza (które uważał za nieodłączny aspekt cywilizowanego świata, o bezpieczeństwie dla dzieci nie wspominając; pobocza w Ver-
moncie należały w gruncie rzeczy do rzadkości), a potem wróci do głównej szosy, prowadzącej prosto do hotelu. Obliczył sobie kiedyś, że trasa liczyła blisko pięć kilometrów, niby niewiele jak na wysiłek fizyczny, ale wystarczająco. W przyptywach motywacji Mike biegiem pokonywał pierwsze wzgórze, żeby rozruszać serce, ale po sutym posiłku i piwie wolał nie ryzykować.

Zimne powietrze szczypało go w oczy i nos, powodując ob-
fite łzawienie i katar, a że nie wziął chusteczki, wyglądał, jakby zebrało mu się na płacz. Policzki też go piekły i musiał czasem odwracać się bokiem do wiatru. Miał tak podrażnione oczy, że chwilami kompletnie nic nie widział i musiał gęsto mrugać powiekami. Ulica była dość szeroka, po obu stronach upstrzona eklektyczną, acz intrygującą kolekcją domów, z których każdy był na swój sposób godny podziwu. Mike zastanawiał się, kto w nich mieszka i w jaki sposób lokatorzy zarabiają na życie. Pobyt w stanie Vermont często nasuwał mu podobne pytania. Niektóre domy stały tuż przy drodze i wystarczyłyby krok lub dwa, żeby stanąć w progu, inne zaś tkwiły na końcu długich podjazdów. Wszystkie rysowały się na tle góry, na którą latem można było wjechać samochodem aż na sam szczyt.

Kiedy ponownie otarł łzy z piekących policzków, w świetle latarni biegnących wzdłuż ulicy zobaczył kobietę z tawerny. Miała na sobie czarny płaszcz z futrzanym kołnierzem, w rękę trzymała koperty. Szyję owinęła szalikiem, ale nie włożyła czapki. Widział ją od tyłu, ale rozpoznał džinsy i traperskie buty. Przyspieszył kroku, jak lis, który zwietrzył lisicę. Bynaj-

mniej nie uważał się za drapieżnika, jednak niewidoczna twarz kobiety stanowiła dla niego pewne wyzwanie.

Przystanąła przy skrzynce pocztowej należącej do jednego z domów i zaczęła przeglądać koperty, zapewne chcąc sprawdzić, czy wszystkie zostały odpowiednio zaadresowane i oblepione znaczkami. Miała ich co najmniej tuzin, toteż Mike błyskawicznie przebył dzielącą ich odległość. Oczywiście zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

- Ach, witam - powiedział, jakby dopiero ją zauważył.

Odwróciła się i Mike zrozumiał sens swego pościgu. Kobieta - jej twarz, a może uśmiech - była uderzająco podobna do Anny. Zrozumiał, dlaczego chciał dogonić nieznajomą i z czego wynikał jego obecny wstrząs.

- Przepraszam - wybąkał.

Kobieta patrzyła na niego ze zdziwieniem, trochę zaniepokojona.

- Ja... wziąłem panią za kogoś innego - powiedział. - Bardzo przepraszam.

Odwrócił się zamasyżycie i ruszył w kierunku hotelu. Łzy lały mu się strumieniami, prawie nie widział drogi. Zamrugał, usiłując je powstrzymać. Oczywiście wcale nie wziął jej za kogoś innego, wymyślił to na poczekaniu. Nigdy nie pomyliłby osoby w płaszczu z futrzanym kołnierzem z kobietą siedzącą teraz w małym, pograżonym w ciemnościach domku u stóp wzgórza.

Wierzył, że pisząc o skandalu, w pewnym sensie pozostawi przeszłość za sobą. Myślał, że gdy opisze swój ból - oraz poczucie winy i współudział w sprawie - niejako zmusi go do odwrotu. Jednak widok twarzy kobiety wraz z wypisanymi na niej lękiem i ciekawością uświadomił mu z całą mocą, że nie ma prawa sobie tego życzyć ani nawet wspominać licznych chwil czystej radości, którą dzielił z Anną.

Nie napisze już nic więcej. Ani słowa. Nie, wróci do pokoju, którego szklane ściany zatraciły dla niego swój czarodziejski wymiar, przeobrażając się w więzienie, i podrze wszystko, co do tej pory napisał.

I zziębnięty na wskroś przyspieszył kroku.

Ellen

Siedzisz na łóżku, podparta cienką poduszką, i oglądasz CNN, ponieważ cisza stała się nie do zniesienia. Na komodzie obok telewizora stoi karton z połową pizzy. Zjadłaś dwa kawałki, niespodziewanie ogarnął cię wilczy głód. Twój syn powiedział, że nie ma apetytu. Kazałaś mu jeść, toteż usiadł na łóżku i złożywszy tłusty trójkąt pizzy, wepchnął go do ust i zaczął przeżuwać. Nie widziałas jego oczu. Nie chciałaś ich widzieć.

Policjant zapukał tak delikatnie, że wzięłaś go za żonę właściciela motelu z zapasowym ręcznikiem i zapieczętowanym mydłem. Otworzyłaś drzwi i na widok munduru odruchowo wysunęłaś stopę przez próg, jak gdybyś chciała zabarykadować wejście. Oparłaś się oburącz o framugę.

- O co chodzi? - zapytałaś.

Policjant podał swoje nazwisko i zapytał, czy zastał Roberta Leichta. Zagrałaś na zwłokę, prosząc o pokazanie odznaki, i przez cały czas rozmyślałaś gorączkowo, że twój syn może jeszcze uciec. Tylko którądy? Przez okno w łazience?

- Proszę pani - powiedział policjant, bardzo łagodnie.

- W porządku - odezwał się za twoimi plecami syn.

Nie ruszyłaś się z miejsca, Rob musiał cię odsunąć.

Kiedy zakuli twój syna w kajdanki, uniosłaś ręce do ust, żeby stłumić krzyk, który nieubłaganie narastał ci w gardle. Zaciskałaś palce na jego ramieniu, dopóki nie kazali ci puścić. Stałaś na zimnie i patrzyłaś, jak policjant zgina twojemu synowi głowę i każe mu usiąść na tylnym siedzeniu samochodu. Łzy

pociekły ci z oczu. Syn popatrzył na ciebie, a ty próbowałaś się uśmiechnąć, bo widziałaś, jaki jest przerażony.

- Pojadę za wami - powiedziałaś.

Ręce tak ci dygotały, że nie mogłaś trafić kluczem w stacyjkę. Znałaś drogę na komisariat, podczas wizyt w Avery mijałaś go dziesiątki razy. Przyjechałaś w momencie, kiedy zdejmowali synowi odciski palców, i z miejsca zapytałaś o kaucję.

- Gdzie mam iść? - spytałaś. - Ile?

Rozdzielili was i zabrali syna do miejsca, którego nie mogłaś zobaczyć. To się dzieje naprawdę - pomyślałaś. To nie sen.

Kiedy wreszcie oddali ci Roba, nie pozwolił się objąć. Miał palce czarne od tuszu.

O północy raz jeszcze rozlega się pukanie, ktoś wali do drzwi. Wiesz, kto za nimi stoi, jeszcze zanim słyhać wołanie męża. Głos jest gniewny, rozkazujący. Przechodzi ci przez myśl, że powinnaś wyjść na zewnątrz, nim on wejdzie do środka. Nagle zaczynasz się bardzo bać.

Arthur przyjechał prosto z pracy. Wie o aresztowaniu. Zadzwoniłaś do niego z komisariatu, z kubkiem wystygłej kawy w ręce. Ma poluzowany krawat i rozpiętą marynarkę. Nawet w styczniu nie nosi płaszcza. „A jeśli zepsuje ci się samochód?” - pytasz często. Ale on swoje. Płaszcz krępuje mu ruchy w czasie jazdy, odpowiada.

- Arthurze - mówisz.

Jego ciemne oczy odnajdują syna, którego razem spłodziliście. Omiata nimi cały pokój.

- Wstań - mówi do Roba.

Syn powoli dźwiga się z łóżka i stawia nogi na podłodze. Wreszcie wstaje.

Arthur zadaje pytanie, które zadałaś już wcześniej.

- Czy to prawda?

Rob przeciera oczy. Minimalnie wysuwa szczękę i wiesz, że zbiera się w sobie.

Mąż przysuwa się do niego o krok. Bierze się pod boki i też wysuwa szczękę.

- Czy to prawda? - mówi ponownie.

Odruchowo unosisz ręce, jakbyś chciała zapobiec temu, co nieuchronne.

Syn z zamkniętymi oczami kiwa głową.

Pięść Arthura przecina powietrze tak niespodziewanie, że w pierwszej chwili nie wiesz, co się dzieje. Głowa syna odskakuje w tył, chłopiec pada na łóżko. Łapiesz męża za rękę. „Przestań!” - krzyczysz.

Syn podnosi się z wysiłkiem. Nie płacze ani nie dotyka twarzy, co budzi w tobie niewytłumaczalną dumę. Na jego zuchwie czerwienieje odcisk wierzchu dłoni. Próbujesz sobie przypomnieć, czy Arthur kiedykolwiek uderzył syna. Nie pamiętasz.

- Co w ciebie u licha wstąpiło? - pyta mąż.

To pytanie bez odpowiedzi. A może odpowiedź istnieje, ale Rob zasklepia się w uporczywym milczeniu. Nie teraz. Nie tutaj. Nie przy tobie, ani przy twoim mężu.

- Masz pojęcie, co zrobiłeś? Co zaprzepaściłeś? - krzyczy Arthur.

Syn doskonale zna wagę tego, co zaprzepaścił. Pytania są wyłącznie na użytek ojca.

- Zdajesz sobie sprawę, że miałeś iść do Browna? - pyta Arthur, wsparty pod boki.

Ani słowa o znieważonej dziewczynie. Zastanawiasz się, czy mąż jest świadomy natury przewinienia.

Syn nie odpowiada.

Mąż odwraca się na pięcie i patrzy na ciebie ze złością, jakby to była twoja wina. Bo oczywiście tak jest. Twoja i niczyja więcej.

- Nie będę spał z nim pod jednym dachem - mówi do ciebie, jakby z was dwojga to właśnie on miał większy powód do urazy. A ma?

Wcale się nie dziwisz jego sile czy może kruchości drzwi, które po jego wyjściu aż drżą w posadach. Czujesz znajomą chęć, aby pobiec za nim, zawołać, poprosić o rozmowę. Ale teraz nie możesz tego zrobić.

Silas

Wchodzę wysoko, wyżej niż kiedykolwiek weszliśmy razem. Kiedyś, gdy byłem mały, wspięliśmy się z ojcem na szczyt. Zabrało nam to cały dzień, ale kiedy już dotarliśmy na miejsce i stanęliśmy na skale, zewsząd otoczyły nas góry, a ja bardzo się zdziwiłem, że za naszą górą znajduje się kolejna, której nie widzieliśmy z dołu, i wszystko wskazywało na to, że za nią wznosi się jeszcze wyższa, czyli ilekroć wspinaliśmy się na szczyt, mieliśmy do pokonania kolejny. Ale potem przyszło mi do głowy, że gdzieś stoi góra najwyższa ze wszystkich, i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek przyjdzie mi ją zdobyć.

Robi się zimno. Zajrzałem do domu, ale nikogo nie było. Wziąłem puchową kurtkę i trochę prowiantu do plecaka, i przyszedłem tutaj. Pewnie zostanę dopóty, dopóki nie zbiorę się na odwagę, żeby wrócić i dowiedzieć się, że zostałem wylany, ojciec chce mnie uderzyć i nie mogę dłużej mieszkać z nimi pod jednym dachem. Będę musiał zamieszkać z kumplem i dokończyć ostatnią klasę w szkole publicznej, chociaż sam nie wiem po co, przecież i tak nie pójdę do college'u, mam to jak w banku. Może po prostu wyniosę się z Avery, poszukam pracy i mieszkania i nikt nie dowie się, co zaszło. Ja też będę udawał, że wymazałem to z pamięci, chociaż to niemożliwe, ponieważ zawsze będę myślał o tobie, że byłeś tą jedyną i że skrzywdziłem cię tak, że już bardziej nie można. Nie wiem, co mógłbym zrobić gorszego, nic nie przychodzi mi do głowy.

Pomyślę o tym, jak było nam dobrze, może to mnie trochę rozgrzeje. Zapomniałem spojrzeć na termometr, pewnie tem-

peratura spadła poniżej zera, może nawet do minus sześciu, i coś sobie odmrozę, ale trudno, nie pierwszy raz. Przyszedłem kiedyś do twojego internatu; zbiegłaś po schodach w krótkiej spódniczce z paskiem na biodrach i miałaś opalone nogi, aż się zdziwiłem, że są takie brązowe. Miałaś koszulkę w granatowe paski i takie prześliczne piersi. Kolczyki połyskiwały ci w uszach i wiedziałem, że włożyłaś je dla mnie, i pocałowałem cię przy wszystkich, a ty uciekłaś ode mnie i śmiałaś się po swojemu, ale widziałem, że jesteś zadowolona.

Mówiłaś, że zawsze będziesz mnie kochać. Ale teraz myślę, że to nieprawda. Poza tym nie można obiecać komuś wiecznej miłości, bo nigdy nie wiadomo, co się stanie, i czy osoba, którą kochasz, nie popełni jakiegoś strasznego czynu. Jak to jest już kogoś nie kochać? Jednego dnia go kochasz, a drugiego już nie, bo zobaczyłaś go na taśmie? Gdzie podziało się uczucie, dokąd poszło? Czy pękło jak bańka mydlana, czy może kruszy się po kawałku, ilekroć przypominasz sobie nagranie, aż wreszcie obróci się w nicość? Nie możesz mnie kochać, ale wiem, że ja będę cię kochać wiecznie, ponieważ zrobiłem coś, czego bym nie zrobił, gdybym kochał cię w tamtej chwili, chociaż nie pamiętam, bym kiedykolwiek cię nie kochał. Przecież można kogoś kochać, nawet kiedy się o nim nie myśli, prawda?

Palce sztywnieją mi z zimna, skrobie w zeszytcie, za który dostałem z matmy kiepską ocenę. Kiedy zaglądam na początek, widzę, że nie uważałem na lekcjach tak, jak powinienem; ciekaw jestem, o czym wówczas myślałem. Nie mam pojęcia, o co chodzi w tych notatkach. Gdybym miał teraz pisać klasówkę, pewnie wszystko bym pokręcił.

Ale gdyby kazano mi napisać klasówkę z ciebie, zaliczyłbym śpiewająco. Wiedziałbym dokładnie, jak pachniesz i że lubisz, kiedy cię całuję w szyję, chociaż strasznie cię to łaskocze. Wiedziałbym też, jak lubisz się kochać, mimo iż zawsze myślałem, że mamy jeszcze wiele do nauczenia się i zrobimy to razem. Nawet jeśli kiedyś odezwiesz się do mnie lub popatrzysz mi w oczy, nigdy, przenigdy nie pozwolisz się do siebie zbliżyć,

a to mnie zabije i chyba wolałbym cię więcej nie oglądać, choć bez tego też nie mógłbym żyć.

Czasem myślę o tamtej dziewczynie, o tym, jak się teraz czuje. Nigdy mi się nie podobała. Była pokręcona i wygłodniała i wiedziała, jak obudzić w nas ten sam głód. Dziwię się, że nie mieliśmy wstydu. Nie wiem, co się z nim stało. To pewnie przez alkohol. Moim zdaniem człowiek pije po to, żeby zagłuszyć wszystkie myśli i uczucia, aż wreszcie staje się tylko ciałem, które robi, co do niego należy. Ale czasem o niej myślę, była taka młoda... Ciekawe, czy się wstydzi, pewnie tak, chyba że nic nie pamięta. Tak pewnie byłoby dla niej lepiej.

Gary

W środę, 25 stycznia, mój zastępca Bernard Herrmann i ja odebraliśmy telefon od ojca uczennicy Akademii Avery.

Twierdził, iż właśnie dowiedział się od córki, że w minioną sobotę została ona zgwałcona przez trzech uczniów w szkolnym internacie.

Ofiara liczyła sobie wówczas czternaście lat i uczęszczała do pierwszej klasy akademii.

Później dziewczynka wskazała trzech uczniów, którzy dopuścili się gwałtu.

Zastępca Herrmann i ja niezwłocznie pojechaliśmy do Akademii Avery, aby porozmawiać z dyrektorem, Michaelem Bordwinem, w celu ewentualnego potwierdzenia zarzutów i uzyskania informacji na temat miejsca pobytu domniemanej ofiary oraz trzech chłopców, którzy rzekomo popełnili przestępstwo.

Byli to: Robert Leicht, lat osiemnaście; Silas Quinney, lat osiemnaście; i James Robles, lat dziewiętnaście.

Pan Bordwin sprawiał wrażenie wzburzonego oskarżeniami i domagał się udziału w przesłuchaniu młodej kobiety, która przekazała ojcu powyższe rewelacje.

Około dwunastej w południe zjawiliśmy się w internacie Upworth, gdzie zastaliśmy domniemaną ofiarę w stanie umiarkowanej hysterii. Chociaż incydent miał miejsce cztery dni wcześniej, dziewczyna zanosila się płaczem.

Wraz z nią w pokoju znajdowała się jej współlokatorka, Laura Stan ton, lat czternaście.

Pomimo początkowej hysterii domniemana ofiara przestała płakać i wyraziła chęć złożenia zeznań.

Pan Bordwin radził, żeby z nami nie rozmawiała i powstrzymała się od dalszych oskarżeń bez konsultacji z prawnikiem, ale dziewczyna nie chciała go słuchać.

Zeznała, że w sobotę, 21 stycznia, około godziny dwudziestej drugiej, paru uczniów ze starszych klas zaprowadziło ją do pokoju w internacie Everett Hall. Tam podano jej duże ilości alkoholu, które wprowadziły ją w stan odurzenia, odbierając jasną ocenę sytuacji. Następnie zmuszono ją do seksu oralnego z jednym z chłopców, a drugi ją zgwałcił. Trzeci chłopiec również brał czynny udział w incydencie.

Domniemana ofiara oświadczyła, że zajście zostało uwiecznione kamerą przez czwartą osobę, której imienia nie znała.

Z jej słów wynikało, że rodzice są już w drodze i niebawem znajdą się w Avery.

Przysłuchując się tym zarzutom, pan Bordwin w pewnym momencie wyszedł z pokoju.

Poinformowaliśmy domniemaną ofiarę o konieczności poddania się badaniom lekarskim.

Domniemana ofiara zaprotestowała, argumentując, iż zajście miało miejsce cztery dni wcześniej, w związku z czym na pewno nie ma już żadnych śladów gwałtu. Pouczyliśmy ją, że na tym polega procedura policyjna.

Zastępca Herrmann wezwał karetkę w celu przewiezienia młodej kobiety do Szpitala Okręgowego Zachodniego Vermontu, gdzie miała następnie zostać zbadana.

Dziewczyna znów zaczęła płakać i oświadczyła, że musi poczekać na rodziców. Pouczyliśmy ją, aby zastosowała się do naszych zaleceń, rodzice zaś zostaną o wszystkim poinformowani.

Zastępca Herrmann i ja zaczęliśmy w internacie na karetkę wraz z domniemaną ofiarą i jej współlokatorką.

Następnie zastępca Herrmann i ja wróciliśmy do sekretariatu, żeby porozmawiać z Michaeliem Bordwinem. Zaprosił

nas do swojego gabinetu. Na jego biurku leżały dwa arkusze papieru w linie.

Pan Bordwin poinformował, że rankiem tego samego dnia nakłonił do spisania zeznań dwóch uczniów rzekomo zamieszanych w sprawę. Dodał, iż wzbraniał się przed przekazaniem ich policji do czasu ponownej rozmowy z domniemaną ofiarą. Zapoznałem się z dokumentami, po czym je skonfiskowałem. Ich autorami byli Robert Leicht i James Robles. Na moje pytanie o Silasa Quinneya dyrektor odpowiedział, że chłopiec jest nieuchwytny.

Udaliśmy się do Everett Hall, gdzie przebywał James Robles. Zapytał, o co jest oskarżony.

Pan Robles był opanowany i nieco zamyślony. Odczytałem podejrzanemu jego prawa, a mój zastępca założył mu kajdanki. Następnie odprowadzono podejrzanego do radiowozu, zaparkowanego przed siedzibą administracji. Pan Robles nie stawiał oporu.

W dalszej kolejności udaliśmy się do motelu Mountain View, gdzie zostaliśmy poinformowani przez właściciela, w którym pokoju przebywa Robert Leicht. Zapukaliśmy do drzwi, które została otwarte przez matkę podejrzanego. Robert Leicht siedział na łóżku. Pani Leicht próbowała zagrozić nam drogę, ale pan Leicht wstał i odsunął ją delikatnie. Poinformowaliśmy go, że jest aresztowany pod zarzutem seksualnej napaści na młodą kobietę. Odczytaliśmy Robertowi Leichtowi jego prawa i odprowadziliśmy go w kajdankach do samochodu, w którym znajdował się James Robles. Chłopcy unikali swojego wzroku.

Zawieźliśmy podejrzanych na komendę, gdzie znajduje się areszt tymczasowy. Cella zajęta była wówczas przez Johnny'ego Biksa, aresztowanego rankiem za wszczynanie awantur po pijanemu.

Z uwagi na brak dodatkowych cel pan Bix został zwolniony do domu.

Postanowiliśmy, że zastępca Herrmann zostanie na komendzie z dwoma podejrzаныmi, a ja pojedę na farmę Quinneyów w celu aresztowania Silasa Quinneya.

Silas Quinney to mój bratanek.

Zastępca Herrmann zeznał już wcześniej, że podczas mojej nieobecności podejrzani, pan Leicht i pan Robles, nie odezwali się do siebie ani słowem.

Na farmie zastałem Annę Quinney, która właśnie wróciła z zakupów. Kiedy przedstawiłem jej powód swojej wizyty, była w szoku. Oświadczyła, że nie widziała syna od śniadania, czyli mniej więcej od godziny siódmej rano.

Pani Quinney bez namysłu chwyciła telefon komórkowy i wykręciła numer syna. Silas Quinney nie odebrał telefonu.

Na moją prośbę pani Quinney zobowiązała się doprowadzić syna na komendę z chwilą, kiedy ten wróci do domu.

Pani Quinney oświadczyła, że z całą pewnością zaszła pomyłką, ponieważ jej syn nie jest zdolny do zarzucanych mu czynów. Wiedziałem, że dotrzyma słowa, toteż nie zwlekając, wróciłem na posterunek.

Irene

Dnia 25 stycznia 2006 roku, po południu, pełniłam dyżur na izbie przyjęć Szpitala Okręgowego Zachodniego Vermontu. Przeprowadziłam obdukcję uczennicy Akademii Avery, domniemanej ofiary napaści seksualnej. Dziewczyna była bardzo zdenerwowana - płakała i zawzięcie gestykulowała - i początkowo odmówiła poddania się badaniu. Pielęgniarka dyżurna musiała jej wytłumaczyć, że jeśli ona bądź jej rodzice zechcą postawić oficjalne zarzuty, bez świadectwa lekarskiego się nie obejdzie. Po chwili dziewczyna ustąpiła, mówiąc, że do gwałtu doszło przed czterema dniami. Dała do zrozumienia, że na pewno nie ma już żadnych śladów.

W obecności pielęgniarki dyżurnej zbadałam dziewczynę, która wedle własnych słów liczyła wówczas czternaście lat. Odnotowałam nieznaczne otarcia pochwy, lecz nie stwierdziłam w niej obecności spermy.

Tuż po przeprowadzeniu obdukcji, kiedy dziewczyna się ubrała, próbowałam porozmawiać z nią o zajściu. Chciałam stwierdzić, czy jej stan emocjonalny wymaga podania stosownych leków. Pomimo wielkiego wzburzenia dziewczyna zachowywała jasność myśli, rozumiała moje pytania i udzielała sensownych odpowiedzi. Gdy w pewnej chwili pozwoliłam sobie na żarcik, na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Nie podałam żadnych leków. Dziewczyna powtarzała raz po raz, że wydarzenia tamtego wieczoru były „okropne, po prostu okropne” i że nie chce o nich rozmawiać. Nie była aresztowana i nie miała zostać poddana przesłuchaniu, toteż pozwolono

jej zadzwonić po przyjaciółkę. Z jej słów wynikało, że rodzice są już w drodze.

Dopiero później, tuż przed rozpoczęciem procesu, doszły mnie słuchy, że wynik przeprowadzonego wówczas rutynowo badania krwi wskazywał .028. Podczas badania nie wyczułam od niej alkoholu, odnotowałam jednak pewne rozbieżności w jej zachowaniu oraz czas, który upłynął od domniemanego gwałtu. Innymi słowy, chociaż incydent wydarzył się cztery dni wcześniej i dziewczyna istotnie miała prawo do zdenerwowania, zachowywała się tak, jakby dopiero co miał miejsce. Moje doświadczenie z ofiarami gwałtów nie pozwala mi jednoznacznie stwierdzić, czy podobne zachowanie uchodzi za normę, możliwe jednak, że jej ewidentna pobudliwość wynikała z obecności alkoholu we krwi.

Noelle

Mamy się spotkać w stołówce. Jutro sobota, lekcje odbędą się normalnie, czyli między ósmą a dziesiątą znowu trzeba zakuwać. Możemy być razem tylko do ósmej. Mamy te dwie godziny wieczorem, dwa, trzy razy w tygodniu, ale to za mało. To zawsze za mało.

Czekam na korytarzu przed stołówką. Zwykle wchodzimy razem, bierzemy tace i stawiamy je obok siebie na metalowej barierce. Burczy mi w brzuchu, jadłam wczesny lunch. Trochę pobolewa mnie głowa. Chce mi się siusiu, do łazienki niedaleko, ale nie ruszam się z miejsca, żeby nie przegapić Silasa.

Czekam do szóstej czterdzieści pięć i wiem, że jeśli się nie pospieszę, zamkną stołówkę i kolacja przejdzie mi koło nosa. Coraz bardziej boli mnie głowa, trochę się martwię. Silas nigdy się nie spóźnia. No, może raz czy dwa, po długim treningu, wpadał na korytarz pięć minut po czasie, zziązany jak pies, bo całą drogę z sali gimnastycznej pokonał biegiem. Ale dziś w ogóle się nie pojawia.

* * *

Stawiam na tacy zupę i sałatkę, a następnie idę do stolika. Prawie wszyscy skończyli już jeść. Widzę, jak chłopcy z drużyny koszykówki podnoszą tace, na których piętczą się talerze, szklanki, skórki od bananów oraz kostki drobiowe, i odnoszą

je do mycia. Mam ochotę zapytać, czy nie widzieli Silasa, może wiedzą, dlaczego się spóźnia, ale mi głupio. Głupio mi, że sama siedzę przy stoliku.

Za pięć ósma dzwonię do Silasa. Odbiera jego tata, mówi, że Silas nie wrócił na kolację. Zapowiedział matce, że zje z przyjacielem, i choć to pewnie ja jestem tym przyjacielem, nie mówię ani słowa.

Między ósmą a dziesiątą wieczorem uczniowie nie mogą korzystać z telefonów.

Minutę przed dziesiątą dzwonię na komórkę Silasa. Nie odbiera. Piszę do niego SMS-a, ale nie odpisuje. Wreszcie ponownie dzwonię do jego domu. Odbiera ojciec. Silas śpi. Miał ciężki trening. Ma go obudzić?

Nie, mówię. Nie, nie budzić.

Następnego ranka nie widzę Silasa na korytarzu ani na dziedzińcu. Nie chodzimy na te same zajęcia. Uczę się troszkę lepiej niż on, ale staram się o tym nie mówić. Idę pod salę gimnastyczną, może go złapię przed treningiem i zapytam, co się stało wczoraj. Pewnie źle się czuł i wrócił prosto do domu, żeby się położyć. I pewnie z tego wszystkiego zapomniał do mnie zadzwonić.

Kiedy wchodzę do środka, Silas jest już na boisku. Ćwiczy dwutakt i rzuty za trzy. Biega szybciej niż pozostali, jakby chciał się przebić przez ścianę z kafelkami. Staję na skraju boiska, czekam, aż mnie zauważy.

Pewnie się denerwuje. To ważny mecz.

Siadam w pierwszym rzędzie, czuję, jak inni zajmują miejsca za moimi plecami. Wypatruję pana Quinneya, ale miejsce, na którym zwykle siedzi, jest puste. Silas przechodzi tuż prze-

de mną, ale wciąż zachowuje się tak, jakby mnie nie widział. Wiem, że niedobrze rozpraszać gracza przed meczem, więc nie reaguję. Na pewno po meczu się spotkamy.

Na boisku jest jak zwierzę. W sumie nie wiem jakie, ponieważ nic nie porusza się tak jak on, zwierzęta zaś nigdy nie okazują gniewu. Są czujne, tak. Przebiegłe, jak najbardziej. Ale Silas jest zły. Czuję, jak gniew bije od niego falami. Widzę to w jego oczach. Wiem, że dzieje się coś bardzo niedobrego, i próbuję dociec, w czym rzecz. Jest wściekły na trenera Blounta? Może na ojca, co tłumaczyłoby nieobecność pana Quinneya. A może po prostu na mnie?

Widzę kątem oka, jak piłka leci na trybuny. Trafia kobietę w policzek i ta mało nie spada z ławki. Traci równowagę, ktoś inny ją podtrzymuje. Na sekundę zapada kompletna cisza. Wszyscy stoją, wpatrzeni w tamtą stronę. Mruczą nazwisko Silasa. Pan Bordwin, nasz dyrektor, który pewnie siedział w pobliżu, wyprowadza kobietę na zewnątrz.

Kiedy znów odwracam się w stronę boiska, Silasa już nie ma.

Rasheed

Rasheed ponownie zerknął na list, otwarty na zaśmieconym biurku. Poczul cię zainteresowania, nieodparte pragnienie, aby wyznać to, co miał do powiedzenia blisko dwa lata temu. Pospiesznie odpędził od siebie pokusę. Nie żeby pani naukowiec z Uniwersytetu Vermontu budziła w nim szczególną niechęć, po prostu nie miał ochoty wracać myślami do skandalu. Nie chciał ponownie doświadczyć tamtego gniewu. Życie płynęło dalej. Koszykówka poszła w zapomnienie. Dawniej stanowiła nieodłączny aspekt jego życia, jak ręka, którą miał, a później stracił w wypadku. Nie chciał być gościem bez ręki, narazić się na wypytywanie, co też mu się przytrafiło.

Ale wspomnienia raz jeszcze dały o sobie znać: poczucie niesprawiedliwości, wyrzucenie trenera, rozwiązanie drużyny. Rasheed był w trzeciej klasie, jeśli nie grał, jego szanse, choćby na mniejszą uczelnię, równały się praktycznie zeru. Zaraz po wybuchu skandalu pojechał do Karoliny Północnej, żeby porozmawiać z ojcem, który pracował w Greensboro jako lekarz rodzinny. Gorąco namawiał Rasheeda, żeby się skupił na nauce, dobrze przygotował do college'u, a potem, kto wie, może na akademię medyczną. Rasheed miał dobre oceny, ale nie celujące, głównie z powodu koszykówki, której poświęcał większość czasu. Gdy wrócił do Vermontu, do szkoły, która zaczęła przypominać warownię, miał nieco inny pomysł na życie niż jesienią.

Rasheed zarzucił plecak na ramię, wyszedł z akademika i wspiął się na wzgórze, na pierwsze po lunchu zajęcia. Bez

trudu dostał się do Shakespeare, z uwagi na przewagę przedmiotów ścisłych. Pomimo żmudnych ćwiczeń Rasheed radził sobie wyśmienie. Na szczycie wzgórza przystanął i odwrócił się w stronę Bostonu, który (miał nadzieję) kiedyś go przygaranie. Raczej nie mógł liczyć na Harvard, ale według niektórych osób miał szanse na Szkołę Medyczną Tufts bądź bostońską Szkołę Medyczną.

Ze względu na kolor skóry i wzrost niemal każdy napotkany chłopak podczas pierwszych miesięcy w Tufts brał go za koszykarza. Początkowo musiał wymawiać się od dziesiątek zaproszeń na próbne rozgrywki. W zasadzie od początku roku grał tylko raz, sam ze sobą, kiedy w sali gimnastycznej ćwiczył rzuty. Piłka pasowała mu do rąk jak ulał, ale incydent ów pozostawił w nim wewnętrzną pustkę i coś na kształt żalu nad sobą, czego wedle obietnicy danej ojcu miał unikać jak ognia. Jak już uzyskasz tytuł lekarza, powiedział ojciec, możesz się nad sobą politować dzień lub dwa. Ale wtedy już nie będzie ci się chciało.

Rasheed przyszedł za wcześnie. Stał przed ceglany Instytutem Języka Angielskiego, chociaż listopadowy chłód dawał się we znaki, a on miał na sobie tylko bluzę. Ale nogi miał tak długie, że ledwo mieściły się pod ciasnym stolikiem i po zajęciach z trudem prostował kolana. Dlatego wchodził do sali dosłownie w ostatniej chwili, co niektórzy wykładowcy brali za opieszałość, a nawet bezczelność z jego strony, ale po prostu nie miał innego wyjścia.

Pieprzyć list - pomyślał, trąc butem o kamienny stopień.

Drużyna wiedziała, że mecz z Akademią Faye to nie przelewki, i trener kładł im to do głów przy każdej okazji. Jeśli pokonają Faye, zyskają szansę na zwycięstwo w późniejszym meczu z Akademią Vermontu, a stamtąd to już prosta droga do turnieju. W Avery dawno nie było tak wyśmienitej trójki jak J. Kropka, Rob i Silas. Rasheed miał szansę rychło do nich dołączyć, podobnie jak jego przyjaciel Irwin. J. Kropka przechodził samego siebie i Rasheed, chociaż za nim nie przepadał, uważnie śledził każdy jego ruch; wiedział, że dzięki temu

może się sporo nauczyć. J. Kropka zbierał wszystkie piłki i pakował je do kosza. Miał dryg, Rasheed nie znał żadnego innego białasa, który ruszałby się tak jak on.

Ale tym razem od początku im nie szło. Piłka cztery razy wypadała z boiska, raz nawet poleciała na trybunę. Byli podminowani i trener kazał im się uspokoić. Akademia Faye miała fantastyczną obronę, gracze przeciwnej drużyny w zasadzie nie wypuszczali ich z własnej połowy boiska. Silas raz po raz nie trafiał piłką do kosza i był coraz bardziej wkurzony. W pewnej chwili Rob poślizgnął się na parkiecie i stracił piłkę, a wtedy Irwin szczęśliwie zablokował dwa strzały Faye. Rasheed skoczył do zbiórki i wpakował dwa rzuty za trzy - przepiękne, piłka nawet nie musnęła obręczy - i Avery po raz pierwszy prowadziła jednym punktem. Słyszał, jak kibice szaleją na trybunach. Zostały trzy minuty do końca pierwszej połowy. Rasheed czuł, że gdyby Avery wróciła do szatni z przewagą czterech lub pięciu punktów, zwycięstwo mieliby w kieszeni. Potrzebowali niemal całej połowy, żeby odnaleźć swój rytm, ale kiedy im się wreszcie udało, poszło jak z płatka. Podobne sytuacje zdarzały się przez cały ostatni i obecny sezon tak często, że ów stan rzeczy urósł niemal do rangi konieczności psychologicznej: Akademia Avery musiała prowadzić po pierwszej połowie.

Na pół minuty przed końcem, kiedy Faye zakończyła szybką kontrę, Rob przejął piłkę. Podał ją Silasowi, który od razu zdobył punkt. Kibice Avery zawyli. Jakieś dwadzieścia sekund przed końcem Silas znów zdobył piłkę i ponownie rzucił za trzy. Piłka pofrunęła w górę, a następnie spadła jak kamień. Tak po prostu, jakby ktoś zestrzelił ją z dubeltówki. Silas aż się zachłysnął. Prawie nigdy mu się to nie zdarzało. Rasheed zablokował rzut, słysząc, jak Silas domaga się podania. Przekonany, że chce się zrehabilitować przed końcową syreną, Rasheed rzucił mu piłkę. Silas przytrzymał ją za długo - kibice krzyczeli: „Strzelaj! Strzelaj!” - a następnie stanął plecami do kosza i z całej siły cisnął ją w trybuny. Rasheed nie wierzył własnym oczom.

Piłka trafiła w twarz jakąś kobietę. Cała drużyna patrzyła, jak poszkodowana zostaje wyprowadzona z sali. Sędzia wyrzucił Silasa z boiska i wysłał do szatni. Rasheed pamiętał, że zerknął na Irwina i wymienili zdumione spojrzenia. Wiedzieli, że Silas zrobił to celowo. W życiu czegoś takiego nie widzieli. Rozległa się syrena na koniec pierwszej połowy i poszli do szatni, ale Silasa nie było. Ciekawe, czy wyszedł na dwór, na styczniowy mróz, w koszulce bez rękawów i w spodenkach.

Druga połowa, w uszczuplonym składzie, okazała się klęską na całej linii. Drużyna straciła parę, piłka leciała im z rąk. Przewaga Faye okazała się miażdżąca.

Dwa dni później, w poniedziałkowy ranek, kiedy Rasheed wrócił do pokoju po kolacji, współlokator zawołał go do komputera.

- Spójrz na to - powiedział Shawn.

Rasheed zerknął mu przez ramię i ujrzał na monitorze coś, co wyglądało jak film pornograficzny.

- Po co oglądasz to gówno? - spytał.

- Nie, serio - odpowiedział Shawn. - Czy to nie nasz internat?

Rasheed podszedł bliżej. Było to amatorskie nagranie. Zobaczył adidas porzucone na podłodze. Faktycznie, wyglądało jak Avery. Osoba, która zamieściła film na YouTube, zamazała twarz, ale treść nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Rasheed już miał się odwrócić, kiedy jego uwagę przykuły koszule leżące na podłodze - zielona flanelowa Silasa oraz bluza J. Kropki, z rękawami obciętymi tuż nad łokciem. Popatrzył na sufit. Zrozumiał, że dni drużyny są policzone.

Nie mógł zapobiec doniesieniom prasowym, które obarczały winą całą drużynę. Miał ochotę zabrać głos, choćby na swoją obronę. Ale ojciec doradzał mu ostrożność. „Musisz się z tym pogodzić - powiedział. - Przekręca wszystko, co powiesz. Lepiej milczeć”. I Rasheed milczał, nawet gdy wyrzucono trenera

i odwołano resztę rozgrywek. Nawet gdy gazety rozpisywały się o „zgniliznie” wewnątrz drużyny i zdeprawowanych zawodników. Zastanawiał się, jak to możliwe, że ludzie bezkarnie wypisują takie kłamstwa, ale widać dziennikarzom uchodziło to płazem.

Rasheed raz jeszcze popatrzył w kierunku Bostonu i za-
uważył wykładowcę, który piął się w górę, schylając głowę
pod naporem porywistego wiatru, atakującego campus późną
jesienią i zimą. Rasheed wśliznął się do środka i wszedł do sali.
Zastanawiał się czasem, co słyhać u Roba i J. Kropki. Stracili
ze sobą kontakt. Początkowo Rasheedowi było przykro, kiedy
Irwin nie oddzwaniał. Rasheed usiadł przy małym, drewnianym
biurku, zginając się jak scyzoryk. Pod jego zdjęciem w szkol-
nym albumie widniał napis: AKADEMIA AVERY. Bywało,
że wciąż wypytywano go o tamten skandal. Nawet niektórzy
nauczyciele brali go na bok, żeby zasięgnąć języka. Ciekawe,
czy sprawa kiedykolwiek pójdzie w zapomnienie. W sumie nie
on jeden został na lodzie, dodał w myślach, wyjmując z plecaka
podręcznik. A co z Irwinem, Jamailem, Jayem i Christianem?
Wszyscy członkowie ówczesnej drużyny, nawet obiecujący
pierwszoklasiści, stracili szansę na koszykówkę w college’u.
Czterech, pięciu chłopaków nabitych w butelkę. Jeśli nawet
drużyna odbije się teraz od dna, Jacob Jak-mu-tam jest teraz
w ostatniej klasie i po tak długiej przerwie nie ma szans, żeby
zwrócił uwagę łowców talentów. Jak to możliwe, zastanawiał
się Rasheed, że szkoła może zrobić coś takiego drużynie i tre-
nerowi, choćby bez głupiego „przepraszam”. W każdym razie
Rasheeda nikt nie przeprosił.

Ale nie będzie dłużej o tym myślał, tylko się nakręca.
Po powrocie do internatu wyrzuci list, wyniesie go z pokoju.
Wszystko jedno, co w nim napisano, już go to nie dotyczy.
Ma inne sprawy na głowie. I do tego mnóstwo roboty.

Anna

Widziałam list. Zostawiłeś go na stole. Dlaczego to zrobiłeś, dlaczego przywołałeś wspomnienia? To do ciebie niepodobne. Zobaczyłam go, kiedy zesłam po wodę. Zobaczyłam kawałek i od razu wiedziałam. Znowu ktoś chce rozmawiać o Silasie.

Zadzwonisz do niej? Ma na imię Jacqueline.

Leżę w łóżku i patrzę na sufit. Żałuję, że widziałam list. Jak mogłeś być tak nieostrożny - ty, który zawsze uważasz na wszystko? Przeszkodził ci telefon? A może nagle musiałeś wyjść?

Próbuję myśleć o suficie, o strukturze domu pod tynkiem, o tym, jak niewidoczne belki i listwy wznoszą się ku górze. Leżę na niebieskiej kołdrze, którą uszyłam po naszym ślubie. Nie pamiętam, jak to robiłam. Nie chcę pamiętać ślubu.

Niektóre dni upływają tylko na wspomnieniach.

Nigdy nie rozmawiamy, ty i ja. Raz, dwa razy na tydzień rzucamy strzępy zdań. Przeważnie pytania, czasami stwierdzenia. „Zrobiłam pieczeń na obiad”. „Nie widziałaś moich brązowych butów?”.

Wstaję, odsuwam narzutę i kołdrę, a potem wpełzam do łóżka. Uklepuję miękką poduszkę i wsuwam w nią twarz. Czy powiesz pani z Uniwersytetu Vermontu to, czego nigdy nie powiedziałaś prasie ani nawet mnie samej: „Wszystko przez moją żonę”?

Nie powiesz. Nie wyobrażam sobie, żebyś powiedział coś takiego.

Ale to prawda i masz prawo tak powiedzieć. Wszystko przeze mnie.

Wszystko stało się, ponieważ czegoś mi brakowało.

O ileż łatwiej byłoby zatrzeć wspomnienie zbrodni. Nie jednej, ale wielu. Przestałam pytać dlaczego. Nie ma na to odpowiedzi.

Byłam samotna i czegoś mi brakowało.

Nieprawda. Nie byłam samotna. Miałam ciebie i Silasa. Ale i tak czegoś mi brakowało.

Ten brak był nie do zniesienia.

Patrzyłam, jak ratownicy wyciągają go z samochodu, solidnego volvo, które było nietknięte, chociaż porządnie zaryło w płot. Próbował wstać, ale mu nie pozwolili. Patrzyłam, jak kładą go na noszach i niosą do karetki. Przyszło mi do głowy, że nie zapytałam nawet o jego imię. Potem przeczytałam je w gazecie. Gary mi powiedział, że to sycha ze szkoły.

Czy zapomniałabym o nim, gdyby nie wrócił, żeby przeprosić i zaproponować pokrycie szkód? Czy trzymanie go za rękę w samochodzie okazałoby się jednym z uroczych na swój sposób, znaczących drobiazgów, które ulatują z pamięci, zanim jeszcze zdążymy wejść z powrotem do domu?

Kiedy przyszedł zapłacić za zniszczenia, wiedziałam, że chcę go jeszcze zobaczyć. To nie było prawdziwe pożądanie, tylko seria pytań i odpowiedzi prowadzących w określonym kierunku. Zapytałam, czy mogę odwiedzić szkołę.

To przeze mnie Silas rozpoczął naukę w akademii. Nie chciałeś tego. Nie chciałeś, żeby tam chodził.

Miesiącami myślałam, że robię to dla Silasa.

Nieprawda. Robiłam to dla siebie.

Pamiętam jego wizyty. Pamiętam błękitną koszulę i krawat. Marynarkę złożoną starannie na kuchennym krześle, nawet kiedy było zimno. Kiedy siedzieliśmy obok siebie, najpierw przeglądając formularze, a potem rozmawiając o komitecie rodzicielskim, pachniał cytryną, czasem potem. Wreszcie przyszedł na kolację.

* * *

Kiedy już poszliśmy ze sobą do łóżka, któregoś dnia podniosłam z podłogi jego koszulę i wtuliłam w nią twarz, wciągając w nozdrza jej zapach. Samo dotknięcie tej koszuli przez lata stanowiło dla mnie jedyną konkretną fantazję.

Przyniósł wino. Sięgnęłam ponad kuchennym stołem i nakryłam ręką jego dłoń. Był wstrząśnięty. Widziałam to w jego oczach. Popatrzyliśmy na siebie, po czym skierował spojrzenie na podłogę. Byliśmy pijani, ja na pewno. Inaczej nie miałabym

odwagi go dotknąć. Ale cieszyłam się, że to zrobiłam. Wciąż czuję pod palcami jego szorstką skórę, zgrubienia kostek, ciepłe palce. Cofnęłam rękę.

Czy się bałam? Czy w którymś momencie bałam się konsekwencji?

Czekałam na niego tamtego popołudnia i patrzyłam, jak zachodzące słońce różowi pola, kreśląc ostry zarys gór na atramentowym niebie. Wtedy byłam szczęśliwa. Gdy tylko postawił stopę na ganku, otworzyłam drzwi. Miałam na sobie szary sweter i czarną spódnicę. Nie przytulił mnie od razu; wiedziałam, że też się denerwuje. Wzięłam od niego płaszcz, a on swoim zwyczajem zrzucił sportową marynarkę i położył ją na kuchennym krześle. Wydawał się spokojny, czekał. Tak samo, jak w przewróconym samochodzie. Karton z resztką wina stał na podłodze obok stołu.

* * *

- Zostaniesz? - spytałam.

Dostrzegłam zmieszanie na jego twarzy. Położył ręce na biodrach i spojrział w stronę samochodu, jakby miał do załatwienia jakąś niezmiernie ważną sprawę. Ale wiedziałam, że zostanie.

- Herbaty? - zapytałam. - A może kieliszek wina?

- Wiesz, że nigdy nie odmówię dobrego wina.

Oboje odetchnęliśmy z ulgą, że mamy to za sobą.

Wziął ode mnie butelkę, a ja poszłam po korkociąg. Wyjęłam z kredensu dwa kieliszki.

- Wiedziałaś, że się zgodzę - powiedział.

Podeszłam do stołu. Usiadłam.

* * *

Nalał wino, ręka nawet mu się nie zatrzęsła. Wypiłam łyk. Kiedy podniosłam na niego wzrok, zobaczyłam, że się uśmiecha. Dawno nie widziałam takiej czułości na męskiej twarzy.

- Opowiedz mi o wieczorze - poprosił.

Nie wyobrażam sobie, żebyś ty, mój mąż, kiedykolwiek zainteresował się sprawami komitetu rodzicielskiego. Ale nie dlatego to robiłam. Bynajmniej. Nie obchodziło mnie, że jest ci wszystko jedno. To ten brak.

* * *

Kiedy się odezwałam, zadrżał mi głos. Próbowалаm nad nim zapanować. Ni stąd, ni zowąd zachciało mi się płakać. Zacisnęłam usta, żeby się powstrzymać. Wtedy on wstał i podszedł bliżej.

Podniósł mnie z krzesła. Oparłam dłonie na jego piersi. Nie żeby go odepchnąć, ale żeby dotknąć. Pocałował mnie. Podeszłam jeszcze bliżej.

- Bardzo ryzykujesz - powiedział.

- Już to mówiłeś.

- Teraz mówię po raz drugi.

- Nie.

- Co: nie?

- Nie próbuj mi tego wyperswadować.

Znowu mnie pocałował.

- Jesteśmy bezpieczni? - spytał.

- Owen wyjechał, Silas jest na treningu - odpowiedziałam.

Teraz już wiem, że tamte sześć słów było najbardziej zdradzieckimi w moim życiu. Zawarłam w nich premedytację. Sekretny zamysł. Wyrachowanie. Wszystko jak na dłoni.

Wsunął mi ręce we włosy i odgarnął je z czoła, zaskoczony ich ciężarem. Zamknął w dłoni moją pierś. Odchyliłam głowę i pocałował mnie w szyję.

Odsunęłam się na wyciągnięcie ręki. Strząsnęłam włosy na ramiona, przeczeszałam je palcami. Jeszcze mogę przestać - pomyślałam.

I zrobiłam coś, po czym już nie było odwrotu.

Ruszyłam po schodach, spódnica zaszeleściła o gołe nogi. Drzwi do naszej sypialni były zamknięte, ale zapomniałam o drzwiach do pokoju Silasa. Mógł zauważyć rozścielone łóżko, plakat z LeBronem Jamesem na ścianie. Zaprowadziłam go do pokoju gościnnego. Patrzyłam, jak omiata go wzrokiem, podwójne łóżko z kwiecistą narzutą, komodę z serwetką zrobioną przez moją matkę na szydełku. W przelocie zobaczyłam w lustrze swoje odbicie i odruchowo wyprostowałam plecy. Odwróciwszy się, przeszłam obok niego i zamknęłam drzwi.

Zdjęłam spódnice i sweter. Miałam na sobie białą halkę na ramiączkach. Po raz pierwszy ujrzałam na jego twarzy ten

sam głód, który musiał widnieć na mojej. Kiedy podeszłam do łóżka, zdjął ubranie.

* * *

- Spodobałaś mi się od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem
- powiedział przez telefon.

* * *

Przysunęliśmy się do siebie pod kołdrą. Wciąż byłam w halce, a on w bokserkach. Zanurzyłam twarz w jego ramię, zadowolona, że nie może na mnie patrzeć. Spletliśmy nogi, jakbyśmy robili to od lat. Najpierw poruszaliśmy się powoli. Zsunął mi ramiączko, muskając palcami brodawkę. To, co poczułam, było nagłe, niemal bolesne. Dotknął mnie między nogami. Po chwili znalazł się na górze, nie przestając mnie dotykać. Wyciągnęłam rękę. Być może dyszał. A może było to innego popołudnia. Czasem wchodził we mnie z zaskoczenia, wtedy to ja łąpałam oddech. Był swobodny. Ja też.

Później, kiedy zastygał między jawą a snem, obejmując mnie ramieniem, naciągałam mu kołdrę na plecy. Czasem w pokoju panował chłód. Był wrzesień, październik, listopad, tuż przed Świętem Dziękczynienia, a potem grudzień i wreszcie styczeń. Widziałam przez okno rzędy gałęzi, które wreszcie pokryły się śniegiem. W kącie stała maszyna do szycia, należąca dawniej do mojej matki. Byłam świadoma upływu czasu. Byłam żoną i matką, wiedziałam, kiedy mogę się spodziewać waszego powrotu. Każdego popołudnia, kiedy prowadziłam go do pokoju gościnnego, musiał wyjść, zanim stanęliście przed drzwiami. Potrzebowałam czasu, aby zasłonić łóżko, wziąć kąpiel. Starannie suszyłam włosy, żebyś nie musiał się zastanawiać, dlaczego w ciągu dnia naszała mnie ochota na prysznic.

Moja zdrada nie miała granic. Żadnych granic. Byłam świadoma żądzy i oszustwa, zawsze zwyciężała żądza. Czasami myślałam o jego żonie, ale nigdy nie zadawałam żadnych pytań. Nie chciałam, żeby wypowiadał jej imię. Prędzej czy później musielibyśmy porozmawiać o niej i o tobie, ale skończył nam się czas. Okazał się nad nami górą. Osaczył nas znienacka i ukarał.

Słyszę twoją ciężarówkę na podjeździe. Wejdiesz do kuchni, zobaczysz list i odłożysz go pospiesznie. Słyszę twoje kroki na werandzie. Otwieram usta i gryzę poduszkę. Wpycham ją do ust, żeby zagłuszyć krzyk.

Mike

Później myślał, że pewnie się zdrzemnął. Odkąd kochali się po raz pierwszy, był u Anny co najmniej kilkanaście razy. Czasem myślał, że były to najważniejsze dni jego życia. Tak, na pewno przysnął, gdyż obudził go jakiś dźwięk.

- Mike - odezwała się leżąca obok Anna.

Był to cichy brzęk, jak gdyby w odległym pokoju ktoś upuścił klucze do popielniczki, lecz Anna zeszytniała w jednej chwili. Mike usłyszał charakterystyczny odgłos otwieranych drzwi lodówki.

Przyszło mu do głowy, że osoba obeznana ze zwyczajami nastolatków ujrzałaby tę scenę przed oczami jak żywą. Nie zwróciwszy uwagi na samochód dyrektora na podjeździe, chłopiec wpada do kuchni i machinalnie rzuca klucze do szklanego naczynia, jak zwykł to robić codziennie. Otwiera lodówkę w poszukiwaniu mleka lub soku. Po treningu zawsze doskwiera mu pragnienie. I choć dzisiejszy trening okazał się krótszy, bo trenerowi wypadło nagłe zebranie, dalej chce się pić. Być może chłopiec chce wziąć prysznic, a potem pójść na spotkanie z dziewczyną. Może zjedzą kolację w szkolnej stołówce. Może wcale się nie zastanawia, gdzie są matka i dyrektor - pewnie w salonie, znowu ślęczą nad papierami - ostro bierze zakręt i biegnie na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Mike słuchał ze zgrozą, jak Silas opróżnia pęcherz w łazienke. Usłyszał, jak chłopiec puszcza wodę nad umywalką, pewnie po to, aby przemyć twarz. Wyobraził go sobie w jedwabistych spodenkach do koszykówki i bawełnianej podkoszulce. Może

wejdzie pod prysznic, pomyślał. Wówczas Mike miałby szansę się wymknąć. A może Silas tylko wpadł na chwilę do domu i zaraz popędzi dalej?

Nie wiedział, co ich zdradziło. Być może zamknięte drzwi do pokoju gościnnego.

- Mamo? - zawołał niepewnie Silas.

Anna zdążyła już włożyć halkę. Narzuciła sweter i właśnie mocowała się ze spódnicą. Mike zobaczył, że zapomniała o butach.

Wyszła do przedpokoju, pośpiesznie zamykając drzwi za sobą, lecz w szparze mignęła zaniepokojona chłopięca twarz.

Silas podniósł głos. Anna próbowała go uspokoić. Silas zasypał ją pytaniami. Anna starała się udzielać sensownych odpowiedzi. Silas zaczął krzyżeć. Anna usiłowała się bronić.

- Pieprzysz tego pacana? - usłyszał Mike. - Pieprzysz tego pacana?

Trzasnęły drzwi. Niemal w tej samej chwili otworzyły się ponownie, klamka huknęła o ścianę.

- Kurwa! Kurwa! Kurwa! - wrzeszczał Silas i jego krzyk niósł się echem po schodach, aż wreszcie rozbrzmiał przez cienką szybę pokoju gościnnego. Mike usłyszał warkot silnika i chrzęst żwiru, kiedy samochód Silasa ostro ruszył z miejsca.

Mike pośpiesznie nałożył ubranie i wyszedł z pokoju. Drzwi do sypialni Quinneyów były zamknięte. Wydało mu się, że słyszy płacz, i wyobraził sobie Annę siedzącą na krawędzi małżeńskiego łóżka, z dłońmi przyciśniętymi do szydełkowej narzuty. Jest nieruchoma jak głaz. Prawie nie oddycha.

Owen

Owen siedział na krześle, pogrążony w głębokim namyśle. Dzwoniła ta jego dziewczyna, ta Noelle. Usłyszał niepokój w jej głosie. Usiadł i pomyślał: Pewnie się pokłócili. Silas nie wrócił na kolację. Pomaszerował prosto do swojego pokoju. Musieli się poprzytykać.

Po drugim telefonie poszedł na górę i zapukał do pokoju Silasa. Trzeba szanować ich prywatność, nie?

Silas nie odpowiedział.

Owen uchylił drzwi. Pomimo ciemności zobaczył, że syn ma otwarte oczy. Owen wypowiedział jego imię:

- Silas.

Chłopiec nie odpowiedział. Owen wszedł do środka.

- Ta twoja dziewczyna - powiedział. - Dzwoniła.

Silas milczał.

- Chory jesteś? - zapytał Owen.

Silas odburknął, że nie, ale Owen poznał po jego głosie, że syn płacze.

Owen otworzył drzwi nieco szerzej, żeby wpuścić trochę światła.

Silas miał smarki pod nosem, oczy mu spuchły.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział Owen. - Pokłóciłeś się z tą dziewczyną?

Sam nie wiedział, dlaczego nie nazwał jej po imieniu. Przecież je znał. Noelle. Mógł powiedzieć jej na głos.

Silas potrząsnął głową. Mocno potrząsnął, ale Owen wiedział, że ma dość. Zmęczył się tym płaczem.

- Co się stało, synu? - zapytał Owen. Nie, nie powiedział „synu”. I zaraz tego pożałował.

- Co się stało? - zapytał.

Silas wykrzywił twarz, zaciskając usta w wąską kreskę. Jego oczy zamieniły się w szparki.

Owen stał i patrzył, dopóki twarz Silasa nie odzyskała normalnego wyrazu. Chłopiec popatrzył na ojca.

- Idź sobie, tato - powiedział. - Idź.

Owen wiedział, kiedy dać spokój. Jeśli ta Noelle z nim zerwała, na pewno cierpi i Owen nic na to nie poradzi. Nie umiał służyć radą, tak jak Anna. Poza tym żadne słowa i tak pewnie tu nie pomogą.

Postał przy drzwiach, odrobinę za długo. Nie umiał pomóc, ale bardzo chciał.

- Idź sobie - powtórzył Silas.

Słowa dźwięczą w uszach Owena. Nawet dziś.

Zamknął drzwi i przystawił do nich ucho. Sam nie wiedział, czego nasłuchuje. Czegokolwiek.

Za jego plecami otworzyły się drzwi do sypialni. Myślał, że Anna się kąpie, ale wciąż miała na sobie to samo ubranie, co przy kolacji.

- Owen - powiedziała.

- Wiesz, o co tu chodzi? - spytał Owen, wskazując kciukiem drzwi synowskiego pokoju.

Anna podniosła rękę do oczu. Zaczęła płakać. Owen poczuł się jak ostatni mężczyzna na świecie, który nie rozumie własnej rodziny.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

Silas

Jest zimno, coraz zimniej. Niedługo zrobi się zupełnie ciemno, ale w razie czego mogę zejść na dół i przespać się w szopie, jeśli nie będę gotowy na powrót do domu. Kiedy obudzę się rano, znów do ciebie napiszę, bo nic innego mi nie pozostaje, mogę tylko pisać, jak bardzo cię kochałem i wciąż kocham. To wszystko, co chcę powiedzieć, i gdybym nie zrobił tej okropnej rzeczy, powiedziałbym ci to tysiąc razy, a może i więcej, ponieważ robiłbym wszystko, żebyś po studiach została moją żoną. Myślę sobie teraz, że będziesz grała piękną muzykę, a ja nigdy jej nie usłyszę, i to chyba najsmutniejsze ze wszystkiego, choć nie do końca. Może któregoś dnia dowiem się o twoim koncercie i wkradnę się na widownię, żeby zobaczyć, jak grasz. Nie będziesz musiała na mnie patrzeć, usiądę daleko i po prostu będę słuchał.

Przepraszam, że nie oddzwoniłem. Wybacz mi, proszę. Na pewno szalałaś z niepokoju. Ale matka i ten wstrętny człowiek wyprowadzili mnie z równowagi. Wiem, że przyznała się ojcu, słyszałem huk zatraskiwanych drzwi i odjeżdżający samochód, a potem jej płacz w sypialni. Pomyślałem, że to koniec naszej rodziny, że nas zniszczyła, a on wpełzł między nas jak wąż i zatruł wszystko, co mieliśmy. Już nigdy nie będziemy rodziną, nigdy, przez to, co zrobiła i co ja zrobiłem.

Jeśli ojciec obejrzy nagranie, nie będę mógł wrócić do domu. Nie mógłbym spojrzeć mu w oczy ani on mnie. Będę musiał odejść.

Robi się zimno i ciemno, a ja zapomniałem rękawiczek, jak ostatni krety. Sam nie wiem, jak to się stało, chociaż nie, dobrze wiem, byłem taki wściekły... Schowam ręce pod kurtkę. Nie mogę długo pisać, bo mi palce sztywnieją, przed każdym kolejnym zdaniem muszę ogrzewać ręce w kieszeniach. Przed chwilą zjadłem baton energetyczny, nie jestem głodny, ale trochę chce mi się pić. Nie wziąłem wody, kolejna głupota z mojej strony, ale zawsze mogę zjeść trochę śniegu.

Ciekawe, co teraz robisz, dokładnie w tej chwili. Mam nadzieję, że nie leżysz na łóżku i nie płaczesz przeze mnie. Przyszła mi do głowy straszna myśl, że może zechcesz odejść ze szkoły, że ból i upokorzenie nie pozwolą ci zostać, i chcę ci powiedzieć... Boże, ile bym dał, żebyś tego nie robiła. Proszę, tylko nie odchodź. Musisz iść do Juilliarda lub tam, gdzie będziesz mogła dalej grać. Ta sprawa cię nie dotyczy, nie miałaś z nią nic wspólnego, to tylko moja głupota i bezmyślność. W przeciwieństwie do ciebie zasługuję na każdą karę, choć cierpienie, którego ci przysporzyłem, to pewnie najgorsza z możliwych kar. Zejdę na dół i niech ze mną robią, co chcą, wcale się nie boję, chciałem tylko najpierw z tobą porozmawiać, a kiedy to piszę, czuję się tak, jakbym to robił. Boże, tak bardzo chciałbym, żebyś tu ze mną była, żebym mógł przeprosić cię milion razy. Wcale nie musiałybyś na mnie patrzeć ani pozwolić się dotykać, ani nawet słuchać, że cię kocham. Chciałbym ci tylko powiedzieć, jak bardzo żałuję, że cię na to naraziłem. Może wtedy byś mi wybaczyła, spojrzęłabyś mi w oczy i pomimo smutku uwierzyłyabyś w moją miłość. I może któregoś dnia pocałowałałybyś mnie na znak, że mi wybaczyłaś, bo przecież dzieją się gorsze rzeczy, i może nawet kiedyś pójdziemy razem ulicą, wejdziemy do sklepu lub usiądziemy naprzeciw siebie i porozmawiamy, a to, co nas rozdzieliło, odejdzie w niepamięć. A potem, któregoś dnia, zaprowadzisz mnie do swojego domu, do sypialni, położysz się na łóżku, a ja obok ciebie, i będziemy się kochać, i nie będzie tak jak na tej kasecie. Wówczas będę szczęśliwy.

Noelle

Nie dzwonię kolejny raz. Jeśli zechce porozmawiać, sam zadzwoni. Ale wiem, że coś się stało. Jego zachowanie na boisku oznacza, że albo wściekłość nie pozwoliła mu się powstrzymać, albo chciał zrobić komuś krzywdę. Zbyt dobrze panuje nad piłką, z reguły trafia tam, gdzie chce. To niemożliwe, że chciał skrzywdzić tamtą kobietę, naprawdę nie wiem, co myśleć.

Ludzie pytają po południu: „Co się stało Silasowi?”. Wzruszam ramionami. Nie wiem, co odpowiedzieć.

Idę do sali ćwiczeń i próbuję grać na skrzypcach. Jestem zdenerwowana, i to słychać. Smyczek odmawia posłuszeństwa. Frustracja. Zniecierpliwienie. Nawet nuty są rozchwiane, jakby wkradła się w nie pustka.

Czasem nachodzi mnie myśl: „Czy to już koniec?”. Jest sobota, a on nie zadzwonił ani nie napisał. Zaczynam się bać. Ale nie mogę znowu dzwonić do jego domu. Po prostu nie mogę.

Nikt nie chodzi na kolację w sobotni wieczór. Burczy mi w brzuchu.

Jesteśmy w najstarszej klasie, nie chodzimy już na dyskoteki. Siedzę w pokoju i próbuję czytać, ale czytanie jest jak muzyka, niespójne i rozedrgane. Raz po raz czytam tę samą stronę, po czym wyglądam przez okno. Śnieg przykrył ziemię gęstą, grubą warstwą, gdzieś połykuje w świetle. Moja współlokatorka ma chłopaka, pojechała na noc do Burlington. Siedzę sama w pokoju, ale nie zamykam drzwi, bo czuję się wtedy bardziej samotna. Od czasu do czasu sprawdzam komórkę. Podłączam ją do ładowarki, na wszelki wypadek. Co pięć minut zaglądam do komputera. Mogłabym zadzwonić do jego domu - myślę. A co, jeśli jest chory, może ma gorączkę i niepotrzebnie się zamartwiałam? Może dlatego tak się dziwnie zachowywał na meczu. Tak, to na pewno to. Jest chory, dlatego wcześniej się położył. Ostatnia myśl jest tak przekonująca, że prawie oddycham z ulgą. Jeśli jest chory, nie ma powodów do obaw. Nie będę zwracać mu głowy telefonami.

Ale zaraz myślę: Gdybym to ja była chora, na pewno bym do niego zadzwoniła. Żeby mu powiedzieć. Prawda?

W otwartych drzwiach miga postać z długimi ciemnymi włosami. Po chwili zwraca i staje w progu.

- Noelle? - mówi Sherry.
- O, cześć.
- Co ty tu robisz?
- Czytam - odpowiadam, unosząc książkę.
- Myślałam, że jesteś z Silasem.
- Jest chory - mówię.
- Tak? - Sherry przygryza wargę.
- A co?
- Nic, zdawało mi się, że go widziałam. - Widzę, że najchętniej zrobiłaby w tył zwrot.
- Gdzie? - pytam, siadając na łóżku.
- Chyba widziałam go na dyskotecę, ale pewnie coś mi się pomyliło - Sherry próbuje się wykręcić.
- Silas na dyskotecę? - mówię. - W świetlicy?

- No. Tak mi się zdaje. Ale to pewnie nie był on. Wiem, że kłamie.
- Przyszło dziś sporo czwartoklasistów - dodaje.
- Dlaczego?
- Nie mają co robić. Drogi zasypane.
- Dziwne - mówię.
- Muszę lecieć - odpowiada.

Siedzę na łóżku, zaciskając palce na książce. Silas nie jest chory. Poszedł na dyskotekę, beze mnie. Na dyskotekę, na którą normalnie machnąłby ręką.

Może Silas ma nową dziewczynę.

Nie, to niemożliwe.

Wstaję i pospiesznie przeglądam się w lustrze. Nie ma czasu na prysznic. Mam na sobie bluzę Avery i dzinsy, które noszę od dwóch dni. Przeczesuję szczotką włosy, które natychmiast stają dęba jak naelektryzowane. Cała jestem naelektryzowana. Powietrze jest suche, na zewnątrz pewnie jakieś sześć stopni mrozu. Narzucam kurtkę na bluzę i wychodzę z pokoju.

Ścieżki są oświetlone latarniami i gdyby nie mój niepokój, pewnie zachwyciłabym się ich blaskiem oraz gwiazdami rozsiętymi po czarnym niebie. W oddali widać świetlicę; ma przypominać kilkukondygnacyjny klub z miejscami do siedzenia i parkietem. Kiedy gra muzyka, przyćmione lampy mają tworzyć atmosferę. Aż dziw bierze, że oświetlenie może tak odmienić wnętrze. Za dnia, gdy światło wpada przez wielkie okna na stoły usłane książkami, czapkami baseballowymi i cukrem pudrem z pączków, niebiesko-czerwone ściany i diamentowy wzór na poplamionej wykładzinie uderzają nie tyle zwyczajnością, ile wręcz szpetotą, niczym dzieło jakiegoś nawiedzonego ucznia. Ale wieczorami, w blasku przyćmionych lamp i świeczek porozstawianych na stołach, łatwo uwierzyć w romans.

Słyszę coraz głośniejszą muzykę. Rytmiczny łoskot basów. Na pewno zobaczę pierwszoklasistki, które myślą, że znalazły się w odjazdowym nowojorskim klubie i tańczą z rękami uniesionymi do góry, niektóre z napojami (dietetyczna cola w plastikowych kubkach), naśladując bohaterki filmów.

* * *

Szkoda, że nie mam czapki niewidki, weszłabym do środka niezauważona. Chcę tylko sprawdzić, czy Silas rzeczywiście tam jest. Przeciskam się przez tłum żółtodziobów na schodach, jedni biegną na dymka, inni idą na poszukiwanie alkoholu albo po prostu się popisują. Krążą w trzy-, czteroosobowych grupkach. Żadna pierwszoklasistka nie chodzi w pojedynkę. Czuję się trochę jak nadopiekuńcza matka - fatalnie ubrana, starsza i zmartwiona.

Od razu zauważam Roba i J. Kropkę. Przewyższają wzrostem pozostałych chłopców co najmniej o głowę, nawet Silasa, którego początkowo nie widzę. Dziwię się, że w ogóle tu przyszli. Czy to jakiś żart? Tak bardzo im się nudziło, że postanowili potańczyć? A może któryś z nich ma dziewczynę w młodszej klasie, a pozostali po prostu dołączyli dla towarzystwa? Przepycham się przez ciżbę. Czuję pod stopami lepka substancję, wolę nie myśleć, co to takiego. Patrzę w dół, a kiedy znów unoszę wzrok, widzę Silasa. Tańczy, co samo w sobie wydaje się dziwne, Silas nigdy nie tańczy, a do tego porusza się jak w transie. Przechyliam głowę, raz w jedną, raz w drugą stronę, i wtedy widzę coś jeszcze. Silas tańczy z drobną dziewczyną, ładniutką, zgrabną dziewczyną, nader zwinną mimo niebotycznych obcasów. Zastanawiam się przelotnie, jakim cudem dotarła do świetlicy w butach, w jakich ja sama pewnie nie dałabym rady nawet ustać. Silas kołysze się w rytm muzyki, dziko wymachuje rękami i kręci biodrami. Jest fatalnym tancerzem i gdyby nie moje zdumienie, pewnie zapadłabym się ze wstydu pod ziemię. Wygląda jak oszalały, ale widzę, że nikt się nie śmieje.

Przysuwam się bliżej. Jego skóra lśni od potu. W pewnej chwili obraca się i prześlizguje po mnie niewidzącym spojrzaniem. Jest ubrany w zieloną koszulę z flaneli narzuconą na podkoszulek i dzinsy z mokrymi nogawkami. Ma zabłocone buty. Mam wrażenie, że ludzie rozstępują się, żeby na niego patrzeć, ale to tylko złudzenie. Oświetla go tylko mój prywatny reflektor. On i blondynka na obcasach w ogóle się nie dotykają, chyba nawet na siebie nie patrzą. Ale dziewczyna jest w swoim żywiole, wyduży kuszaco dzióbek raz po raz rozciąga się w szerokim uśmiechu. Uśmiech jest na pokaz, chce zaimponować koleżankom, które stoją z boku z kubkami w dłoniach i popijają oranżadę małymi łydkami. Zazdrosne. No ba. Wygląda jak tancerka we własnym wszechświecie, na własnej orbicie, która sporadycznie nachodzi na orbitę Silasa. Poprosił ją do tańca? Skąd się tu wziął? Jak widać, nic mu nie dolega. A skoro postanowił tu przyjść, dlaczego nic mi nie powiedział?

Jak widać, istnieje Silas, którego nie znam, tak jak nie znałam Silasa z wczorajszego meczu koszykówki. Boję się tego Silasa, wirującego jak derwisz, już nawet nie w rytm muzyki. Silasa, który gdyby nie dzikość ruchów i obłąd w oczach, stałby się dla wszystkich pośmiewiskiem. Może są zafascynowani tym nowym Silasem. Może czekają, aż rzuci piłką.

Czuję, że dłużej tego nie znośę. Parę osób zauważyło, jak stoję na uboczu w bluzie Avery, zaraz zaczną plotkować. Że Silas i ja się pokłóciliśmy. Że Silas i ja zerwaliśmy. Że Silas ma nową dziewczynę, zwinną blondynkę na niemożliwie wysokich obcasach.

Odwracam się i przeciskam w stronę wyjścia. W głowie kołaczę mi jedno pytanie: Czy to prawda?

Colm

Zgoda, prasa stworzyła potwora. A może to sprawka opinii publicznej. Albo samej szkoły. Można by się sprzeczać w nieskończoność, ale co do jednego nie ma najmniejszych wątpliwości: prasa rozdmuchała płomień.

Wysłałem artykuł w czwartek, 26 stycznia, żeby trafił do porannego wydania w Bostonie. Intuicja mnie nie zawiodła. Wydawca zamieścił go na pierwszej stronie, tuż pod zgięciem. Był to dopiero mój drugi artykuł na pierwszej stronie, ale to nieważne. Myślę, że opis nagrania trafia w sedno, choć dopóki człowiek nie zobaczy tego na własne oczy, ma do prawdy blade pojęcie, o co chodzi. Rzecz jasna, musiałem to nieco rozwodnić, żeby czytelnicy strawili temat przy porannym toście z kawą. Podczas pobytu w Avery zdobyłem listę uczniów i dzwoniłem do nich wyrywkowo. Niesamowicie, ilu było skorych do rozmowy z prasą. I jeszcze coś. Oni rzadko mijają się z prawdą. Koloryzują, owszem, trzeba mieć to na uwadze. Ale prawie nigdy nie kłamią. Przynajmniej nie przy dziennikarzach.

Nie rozmawiałem wówczas z żadnym z uczniów zamieszanych w sprawę. Rodzina Quinneyów była nieosiągalna. Rob Leicht też nabrał wody w usta. Za to James Robles gadał jak najęty - gwoli ścisłości, wbrew radom swojego obrońcy. Odbyłem także niezwykłą, acz dość zwieżłą pogawędkę telefoniczną z wykorzystaną dziewczyną. Koleżanka z klasy dała mi jej numer, dzięki czemu uzyskałem barwną, choć miejscami nieco wewnątrznie sprzeczną wersję wydarzeń.

Podejrzewam, iż bytem jedynym dziennikarzem, który rozmawiał z nią bezpośrednio.

„Globe” trąbił o tym przez pięć kolejnych dni. Później nie zabrakło kolejnych artykułów, aż do pierwszej rocznicy wydarzenia. Za każdym razem, kiedy dzieje się coś podobnego, Avery wyskakuje jak diabeł z pudełka. Pojawiło się także mnóstwo publikacji o zagrożeniach w szkole, nadużywaniu alkoholu. Rezygnacja Bordwina też narobiła dużo szumu, podobnie jak proces wytoczony przez Roblesów.

Mógłbym śmiało powiedzieć, że w ciągu godziny po tym, jak mój artykuł ujrzał światło dzienne, wszyscy lokalni korespondenci i przedstawiciele gazet z Vermontu ruszyli do Avery jak w dym. Zanim wybiło południe, znalazły się tam wszystkie grube ryby: CNN, NBC, ABC, CBS, FOX, „New York Times”, „Washington Post”, „People”, do wyboru, do koloru. Każdy chciał uszczknąć choć trochę dla siebie.

Telewizja CNN zdobyła pierwszą kopię nagrania i choć nie pokazała zbyt wiele (twarze oraz wiadome części ciała zostały zamazane), nie obyło się bez komentarzy na temat etyki i podobnych bzdetów. Nadawali do znudzenia, a z każdej gęby biła taka radość, że człowieka mdłości brały. „Pokażemy to państwu, chociaż odbyła się dyskusja o zasadności podobnych działań, ponieważ jesteśmy głęboko przekonani, iż leży to w interesie naszych widzów”. Co za bzdury. A potem ściągają tabuny specjalistów od etyki oraz innych fachowców, pozał się Boże, którzy debatuja o wszystkim, począwszy od picia w kampusach, poprzez definicję „napaści na tle seksualnym” w stanie Vermont, a skończywszy na podjętych przez władze szkoły próbach zatuszowania sprawy. Człowiek co wieczór włączał telewizor i widział reporterów koczujących przed bramą Avery. A przyglądając się uważniej, dostrzegał, że wszyscy mają na sobie ortalionowe kurtki, żeby się nie wyróżniać na tle licealistów.

Prowadziłem sprawę aż do samego końca. Dostałem za to Pulitzera. Mógłbym się wymądrzać na temat etyki przyjęcia nagrody za plugawą opowieść o pijaństwie, seksualnych

ekscesach i unikaniu odpowiedzialności, ale jeśli wziąć pod uwagę każdy nagrodzony materiał z ostatniego dziesięciolecia, wszędzie znajdziemy te same brudy. Można sobie wmawiać, że chodzi o możliwie rzetelne i obiektywne przedstawienie sytuacji - na przekór temu, co pokazują brukowce - ale tak naprawdę wszyscy jesteśmy brukowcami.

Podczas pobytu w Avery człowiek przecierał oczy ze zdumienia. Wreszcie trzeba było zamknąć szkołę, ale przez pierwsze dni, kiedy stacje maglowały uczniów, niektórzy smarkacze wyśpiewali wszystko jak na spowiedzi (wszystko, czyli praktycznie to samo, co znamy ze szkół publicznych). Proszę sobie wyobrazić, że włącza pani telewizor, a tam pani „Julie” albo „Joshua” opowiada o „chlaniu i obciąganiu”. Co pani na to?

Wynająłem pokój w motelu Mountain View, tym samym, gdzie w chwili aresztowania przebywali Rob Leicht i jego matka. Podejrzewam, że Avery w życiu nie doświadczyło takiego obłężenia. Zjechały się setki - powtarzam, setki - dziennikarzy, reporterów, operatorów i dźwiękowców, i wszyscy oczywiście szukali noclegu. Właściciel motelu wyznał mi później, że w pierwszym tygodniu po wybuchu afery zrobił interes swego życia (chyba byłem jedyny, któremu nie wyśrubował ceny). Ludzie zaczęli wynajmować pokoje we własnych domach; ba, wynajmowali całe chałupy, a sami przynosili się ze swoim majdanem do cioci Sally i nabijali kabzę. Ci się dopiero nachapali. Podobno jedna z dziennikarek zamieszkała w pokoju z łazienką po drugiej stronie korytarza i następnego dnia kazała sobie sprowadzić z Nowego Jorku przyczepę z sypialnią i garderobą.

Avery nie było na to przygotowane. Na posterunku siedziało tylko dwóch koleśków, których codzienne obowiązki polegały na kierowaniu ruchem i płoszeniu dziennikarzy. Wreszcie kiedy tubylcy uświadomili sobie, w jakim świetle przedstawiono szkołę i całe miasteczko, poszli w zaparte. Silas Quinney też pochodził stąd i wiele osób solidaryzowało się z jego rodzicami. Gary Quinney był stryjkiem Silasa. Richard Sommers i jego żona Sally, siostra Owena, którzy prowadzili

jedyną jadłodajnię w mieście, tuż obok stacji Mobil, zwinęli interes. Trzeba było zamawiać żarcie z sąsiedniej miejscowości. Też mi żarcie. Pizza, tacos, paskudna chińszczyzna. Za to sery były niczego sobie. Tak, sery były pierwsza klasa.

Trzeciego dnia dziennikarze otrzymali zakaz wstępu na teren szkoły. Jeśli przejrzy pani materiały z tamtego okresu, widać, że wszystkie nakręcono przed miejscowym sądem, a reporterzy zamienili ortalion na krawaty i garnitury. Czasami ktoś ze szkoły (początkowo Geoff Coggeshall, pełniący obowiązki dyrektora, a potem wyznaczony na to stanowisko) wygłaszał oświadczenie, odmawiając odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Woleli dmuchać na zimne, w końcu mieli na głowie los obecnych uczniów i przyszłość szkoły, ale najgorsze już się stało. Wreszcie wynajęli nowojorską firmę od kreowania wizerunku, która odwalała za nich brudną robotę.

Zachowałem swoje notatki i mnóstwo materiałów. Wielu wydawców proponowało mi napisanie książki o sprawie Avery. Dziwię się, że jeszcze nikt tego nie zrobił.

Natalie

Miasto dosłownie eksplodowało. To chyba najlepsze określenie. Przez dziesięć dni z rzędu trąbili o nas w wiadomościach, potem też nie brakowało artykułów. Zupełnie jak w tych historiach o górnikach, którzy utknęli pod ziemią, i wszyscy czekają z zapartym tchem, co się stanie. Albo o autobusie, który spadł z mostu, unosząc ze sobą dzieci. Byliśmy obłączeni.

Zaroiło się od rodziców, którzy przyjechali nie po to, by zabrać dzieci, ale żeby trzymać rękę na pulsie. W szkole obowiązuje zasada, że wszyscy, którzy przychodzą do stołówki, muszą zostać obsłużeni. Korzystają z tego przede wszystkim rodzice podczas weekendowych odwiedzin, kiedy przyjeżdżają na mecz albo z jakiejś innej okazji. W czasie tej całej afery do stołówki przychodziły dziesiątki rodziców i jadły za darmo. Nie byliśmy na to przygotowani. Nie mieliśmy nawet kasjerki. Kucharki musiały zamówić dodatkowe porcje makaronu, wołowiny, warzyw i mleka, a niektórzy rodzice, proszę sobie wyobrazić, zaczęli narzekać na bar sałatkowy i znów musieliśmy składać dodatkowe zamówienia. Mało tego, nie sposób było odróżnić rodziców od dziennikarzy, którzy przed wystawieniem przepustek też wkradali się do środka. Śmiem twierdzić, że przez pierwsze trzy dni obsługiwaliliśmy ich co najmniej pięćdziesięciu dziennie.

Ale na tym nie koniec. To już nie to samo miasteczko. George i Jill Marshowie wynieśli się na dobre. Najpierw przeprowadzili się do Ludlow, do matki Jill, a dom z dwunastoma pokojami, położony jak znalazł, pomiędzy bramą wjazdową

Akademii Avery a sklepem Peeta, wynajęli reporterom. Zażądali tysiąca za noc i Bóg mi świadkiem, nikt się z nimi nie targował, chociaż dom pamiętał lepsze czasy i miał tylko dwie łazienki, które nawiasem mówiąc, pozostawiały wiele do życzenia. George i Jill zarobili w ten sposób dwadzieścia tysięcy, a potem jeden z dźwiękowców z CNN tak się rozkochał w tej ruderze, że zaproponował im sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce, w sam raz na domek na Florydzie. No i mieszkają teraz w Tampie. Też myślałam o wynajęciu naszej chałupy, ale Ebbett nie chciał słyszeć o przeprowadzce do mojej siostry Lily i wyszedł z tego guzik z pętelką. Wyciągnęlibyśmy lekko cztery stówki za noc. Łazienki - mucha nie siada! Zarabiam tylko czterysta tygodniowo, i to brutto. Ale gdzie tam, Ebbett nie chciał o tym słyszeć, no to ja czasem pytam, żeby mu zagrać na nerwach: „Gdzie mój domek na Florydzie?”. Czekaj tatka latka. Ale muszę oddać mojemu Ebbettowi, że okazał się naprawdę lojalny wobec szkoły, a kiedy zamknięto bramę, wszystkich, którzy sprzyjali dziennikarzom - choćby tylko wynajmowali im domy - zaczął nazywać kolaborantami, jak w czasie drugiej wojny światowej. I nie był w tym odosobniony. To trochę dziwne, ale można powiedzieć, że miasto podzieliło się na dwa obozy i w pewnym sensie tak zostało do dziś. Zaczęło się od podziału na tych, którzy pomagali dziennikarzom i na tych, którzy im nie pomagali; Ebbett do dziś bojkotuje sklep Bobby'ego Peeta ani nie gada z Fredem Greasonem, który zarobił wówczas krocie na wynajmie.

Łóżka i żywność były na wagę złota. Wyłączając szkołę, Avery liczy niewiele ponad tysiąc dusz. Samuel z poczty obliczył, że w szczytowym momencie afery liczba ta wzrosła dwukrotnie. Prasa, rodzice, pospolici gapie. Nie mam głowy do matematyki, ale ktoś mógłby się pokusić o obliczenie produktu krajowego brutto, jaki przypadł na Avery w tamtym okresie.

Greason to się dopiero obłowił. Wiem o co najmniej trzech transakcjach zawartych bezpośrednio w wyniku napływu ludności. Może było ich więcej, kto wie. Jak wspomniałam, Ebbett i ja już się z nim nie zadajemy, choć ja nie chowam urazy tak

jak mój stary. Kiedy spotykam Freda i jego żonę w kościele, zawsze się przywitam, jak na chrześcijankę przystało.

Ale to błahostka. Najgorsze, że każdy miał coś do powiedzenia. Chłopcy byli winni. Chłopcy to tylko chłopcy. Dziewczyna była ofiarą. Dziewczyna sama się prosiła. Ale nikt, dosłownie nikt, nie przejął się Silasem. Widzi pani, był jednym z nas, a nie żadnym tam bogatym smarkaczem z Nowego Jorku. Jego rodzice borykali się z losem tak jak my wszyscy. Byliśmy z niego tacy dumni. Wiele osób chodziło na mecze tylko po to, żeby go obejrzyć. A propos, to Jill Marsh oberwała piłką.

Nie mam pojęcia, co Silas tam wtedy robił. I gdyby nie ta przeklęta taśma, nigdy bym w to nie uwierzyła. Nigdy. Avery po prostu oniemiało. Anna... Nie widziałam jej w mieście, ho ho, co najmniej od roku. Czasami widuję Owena, ale to już nie ten sam Owen, co kiedyś. Jest jak wydrażona muszla. Twarz mu się zapadła, aż przykro patrzeć. Mijają dni, tygodnie i człowiek zapomina o skandalu, a potem przejeżdża obok farmy Quinneyów - choć właściwie trudno ją teraz nazwać farmą - albo miją Owena na stacji benzynowej i myśli sobie, jak to los może się odwrócić, ot tak, w jednej chwili.

Nabór spadł drastycznie. Nie mam już tyle roboty w stołówce. Jeszcze nie obcięli mi pensji, ale co jakiś czas krążą pogłoski, że to nieuniknione. I podobno ludzi będą zwalniać. Ostro się wzięli do ukrócenia pijaństwa. Na każdej dyskotecie jest teraz dziesięć przyzwoitek, a na drzewach zamontowano kamery, bynajmniej nie dla bezpieczeństwa, ale żeby łapać gagatków na gorącym uczynku. Michael Bordwin odszedł dawno temu, a pan Coggeshall rządzi twardą ręką. Co rusz wymyślają jakieś inicjatywy. Inicjatywa Tego, Inicjatywa Tamtego. Fakt, myślę, że dzieciaki teraz mniej piją, ponieważ bardzo ciężko zdobyć alkohol. Tak czy siak, na niedzielne śniadanie przychodzi teraz więcej osób, o ile to o czymś świadczy.

J. Kropka

Taa, czasem myślę o Robie i Silasie. Zastanawiam się, czemu tam wtedy byli. Pamiętam, że myślałem sobie: Po co ten Silas to robi? Przecież miał Noelle. Ale chyba myślałem wtedy tylko połową mózgu, bo powinienem sobie zadać to samo pytanie: Po co ja to robię? A odpowiedź brzmi... odpowiedź brzmi... dla seksu. Nikt nie powie tego głośno, ale ta laska... dosłownie płonęła. Strasznie mnie to podrajcowało. No i byliśmy nawaleni. Poszliśmy na żywioł. Cóż mogę powiedzieć?

Dlaczego Silas tam był? Od rana go nosiło, sam widziałem. Coś się stało, w domu albo w szkole, nigdy nie poznałem szczegółów. Ale był zdruzgotany. Pamiętam, jak w czasie meczu z całej siły walnął piłką w trybuny. Jakaś babka dostała w twarz, ludziom dosłownie szczęki opadły. Sędzia wyrzucił go z boiska. Pewnie pani słyszała. Rozpisywali się o tym w gazetach, jakby to miało związek ze sprawą. Wyleciał wtedy jak oparzony, nie chciał z nikim gadać. Kiedy potem znaleźliśmy go w samochodzie, już odlatywał. Tak, coś musiało się stać. I nie chodziło o Noelle, była w takim samym szoku jak my wszyscy.

Tak, trzeba było z nim porozmawiać. Trzeba było zrobić masę rzeczy. Ale kiedy człowiek ma siedemnaście, osiemnaście lat, po prostu wyłącza myślenie. I przez parę godzin idzie na całość.

No tak, ja miałem dziewiętnaście lat. Wielkie rzeczy.

Przylazła do nas jak po sznurku. Dobrze to sobie wymyśliła.

Co myślę o picciu wśród młodzieży? Pyta pani poważnie?

Kończysz osiemnaście lat, jesteś dorosły. Sorki, ale tak jest. Skoro mogą cię powołać do wojska i zmusić do zabijania ludzi, powinieneś mieć prawo strzelić browar. Albo i sześć, jeśli przyjdzie ci na to ochota.

No, dziewczyna nie powinna była pić, to prawda. Nie mam pojęcia, skąd wzięła alkohol.

Czy myślę, że uczniowie z Avery dalej piją, nawet po tym wszystkim? Kpi pani sobie? Przecież wszyscy byliśmy w AA.

To taki żart.

Akademia Avery?

Matthew

Szekspirowskie bzdety. Matthew dostawał szału na samą myśl. „Elita”. „Duma Avery”. „Kwiat amerykańskiej młodzieży”. „Szczęśliwy wybraniec, który odziedziczy berło”. Skąd oni to wytrzasnęli, z choinki?

Nie chodziło o żadną elitę. Duma, owszem. Niezachwiana pewność siebie, proszę bardzo. Któż nie marzy o czymś takim dla swojego syna? Zgadza się, James pochodził z uprzywilejowanej, inteligentnej rodziny. Matthew i Michelle, oboje pracujący w college'u, narzucili w domu określony styl. Telewizor? Zapomnij! James w dzieciństwie dosłownie połykał książki. Jego matka powie co innego, że musiała go zmuszać do czytania, ale prawda jest taka, że kiedy książka go wciągnęła, nie sposób było go od niej oderwać. Z odrabianiem lekcji faktycznie był problem, Michelle miała do niego anielską cierpliwość. James nie potrafił się zorganizować i Matthew teraz żałował, że nie kazali go zdiagnozować. Bardzo możliwe, że chłopak od dzieciństwa cierpiał po prostu na jakieś drobne zaburzenia.

James mnóstwo zawdzięczał matce, ale Matthew widział, że syn za wszelką cenę dąży do samodzielności.

Mówili, że był prowodyrem. Przedstawiono go w takim świetle, ponieważ był najstarszy. Ale zdaniem Matthew, to nie tak. Matthew nie widział nagrania. Nie wypada naruszać tak osobistej sfery.

Ci chłopcy... po prostu rozpierała ich energia. A jeśli dodać do niej rozbuchane hormony, kusicielkę i alkohol, kłopoty gotowe. Takiej mieszance nie oparłby się żaden siedemnastolatek. Dziewiętnastolatek też nie.

Sienna

Płaci pani za wywiady? Spoko, tak tylko pytam. Musiałam spytać, rozumie pani, mam w końcu te, no, wydatki. Niewielkiego, ale rodzice nie pozwolili mi pracować w wakacje, tylko wysłali mnie na obóz artystyczny. Po prostu bajer, długo by opowiadać, w każdym razie nie mam, jak to się mówi, kasy na takie tam, duperele. Ale luzik. Rozumiem. W końcu pani też się jeszcze uczy, nie? Ciekawi mnie, skąd pani wzięła moje dane, przecież w prasie ich nie podawali. No tak, ale wystarczy wziąć egzemplarz szkolnego rocznika i sprawdzić, kto odszedł, każdy głupi by się połapał. Ale proszę napisać „Sienna”, dobrze? W pracach akademickich też obowiązuje zasada ochrony ofiar przestępstw, nie?

Taa, myślę o Robie, J. Kropce i Silasie. Próbuję tego nie robić, w końcu mam prawo. Było, minęło, muszę dalej żyć. Chyba musimy już iść, za dziesięć minut zaczynam lekcje. Żałuję, że Silas znalazł się wśród nich i w ogóle brał w tym udział, ale tak się stało. Pewnie nie wiedział, co się dzieje, tak samo jak ja. Pomyślałam sobie, że chyba pokłócił się z Noelle i trochę mu odbiło. Może z nim zerwała i był wkurzony, w sumie nigdy się nie dowiedziałam. Dlatego trochę mi głupio, chociaż wcale go to nie usprawiedliwia. Ale muszę przyznać, że to nie był Silas. Znaczy się, to był on, jego ciało, ale on sam odleciał gdzieś daleko i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby następnego dnia rano niczego nie pamiętał. Też miałam takie zaćmienia, wiem, jak to jest. Człowiek pamięta jakieś strzępki, ale nie potrafi ich złożyć do kupy, rozumie pani? Gdyby nie ta taśma... no cóż.

Zagęszczała pani sobie włosy? Takie są mocne i grube. To straszne wścibstwo, wiem. Ale wszystkie laski sobie teraz przedłużają, ja też o tym myślę. Może uda mi się namówić matkę. Napiłabym się wody. Tak, mineralnej. Jeszcze dziś wraca pani do Vermontu? Przyleciała pani specjalnie na naszą rozmowę? Przecież mogłabym odpowiedzieć mejlem. Nie-samowite, że dostała pani na to kasę z uniwerku. To muszą być naprawdę ważne badania. Albo Uniwersytet Vermontu ma za dużo kasy. Nie będę składać tam podania. Moja noga już nigdy nie postanie w Vermoncie, a poza tym, bez urazy, ale imprezy mają tam ponoć kijowe.

Noelle

W niedzielę dzwonię do Silasa. Jego mama mówi, że źle się czuje i nie może podejść do telefonu. Wrócił późno, bardzo pijany, czy coś o tym wiem? W jej głosie nie słychać nagany, co trochę zbija mnie z tropu. Czy nie powinna być wściekła, że wrócił w takim stanie? Ale nie, wydaje się prawie smutna; szkoda, że się lepiej nie znamy, zapytałabym, co się stało.

Wymiotował, dodaje. To dobrze - myślę sobie.

W poniedziałek Silas nie przychodzi do szkoły. Składam to na karb kaca giganta i wyrozumiałej matki.

W poniedziałkowy wieczór idę korytarzem i mijam otwarte drzwi. Trzy koleżanki skupiły się przy komputerze. Jedna stoi nad pozostałymi i zasłania ręką usta, jakby powstrzymywała się od krzyku. Druga siedzi tuż przed monitorem, a trzecia kuca obok niej. Na mój widok ta ostatnia trąca siedzącą i monitor gaśnie w jednej chwili. Jestem prawie pewna, że to jakieś amatorskie nagranie.

Kucająca dziewczyna patrzy na mnie, po czym z przesadną powolnością podnosi się z podłogi i przeciąga. Ziewa szeroko. Ma na imię Krystal.

- Co jest? - pytam.

Krystal nie odpowiada, jakby przeciąganie odebrało jej słuch. Przeciąga się i przeciąga. Dziewczyna na krześle odwraca się w moją stronę. Wracam z sali ćwiczeń, niosę skrzypce.

Mam na sobie flanelowe spodnie od pizamy i wełnianą czapkę na głowie.

- Hej, Noelle - mówi siedząca. Dziewczyna, która stoi, odrywa rękę od ust i chowa ją do kieszeni, ale na mnie nie patrzy. Nikt nie odpowiada na moje pytanie.

Zapada cisza, podczas której usiłuję sformułować kolejne.

- Oglądacie film?

- Jakież głupoty w Internecie - odpowiada zbyt szybko Krystal. - Ćwiczyłaś?

Nagle robi mi się gorąco pod kurtką. Ściągam wełnianą czapkę.

- Tak - mówię.

We wtorek widzę Silasa na dziedzińcu, ale nawet mnie nie zauważa. Pięć razy nagrywam mu się na komórkę, piszę dwa SMS-y. Jest w szkole, ale chyba nie przychodzi na lekcje, bo Cynthia i Molly mówią, że go nie widziały. Ciekawe, czy wybiera się na trening, przecież zawieszono go na cztery mecze. Trener musi być wściekły, nie ma drugiego takiego gracza jak Silas, nikt nie rzuca lepiej za trzy punkty.

W środę rano słyszę, że Silas jest w sali gimnastycznej. Opuszczam zajęcia o ósmej i idę. Zatrzymuję go, kiedy wychodzi z szatni dla chłopców.

- Musimy porozmawiać - mówię.

Jest bładny jak ściana, a wokół oczu ma czerwone obwódki. Bije od niego dziwny zapach, pewnie przepoczonej koszulki.

- Nie mogę - odpowiada.

- Teraz - mówię.

- Spieszę się na lekcje. Już jestem spóźniony.

Nie daję za wygraną. Patrzę mu prosto w oczy.

Rusza korytarzem. Idę za nim, w stronę schodów, których prawie nikt nie używa.

- Co się dzieje? - pytam.

Oczy Silasa wypełniają się łzami. Nigdy nie widziałam, jak płacze, to naprawdę przerażające. Odwraca głowę.

Już wiem, że to koniec.

On również to wie, dlatego płacze.

Otoczam rękami brzuch. Chcę usiąść, ale boję się ruszyć. Wszystko, każda część mojej istoty błaga, żeby to nie była prawda. Może Silas idiotycznie trzęsie się o swoją karierę sportową. Może umarła bliska mu osoba. Aż trudno uwierzyć, że nachodzą mnie podobne myśli, ale tak jest.

Silas chwyta balustradę i pochyla głowę. Wyciera w rękaw oczy i nos. Nadal stoi do mnie plecami.

- Między nami koniec? - pytam, błagając w duchu, żeby zaprzeczył, powiedział, że to nie tak. Wtedy ja go obejmę i wszystko będzie dobrze. Ale nie. Silas nie rusza się z miejsca.

- Silas? - ponaglęm.

Podnosi głowę i patrzy na sufit.

Otwierają się drzwi na górze i po chwili mija nas nauczyciel. To chyba trener squasha.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Kiwam głową, żeby go spławić.

Pewnie myśli, że to kłótnia zakochanych. Ale to coś poważniejszego. Znacznie poważniejszego.

- Musi być - mówi Silas, kiedy nauczyciel znika nam z oczu.

- Co? - pytam. Dalej stoi do mnie plecami.

- Koniec.

- Koniec? - powtarzam jak echo.

Nie odpowiada.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? - Głos więźnie mi w gardle.

Silas wciąż milczy.

- Popatrz na mnie, Silas.

Odwraca się, ale nie musi nic mówić. Wszystko ma wypisane na twarzy.

- Zrobiłam coś nie tak? - pytam, cała rozdygotana.

- Nie - mówi. - To ja zrobiłem.

- Co? - pytam.

Cóż mógł takiego zrobić, że między nami koniec? Myślę o blondynce z dyskoteki.

- Poznałeś kogoś?

Tłucze pięścią w udo. Raz za razem. Wyciągam rękę, żeby go powstrzymać, ale mnie odtrąca.

Zgrzyta zębami. Jego twarz zamienia się w kamienną maskę. Chce coś powiedzieć, ale zaciska usta.

- Nigdy mi... - zaczyna.

- Nigdy co? - pytam. Czuję tylko wszechogarniającą panikę, nic więcej.

Przeciera rękami twarz. Odwraca się i biegnie na górę, po dwa stopnie naraz. Otwieram usta, ale jego już nie ma.

Gary

W środę, 25 stycznia, raz jeszcze poszedłem do domu Quinneyów porozmawiać z Anną i Owenem na temat możliwego miejsca pobytu ich syna. Jednocześnie dałem do zrozumienia, że sprawa jest bardzo pilna.

Pomimo zdenerwowania pani Quinney próbowała mi pomóc. Chłopiec nie odbierał telefonu. Jego samochodu nie było na podjeździe. Owen Quinney wsiadł ze mną do wozu patrolowego; pośpiesznie objechaliśmy miasto i dotarliśmy na teren szkoły. Samochód Silasa stał na parkingu w pobliżu hali gimnastycznej. Zaczął prószyć śnieg. Padał z przerwami od paru dni. Owen nie miał kluczyków, ale zdołałem dostać się do samochodu. W środku znaleźliśmy kilka sztuk odzieży, w tym koszulkę i spodenki do koszykówki. Znaleźliśmy również telefon.

Pan Quinney zaproponował, żebyśmy odszukali Noelle, dziewczynę Silasa, osobę, jego zdaniem, Silasowi najbliższą. Być może ona wie, gdzie go znaleźć. Owen Quinney został w samochodzie, a ja udałem się do Foster Hall, gdzie mieszkała Noelle. Skierowano mnie do jej pokoju, gdzie zastałem ją bardzo poruszoną. Obecna w pokoju koleżanka próbowała ją uspokoić. Noelle powiedziała, że ostatnio widziała Silasa około ósmej rano, opuścił halę gimnastyczną bocznym wejściem

od strony parkingu. Dodała, że miał na sobie strój do gry. Kiedy zapytałem o powód jej zdenerwowania, koleżanka wyjaśniła, że Silas zerwał rano z Noelle. Poprosiłem Noelle, że jeśli otrzyma jakąkolwiek wiadomość od Silasa bądź na jego temat, ma się niezwłocznie ze mną skontaktować.

Po powrocie do samochodu powtórzyłem wszystko panu Quinneyowi, który zastanawiał się gorączkowo nad miejscem pobytu syna. Zadzwoniliśmy pod kilka numerów z komórki chłopca i jeden z kolegów z drużyny potwierdził informacje, które uzyskaliśmy od Noelle: Silas był rano w hali gimnastycznej. Wszystko wskazywało na to, że od tamtej pory nikt go nie widział.

Pan Quinney i ja wróciliśmy do domu. Anna Quinney здаwała sobie sprawę, że z chwilą pojawienia się w domu Silas zostanie aresztowany, ale nie mogła się doczekać jego powrotu. Śnieg spowijał ziemię coraz grubszą warstwą i wiedzieliśmy, że nocą ściśnie mróz. Pani Quinney martwiła się, że Silas będzie chciał wrócić do domu na piechotę. Kiedy wychodziłem, gospodarze zapewnili, że gdy tylko syn się odezwie, natychmiast dadzą mi znać.

Zrobiłem parę rundek po mieście, zaglądając do okolicznych sklepów i rozpytując o Silasa. Pojechałem do Akademii Avery i poprosiłem ochronę o dokładne przeszukanie terenu szkoły. Następnie wróciłem na komisariat, gdzie w areszcie wciąż znajdowali się Rob Leicht i James Robles. Około wpół do dziewiątej wieczorem pani Ellen Leicht wpłaciła kaucję i syn został przekazany pod jej opiekę. James także został wypuszczony do czasu dalszego rozpatrzenia sprawy. Matthew Robles bardzo się zdenerwował, że syn podpisał zeznanie bez konsultacji z prawnikiem.

Przed powrotem do domu otrzymałem wiadomość ze szkoły, że poszukiwania Silasa Quinneya nie dary żadnych rezultatów.

Około trzeciej nad ranem w czwartek, 26 stycznia, Anna Quinney zadzwoniła do mnie w stanie lekkiej hysterii z informacją, że Silas wciąż nie daje znaku życia. Przeglądając jego rzeczy, zauważyła, że poprzedniego dnia wzięła do szkoły kurtkę, ale zapomniała rękawiczek. Zapewniłem ją, że o świcie rozpoczniemy poszukiwania.

O godzinie szóstej trzydzięci udało mi się zebrać grupę dziesięciorga mężczyzn i kobiet, którzy zgłosili chęć udziału w poszukiwaniach Silasa Quinneya. Ponieważ Silas zostawił samochód na parkingu przy akademii, zaczęliśmy od terenów bezpośrednio sąsiadujących ze szkołą, a potem dalej na wschód. W nocy napadało dziesięć centymetrów śniegu i wszystko wskazywało na to, że znów będzie sypać aż do wieczora.

Do godziny piętnastej nie natrafiliśmy na żaden ślad. Otrzymałem telefon od Owena Quinneya, który twierdził, że jego zdaniem powinniśmy przeszukać okolice farmy, w razie gdyby Silas znajdował się gdzieś w pobliżu. Wraz z czterema ochotnikami udałem się na farmę. Anna uparła się, żeby nam towarzyszyć, lecz Owen przekonywał, że powinna zostać, na wypadek gdyby Silas się odezwał. Mniej więcej w tym samym czasie Owen zapytał mnie na boku, czy dopuszczam możliwość morderstwa. Odpowiedziałem, że to wysoce nieprawdopodobne.

Z powodu dwudziestopięciocentymetrowej warstwy śniegu założyliśmy rakiety śnieżne i rozproszyliśmy się po okolicy, wypatrując chłopca. Po upływie około pół godziny jeden z psów Quinneyów z głośnym szczekaniem pognał na wzgórze oddalone o jakieś osiemset metrów od domu. Owen i ja ruszyliśmy jego śladem.

Owen

Owen dobrze znał tę ścieżkę. Często chodzili tamtędy z Silasem, kiedy ten był małym chłopcem, z karabinem z gałęzi, a potem z prawdziwym sztucerem, kiedy Owen nauczył go strzelać. Owen uważał, że jedynym powodem, aby udać się w tamtą stronę jest spacer z psem. Nie bardzo wiedział, po co Silas miałby tam pójść. Owszem, pies rozszczękał się na całego, ale może coś mu się przypomniało. Owen niecierpliwił się na myśl, że być może tracą z Garym cenny czas na badanie fałszywego tropu.

Po cóż Silas, któremu przecież nie brakowało oleju w głowie, miałby się tu pchać podczas śnieżycy? Owen rozumiał synowską potrzebę ucieczki, ale czy nie lepiej byłoby po prostu wsiąść do samochodu? Gary powiedział Owenowi i Annie, że Silas zostanie aresztowany za przestępstwo seksualne. Słyszając to, Owen dosłownie zaniemówił i od razu pomyślał, że Silas dopuścił się tego wstrętnego czynu z powodu postępków matki. Zastanawiał się, czy Anna podziela jego zdanie. Zerknął w stronę żony i widok jej twarzy wystarczył mu za całą odpowiedź.

Podczas wspinaczki na wzgórze zapewniał Gary'ego, że Silas wie, jak przetrwać zamieć. Przypomniał Gary'emu o harcerskich wyprawach syna i Gary bez słowa pokiwał głową. Któż mógł wiedzieć, co sobie myślał? Wielokrotnie opisywał straszne sceny, które mu przyszło oglądać, i Owen nie był pewien, czy nie wyobraża sobie właśnie jednej z nich.

Pies zawrócił i popędził z powrotem na dół, pozostawiając obu mężczyzn na wysokości jakichś czterystu metrów. Co też mu

strzeliło do łba? Stracił trop czy jak? A może goni wiewiórkę? Owen ukląkł i delikatnie strzepał wierzchnią warstwę śniegu. Wyczuł coś pod palcami i zawołał Gary'ego. Zdjął rękawiczki. Dostrzegł niewyraźny zarys buta odcisniętego podczas przedostatniej, może wczorajszej zamieci. Gary potwierdził jego przypuszczenia. I Owen dokładnie wiedział, co tamten ma na myśli, kiedy zapytał, czy Owen nie woli aby zaczekać w domu. Owen odpowiedział, że nie. Po prostu. Nie i już.

Owen szacował, że do zmroku mają jeszcze około godziny. Gary powiedział, że rozejrzą się przez pół godziny, a potem zawrócą. Owen udał, że się zgadza. Nie miał zamiaru iść do domu, dopóki nie znajdzie syna.

W miarę jak podchodzili coraz wyżej, jego determinacja przybierała na sile. Wiedział, że zeszłej nocy temperatura spadła do ośmiu stopni poniżej zera. Żaden z nich nie wspominał o tym głośno, ale Owen czuł, że Gary myśli o tym samym. Silas mógł wprawdzie przetrwać noc w jakimś zacisznym miejscu, lecz świadomość, że nie wrócił do domu, nasuwała Owenowi obawę, że chłopcu coś się stało. Może jest ranny. Albo pomieszało mu się w głowie.

Owen stracił rachubę czasu. Nie pamiętał, czy minęło pół godziny, które sobie wyznaczili.

Od razu zrozumiał, że pomarańczowy skrawek wśród podszycia to kurtka Silasa. Ruszył biegiem, z żarliwą nadzieją, że syn po prostu zostawił kurtkę w lesie i sobie poszedł. Albo że tam jest, tylko śpi. Nawet jeśli sobie coś odmroził, Owen i Gary zaraz go rozgrzeją. Bardzo mu się nie spodobało, że widać tylko fragment kurtki, ale podchodząc bliżej, nabrał pewności, że zastanie w niej Silasa żywego. Myśli krążyły mu po głowie jak szalone. W ostatniej chwili rzucił się do przodu, jakby dzięki temu miał szybciej dotrzeć do syna.

Odgarnął śnieg z twarzy Silasa i jego zeszywniałej kurtki. Często widywał w lesie zamrożone stworzenia - ptaki, lisy, wiewiórki - ale ich drętwota niezmiennie przyprawiała go o wstrząs. Wykrzyknął imię Silasa i przycisnął syna do pier-

si, żeby go ogrzać. Kołysał się w przód i w tył. Kiedy Gary podszedł bliżej, Owen całował chłopca po twarzy i szlochał. Gary, z krótkofalówką w dłoni, kucnął obok.

Syn Owena. Jego jedyne dziecko, odeszło. Jeszcze wczoraj rano żył i jadł śniadanie przy kuchennym stole. Gdyby Owenowi przyszło do głowy poszukać śladów zaraz po pierwszej wizycie Gary'ego, pewnie znalazłby Silasa i sprowadził na dół.

- Dlaczego? - Krzyk poniósł się echem wśród drzew.

Kiedy nieśli go razem, zdawał się ważyć tonę. Owen stracił czucie w nogach. Zupełnie jakby posuwali się w zwolnionym tempie. Nawet każde potknięcie wyglądało na dziwne i nierealne. To się nie dzieje naprawdę, powtarzała w myślach Owen. Bez przerwy, raz za razem. To się nie dzieje naprawdę.

Zeszli ścieżką, niosąc Silasa. Owen powędrował wzrokiem w stronę kuchennego okna, za którym zobaczył Annę. Przyciskała ręce do ust, bezskutecznie tłumiąc krzyk. Owen trzymał syna, więc nie mógł do niej podejść. Lecz gdy znaleźli się u stóp wzgórza, ona wypadła z domu w samych rajstopach, z rozrzuconymi ramionami, i brnąc w śniegu, pobiegła w ich stronę. Owen wolałby sam paść martwy niż zobaczyć twarz Anny w chwili, kiedy spojrzała na syna.

Wnieśli Silasa do domu i położyli go na stole w jadalni, a Anna próbowała mu zrobić sztuczne oddychanie. Wierzyła, że to coś da, ale wszyscy zebrani wiedzieli, że Silas nie żyje od dłuższego czasu i nikt, nawet matka, nie wskrzesi go z powrotem.

Owen myślał, że Anna osunie się na podłogę i już tak zostanie, ale ona zrobiła coś, co na zawsze miało zapaść mu w pamięć. Pocałowała Silasa, a następnie rozpięła mu kurtkę, żeby mu było wygodniej w dusznej jadalni. Owen stał tuż obok, wyjąc w duchu, za nią, za Silasa i za siebie, a wtedy ich oczom ukazał się schowany pod kurtką plik kartek, zapisanych podczas pobytu Silasa na wzgórzu. Owen najpierw pomyślał, że to może listy Silasa do matki, i zapragnął, żeby tak właśnie było, chociaż miał wszelkie powody, żeby nienawidzić Anny

z całego serca. Wiedział jednak, że listy mogłyby przynieść jej potem jakąś pociechę. Ale były to listy do Noelle. Nie tyle listy, ile po prostu luźne zapiski. Potem Owen rzucił okiem na jeden z nich, ale zaraz musiał go odłożyć. Nie były skierowane do niego, Silas na pewno by sobie tego nie życzył.

Przyjechali jacyś ludzie i zabrali Silasa do domu pogrzebowego. Powiedzieli, że trzeba zrobić sekcję, ponieważ chłopiec nie zmarł z przyczyn naturalnych, chociaż wszyscy wiedzieli, że przecież zamarł na śmierć. Owen czuł, że Silas mógł zejść z tego wzgórze, choćby po ciemku; znał syna na wylot i wiedział, że był do tego zdolny. Owen domyślił się, że coś w Silasie wzbraniało się przed powrotem do domu, do swego życia. To bolało Owena najbardziej, i pewnie nigdy nie przestanie, ponieważ oboje z Anną na pewno by mu wybaczyli, przytulili go i kochali, choćby nie wiem co. Przyszło mu do głowy, że może człowiek dowiaduje się tego, dopiero jak utraci coś, co kochał najbardziej na świecie. Postępek Silasa był niczym w porównaniu z miłością, jaką daliby mu Owen i Anna. Owen wiedział, że Silas skrzywdził tamtą dziewczynę i z pewnością przyszłoby mu za to zapłacić, ale Owen i Anna kochaliby go mimo to i zrobiliby wszystko, żeby na powrót tchnąć w niego życie. Przecież był ich synem.

Ale Anna... dla Anny nie było ratunku. Nie chciała nawet wychodzić z domu, w obawie że zobaczy jakiegoś chłopca. Chciała pojechać do Kanady, ale Owen nie mógł sobie na to pozwolić. Nigdy nie włączała telewizora. Nie odbierała telefonu. Owen musiał powiedzieć gazeciarzowi, żeby omijał ich dom. Nie był pewien, co jego żona robi przez cały dzień. Czasem płakała.

Silas umarł pełen nienawiści do matki. Anna dobrze o tym wiedziała. I nic nie mogła na to poradzić.

Anna

Zmrozić ziemię. Zabić świnie. Niech stodoła się zawali.

Zarżnąć owce. Po co kazaliśmy im rodzić jagnięta?

Gdzie jest Silas? Gdzie mój wspaniały chłopiec?

Czy kryje się w wietrze hulającym za węglem? W szkle, które brzęczy we framudze? Czy próbuje do mnie wrócić?

Dlaczego dochodzą listy? Dlaczego dzwoni telefon? Dlaczego ściany stoją niewzruszone?

Dlaczego ze mną zostałeś? Jesteś winien Silasowi, żeby mnie utrzymać przy życiu?

Kiedy ostatnio powiedzieliśmy głośno jego imię?

Sienna

To smutne, co się stało z Silasem. Nie poszłam na pogrzeb, ale była tam prawie cała szkoła, i miasto też, ale rodzice mówili, że ludzie zrobią z tego szopkę. No wie pani, nie wszyscy z miasteczka mieli mnie za ofiarę, zwłaszcza po śmierci Silasa, i mama przeżywała, że ktoś może mi dokuczać, dlatego się nie zgodzili. Ale jakoś czułam, że powinnam tam być. Czułam to rankiem w dniu pogrzebu, potem widziałam w gazecie zdjęcia trumny, ludzi wychodzących z kościoła, i w ogóle. Był katolikiem, nie? Taa, no właśnie. W każdym razie żałowałam, że mnie tam nie ma. Mogłabym się pomodlić czy coś. Nie jestem religijna, ale po prostu uczciłabym jego pamięć. W sumie on też był ofiarą, chociaż - tak jak mówiłam - brał w tym udział.

Naprawdę muszę lecieć, opuściłam już jedną lekcję, ale to nic, przepiszę notatki od współlokatorki, zresztą ta nauczycielka jest beznadziejna. W razie czego proszę do mnie zadzwonić, zamiast lecieć taki kawał. Pieniądze z biletu można by przeznaczyć na wywiad, takie ciekawe rzeczy pani opowiadam, i to na wyłączność. Luzik. Tak tylko mówię.

Noelle

Pani Górzyńska zagląda do mojego pokoju. Mówi, że mam iść do dyrektora. Idę korytarzem i ze strachu aż mnie ściska w żołądku. Wiem, że Silas zaginał, że go szukają. Od rana chodzę po kampusie, zaglądając do miejsc, w których bywaliśmy razem. Pani Górzyńska mówi, że pan Bordwin chce ze mną porozmawiać. Załóż buty i kurtkę, dodaje. Odprowadzę cię.

Pytam, o co chodzi. Odpowiada, że nic nie przeszkrobałam, dyrektor chce tylko porozmawiać o wydarzeniach ostatnich dni. Wiem, że kłamie. Idziemy ramię w ramię; pani Górzyńska na siłę podtrzymuje rozmowę, wypytując o szkołę, moje plany na przyszły rok i koncerty. Gada jak nakręcona, wreszcie dochodzimy do budynku administracji, w którym chyba nigdy nie byłam, i stajemy na progu gabinetu dyrektora. Pan Bordwin wstaje. Próbuje się uśmiechnąć, dodać mi otuchy, chociaż wie, że to, co ma do powiedzenia, wcale mi otuchy nie przyniesie. Pani Górzyńska na odchodne ściska moją rękę i chyba zaczynam wszystko rozumieć.

- Usiądź - prosi pan Bordwin. Siadam.
- Wiesz, że Silas zaginał - mówi.
Łzy napływają mi do oczu.
- O Boże - mówię cicho.

- Niestety muszę cię poinformować, że znaleziono go godzinę temu. Był... - Pan Bordwin bierze głęboki oddech.
- Silas nie żyje.

- Nieceeee. - Zaczynam płakać.

To niemożliwe - myślę. Niemożliwe. Niemożliwe.

- Wszedł po ścieżce na wzgórze za domem. Najprawdopodobniej po ciemku nie mógł odnaleźć drogi. Spędził noc w lesie i zamarzył na śmierć - dodaje pan Bordwin.

Moim ciałem wstrząsa gwałtowny dreszcz. Odwracam się i wymiotuję na podłogę. Pan Bordwin woła panią Górzyńską, która przybiega z chusteczkami w jednej i papierowym ręcznikiem w drugiej ręce. Zatraskuje za sobą drzwi, żeby nikt nie widział.

Nie mogę złapać tchu. Myślę sobie, że pewnie ja też umrę.

To niemożliwe. Niemożliwe.

Pan Bordwin mocno ujmuje mnie za barki. Pochylam głowę i szlocham. Trzęsę się cała, pan Bordwin próbuje mnie przytrzymać.

- Tak mi przykro - mówi.

•••

Podaje mi zwitek chusteczek. Wycieram usta i nos.

- Wolałem ci powiedzieć, zanim wszyscy się dowiedzą - dodaje, siadając z wahaniem na swoim fotelu. - Nie chciałem, żebyś dowiedziała się od kogoś z internatu. Albo z telewizji.

Oplatam głowę rękami. Chcę, żeby świat stanął w miejscu i zawrócił. Pozwolił mi cofnąć się do chwili, kiedy Silas wchodził wczoraj na ścieżkę. Żeby mogła go odnaleźć i sprowadzić z powrotem. Albo pójść za nim i zasnąć w jego ramionach.

- Gdzie on jest? - pytam.

Pan Bordwin podaje nazwę domu pogrzebowego. Mówi, że trzeba przeprowadzić sekcję.

Otwieram szeroko usta. Myśl, że będą go kroić jest po prostu potworna.

- Oczywiście nie musisz znać szczegółów - dodaje pośpiesznie.

- Po co ta sekcja? - pytam.

- Żeby ustalić przyczynę zgonu.

- Przecież pan mówił... - Ale te słowa nie przechodzą mi przez gardło. „Zamarzł” i „śmierć”.

- T a k im się wydaje. Ale ze względu na okoliczności... Czy mam zadzwonić do twoich rodziców? Żeby po ciebie przyjechali?

- Chcę się zobaczyć z mamą Silasa - mówię.

- Z mamą Silasa? - powtarza pan Bordwin.

Kiwam głową.

- To chyba niemożliwe... przynajmniej nie dzisiaj. Rozumiesz chyba, że przechodzi ciężkie chwile.

Wyobrażam sobie. Nie chcę sobie wyobrażać.

Przed oczami staje mi obraz Silasa, który biegnie po schodach i wypada przez drzwi. Wtedy widziałam go ostatni raz.

- O Boże. - Znowu zaczynam płakać.

- Powiadomię twoich rodziców. Możesz tu zostać, dopóki nie przyjadą. Chyba będzie najlepiej, jeśli wyjedziesz na jakiś czas. Musisz odpocząć.

- Nie - mówię kategoriycznie. - Muszę zostać, chcę być blisko Silasa. Nie musi pan dzwonić do moich rodziców. Nic mi nie jest.

Pan Bordwin patrzy z powątpiewaniem.

- Dlaczego Silas poszedł na wzgórze? - pytam.

- Tego nie wiemy - odpowiada pan Bordwin, ale po raz pierwszy unika mojego wzroku. - Możemy tylko przypuszczać. Ostatnie dni były dla niego bardzo trudne.

- Miał kłopoty? - pytam.

- Tak, miał kłopoty - mówi pan Bordwin.

- Co takiego zrobił?

- Nie czas i miejsce, żebym ci opowiadał - mówi pan Bordwin. Na jego twarzy widzę determinację i coś jeszcze. Zdumienie. Może strach. Jest zdziwiony, że nie wiem o Silasie i nagraniu. Bo rzeczywiście nie wiem. Jeszcze nie. Przyjdzie na to kolej później, kiedy wrócę do internatu i moja współlokatorka zamknie drzwi, a następnie położy się obok i trzyma-

jąc mnie mocno za rękę, opowie ściszym głosem o Silasie, dziewczynie i nagraniu, i będziemy tak siedzieć godzinami, podczas których odkryję, że można się gniewać na kogoś, kto nie żyje. I można się za to nienawidzić. Można wierzyć, że człowiek umrze z żalu, że oddech uwięźnie mu w gardle i ustanie. Można wierzyć, że gdyby wiedział, mógłby z łatwością wszystkiemu zapobiec. Zastanawiać się, jakim cudem Silas, tak czuły i kochający, mógł posunąć się do czegoś takiego, odejść bez jednego słowa i spojrzenia. I zrozumieć, pomimo młodego wieku, że już nic nie będzie takie jak przedtem. Nigdy. Choćby nie wiem co.

Nie chcę, żeby rodzice przyjechali do szkoły. Nie chcę, żeby dowiedzieli się o postępkach Silasa, ponieważ nigdy nie rozumiem, jaki był dobry i jak bardzo go kochałam.

Z uwagi na obecność dziennikarzy nie ma czuwania. Ale rodzina Quinneyów to katolicy, pogrzeb musi się odbyć. Jeśli masz legitymację Akademii Avery, zostajesz wpuszczony na mszę. Towarzyszy mi współlokatorka, a gdy idziemy po schodach katolickiego kościoła, w którym nigdy nie byłam, mocno trzyma mnie za rękę. Zewsząd otaczają nas reporterzy z gazet i telewizji, robią zdjęcia, próbują zwrócić naszą uwagę. Kiedy wchodzimy do środka, widzę trumnę ustawioną tuż przed ołtarzem. Jest zamknięta. Nie widzę mamy Silasa, ale gdzieś z przednich ławek dochodzi jej płacz. Współlokatorka i ja siadamy w środkowej ławce; upieram się, aby zająć miejsce tuż przy przejściu. Chcę być blisko Silasa, kiedy go będą wynosić.

Mszy nie pamiętam. Nie pamiętam, co mówi ksiądz. Jego słowa zdają mi się takie błaha. Później przeczytam o tym

wzmiankę w gazecie. Nie wspomina o skandalu. Opisuje Silasa takim, jakiego chcieliby zapamiętać rodzice.

Wreszcie podnoszą trumnę i wiem, że mam ostatnią szansę, by znaleźć się blisko Silasa. Idą po wydeptanym chodniku. Kiedy przechodzą obok, wyciągam rękę i dotykam trumny.

Następnie wychodzę z ławki i ruszam za nimi. Za mną podąża ojciec Silasa. Razem opuszczamy kościół, Silas prowadzi.

U stóp schodów pan Quinney podaje mi plik kartek, które trzymał pod kurtką. Tłumaczy, że robi to teraz, gdyż już pewnie nigdy się nie spotkamy. Kartki są złożone na cztery i mają wystrzępione brzegi, jakby wydarto je z zeszytu. Pan Quinney nie należy do ludzi, których się obejmuje, więc tego nie robię.

Często myślę o tym, czy ktoś może pozostać przy życiu za sprawą naszych myśli i fantazji. Wspomnienia to wszystko, co mam. Wspominam drzwi, które przekroczyliśmy razem. Te drzwi, następne i jeszcze jedno. Powracam do nich, przerzucając kartki pamiętnika. W ten sposób Silas i ja możemy przekraczać je w nieskończoność.

Colm

W ciągu kolejnych dni po śmierci Silasa Quinneya punkt ciężkości afery przeniósł się niepostrzeżenie z winy poszczególnych chłopców na karygodną politykę Akademii Avery. Gromy spadły na całą administrację szkoły, a zwłaszcza na głowę Michaela Bordwina, który wymusił pisemne zeznania na dwóch uczniach pod nieobecność ich rodziców.

Jeżeli chodzi o wspomnianych uczniów, Robert Leicht i James Robles stanęli przed sądem okręgowym w Avery pod zarzutem przestępstwa na tle seksualnym. W razie skazania byłiby notowani i groziłoby im trzy lata odsiadki. Jednak rodzice i obrona uznali roztropnie, że najlepszym rozwiązaniem będzie przyznanie się do czynów lubieżnych. Sędzia Wycliff wyznaczył im kuratorów i skazał na dwieście godzin prac społecznych oraz dwa lata w zawieszeniu. Nie będą notowani jako przestępcy seksualni.

Pomimo niechęci do Roblesa jako do człowieka muszę przyznać, że jego zarzuty skierowane przeciwko akademii są oparte na mocnych podstawach. Mądrym posunięciem ze strony szkoły byłoby pójść na ugodę, zanim sprawa trafi do sądu. Ciekawym argumentem, nienależącym do sprawy karnej, acz będącym nieodłącznym aspektem sprawy cywilnej było przekonanie Roblesa, iż w ogóle nie powinien być sądzony, ponieważ tak naprawdę nawet nie dotknął dziewczyny. Twierdzi, że wprawdzie przebywał w tym samym pokoju, ale po prostu „robił swoje”. Cóż, z nagrania wynika, że jakaś część Jamesa Roblesa miała kontakt z osobą głównej bohaterki

dramatu. W zależności od punktu widzenia film oczyszcza Jamesa Roblesa z zarzutów bądź wręcz przeciwnie. Osobiście jestem zdania, iż ten konkretny aspekt sprawy wydaje mi się cokolwiek śliski, choć muszę przyznać, że chętnie posłuchałbym w sądzie jego adwokata.

Ellen

Dochodzi piąta trzydzieści rano, patrzysz na kuchnię. Jest znacznie mniejsza od poprzedniej i dlatego wydaje się bardziej zagracona, choć może faktycznie przestałaś przywiązywać wagę do porządku. Porzuciłaś zwyczaj wieczornego zmywania naczyń, gdyż po długim i ciężkim dniu szorowanie garów wydaje ci się ponad siły. Czasem robi to za ciebie Rob, który zawsze chodzi spać znacznie później niż ty, wtedy czeka cię rano miła niespodzianka. Widok drobiazgów rozrzuconych na szafce i stole podpowiada ci zwykle, co robił ubiegłego wieczora. Na przykład pusta puszka po coli obok zgniecionej torebki prażonej kukurydzy i wczorajszej gazety otwartej na programie telewizyjnym. Albo światło pozostawione w dużym pokoju i otwarta książka na krześle. Pracuje na pół etatu w bibliotece po drugiej stronie ulicy i trzy, cztery razy w tygodniu przychodzi z naręczem książek do czytania w wolnym czasie, którego mu nie brakuje.

Funkcjonujecie tak, jakbyście żyli w dwóch różnych strefach czasowych. Kiedy ty wychodzisz do pracy, on jeszcze leży w łóżku i zostaje w nim do południa. Jeśli tego dnia pracuje, zaczyna o pierwszej i wraca do domu przed ósmą. Zostawiasz mu kolację w lodówce albo w piekarniku, czasami jecie razem przed telewizorem lub w kuchni. Zadajesz mu pytania, a on odpowiada najlepiej jak potrafi, chociaż zawsze wyczuwasz jego zniecierpliwienie. Czasem ciekawość bądź zwykła frustracja bierze górę i pytasz, czy poznał kogoś w bibliotece, czy zamierza wrócić do szkoły albo jakie ma plany na weekend.

Nikogo nie spotyka, nie podjął decyzji co do szkoły ani nie wybiega myślami na tyle daleko, by sprecyzować swoje plany na sobotę. Odpowiada uprzejmie, nie zbywa cię arogancką odzywką. Wydorosłał, ten etap ma już za sobą i wie, że skoro macie mieszkać razem, obowiązuje swoiste zawieszenie broni. Około dziewiątej bądź wpół do dziesiątej kładziesz się do łóżka, czytasz przez następne pół godziny, a potem zaspasz. Dla Roba jego dzień, jego prawdziwy dzień, dopiero się rozpoczyna. Czasami słyszysz, jak odjeżdża, zabierając wasz wspólny samochód, i zastanawiasz się nad celem jego podróży. Nie wiesz nic o jego kolegach. Twierdzi, że wraca do domu około wpół do piątej nad ranem, godzinę przed tym, nim zaczniesz dzień.

W zlewie stoją kubki po kawie, talerze i miski po płatkach zbożowych. Na żółtej gąbce widnieje coś czarnego, trzeba to zbadać. Na parapecie stoi wazon z kwiatami z niewielkiego ogródka przy waszym budynku. Parę dni temu, w weekend, zerwałaś je starannie i ułożyłaś w niskim, kwadratowym wazonie z żabką na dnie. Bardzo ładnie ci wyszło. Taka radosna, bezpretensjonalna kompozycja. Ale woda zbrązowiła i kwiaty trzeba wyrzucić; zaraz to zrobisz, tylko dopijesz drugą filiżankę kawy. Na stole leży sterta wczorajszej i przedwczorajszej poczty, parę czasopism z wydartymi kuponami oraz dwa opakowania po dietetycznych batonikach. Na krzesłach i stole zadomowiły się gazety z trzech ostatnich dni. Jedna leży na kuchence. Zaraz ją zdejmiesz.

Arthur zostawił cię wkrótce po tym, jak Rob został wyrzucony z Avery. Była, a zarazem nie była to dla ciebie niespodzianka. Wiedziałaś, a raczej czułaś, że to nastąpi. Zdziwił cię tylko jego pośpiech. Zupełnie jakby obarczał cię winą za cały skandal. Wiedziałaś, że nie będą zdolni przebywać ze sobą pod jednym dachem, ale nie miałaś pojęcia, że Arthur może odczuwać to samo względem twojej osoby. Dom został sprzedany w trakcie rozwodu, a ty znalazłaś mieszkanie w mieście niedaleko Bostonu, gdzie większość ludzi nie kojarzyła ciebie i Roba z wydarzeniami w Avery sprzed dwóch lat. Pracu-

jesz w sklepie obuwniczym w Macy's. Pomijając jarzeniowe światło, praca nie jest taka zła, chociaż codzienne dojazdy środkami komunikacji miejskiej, głównie metrem, są nużące i czasochłonne. Próbujesz czytać, ale duchota i rozkołysany ruch wagonu przyprawiają cię o mdłości. Wtedy po prostu zamykasz oczy i odpoczywasz.

Arthur przeniósł się do mieszkania w południowej części Bostonu. Nigdy tam nie byłaś, ale z opowieści Roba (który z nakazu sądu bywa tam regularnie) wynika, że budynek jest dość okazały, ma ściany wyłożone klinkierem i balkon. Skoro majątek został równo podzielony, zastanawiasz się, jakim cudem Arthur mógł sobie na to pozwolić. Chodziło ci po głowie, żeby zainteresować tym swojego adwokata, ale machnęłaś ręką: Arthur co miesiąc przysyła alimenty, chociaż Rob ma już dwadzieścia lat. Jakoś sobie radzisz, co tydzień udaje ci się nawet trochę odłożyć. Wybrałaś tę miejscowość, gdyż masz blisko do sióstr, które mieszkają w sąsiednich miasteczkach i bardzo ci pomagają. Przepadały za Robem, odkąd przyszedł na świat; nadal jest ich oczkiem w głowie pomimo skandalu, który postanowiły wyprzeć ze swojej świadomości. Rob, którego widzą podczas odwiedzin - o ile go zastają - jest dla nich tym samym Robem, co zawsze, może tylko nieco mniej ambitnym. Twierdzą, że to je niepokoi. Był taki obiecujący, dodają.

Podchodzisz do lodówki, zastanawiając się, co podać na kolację. Robisz przegląd zapasów pod kątem tego, co ewentualnie dokupić. Czasem zostawiasz Robowi kartkę na stole z prośbą o zrobienie zakupów, może dziś też tak zrobisz. Czujesz się bardziej zmęczona niż zwykle, ale może to wina pory roku. Jest ciemno; kiedy wrócisz, będzie tak samo. Zamykasz lodówkę i stajesz nad stertą nagromadzonej poczty. Lepiej zająć się nią od razu, inaczej będzie wciąż rosła i wreszcie posypie się na podłogę.

Układasz koperty na trzy kupki: reklamy, rachunki i listy osobiste. Tych pierwszych zawsze jest więcej niż drugich, drugich zaś znacznie więcej niż trzecich. Listy przychodzą rzadko, ale pewnie to dotyczy wszystkich. Dochodzisz do koperty z Uni-

wersytetu Vermontu, zaadresowanej na twoje nazwisko. Jej widok zbija cię z tropu; myślisz, że może Rob złożył podanie i nie uznał za stosowne, żeby cię o tym poinformować. Pewnie proszą o wpłatę, ale to nic, to bardzo dobrze, byle tylko wrócił do szkoły, dziwne tylko, że wybrał akurat uczelnię w stanie Vermont.

Otwierasz kopertę, wyciągasz list. Jakaś kobieta prowadzi badania, chce porozmawiać z tobą o wydarzeniach ze stycznia 2006 roku. Jest taktowna, gwarantuje zachowanie dyskrecji. Chodzi o pracę nad zjawiskiem nadużywania alkoholu i zachowaniami chłopców w szkołach średnich. Podpisano: „Jacqueline Barnard”. Czytasz list dwukrotnie, żeby niczego nie przeoczyć. Następnie metodycznie drzesz go na strzępy i zanosisz do śmietnika. Nie będziesz rozmawiać o skandalu. Nie będziesz odpowiadać na żadne pytania. Zastanawiasz się, czy syn otrzymał podobny list. Przeglądasz pozostałe koperty, ale nie znajdujesz nic z jego imieniem.

Przez blisko rok po opuszczeniu Avery widok nadsyłanych pocztą broszur z przeróżnych uczelni i uniwersytetów, próbujących zachęcić Roba swoim programem, był dla ciebie istną udawką. Dzięki swoim wynikom w nauce musiał znaleźć się na liście najbardziej pożądanых kandydatów. Ciekawe, czy ktoś weryfikuje te listy. Pewnie nie, inaczej chyba nie zadawaliby sobie trudu, żeby zasypywać broszurami niedosłętego maturzystę, który przyznał się do czynów lubieżnych i od blisko dwóch lat przebywał pod nadzorem sądowym?

Jeszcze jedna rzecz nie daje ci spokoju. Kiedy kara dobiegnie końca i ustaną wizyty kuratora, Rob zostawi cię i odejdzie. Nigdy o tym nie mówi, ale i tak się zadreęczasz. W dobre dni wyobrażasz sobie, że podejmie naukę. Arthur opłaci chesne, nie masz co do tego wątpliwości. W złe dni nachodzi cię obawa, że więcej go nie zobaczysz.

Podchodzisz do okna i wyglądasz na ulicę. Samochód stoi zaparkowany w zwykłym miejscu. Myślisz o odwiecznym marzeniu, aby usiąść za kierownicą i odjechać. Ostatnio często się nad tym zastanawiasz i wiesz dokładnie, którądy biegnie droga

na północny zachód. Wyobraziłaś sobie tę podróż z najdrobniejszymi szczegółami. Napiszesz do Roba list z wyjaśnieniem, że marzyłaś o tym od lat, że to nie przez niego i że wkrótce zadzwonisz. Wyciągniesz z banku wszystkie oszczędności, spakujesz małą walizkę i umieścisz ją na tylnym siedzeniu. Ważne, żebyś zabrała ze sobą jak najmniej z obecnego życia, choć na najcenniejsze pamiątki pewnie musiałybyś przeznaczyć dodatkową walizkę. Albo kiedy indziej po nie przyjedziesz. Wyjedziesz z podjazdu, skręcisz w lewo i ruszysz bocznymi drogami, na północ stanu Nowy Jork lub do Kanady. Albo i dalej, jeśli nie będziesz miała dosyć. Dalej twoja wizja traci rozpęd. Nie wiesz, gdzie będziesz nocować ani gdzie zjesz obiad. Praca i codzienne obowiązki też stoją pod znakiem zapytania. Lecz pokusa, żeby wsiąść do samochodu i pojechać w dal, jest niezwykle silna. Czasem aż się dziwisz, że jeszcze się na to nie zdobyłaś.

Odwracasz się i znów patrzysz na kuchnię. Postanawiasz wziąć się w garść i doprowadzić ją do ładu przed wyjściem do pracy. Poranną toaletę masz opanowaną do perfekcji i wiesz, ile czasu możesz poświęcić na kuchnię, aby zdążyć na metro. Bierzesz gąbkę i odkręcasz ciepłą wodę, a następnie czekasz, aż faktycznie zrobi się ciepła. Wlepiasz wzrok w szafkę na wprost, tę z płatkami zbożowymi, solą, pieprzem i wykałaczkami, butelką oliwy i opakowaniem środków przeciwbólowych, i zastanawiasz się, jak to możliwe, że wydarzenia jednego wieczoru, bez względu na ich rzeczywistą rangę, mogą na zawsze odmienić życie tylu osób. Nie jesteś pewna co do Arthura, ale ty i Rob już nigdy nie będziecie tacy jak dawniej, nawet jeśli wszystko się ułoży i chłopak wróci do szkoły. Jedno zdarzenie może skierować życie na zgoła nieprzewidywany tor. Na przykład fascynacja drugą osobą. Albo szalona impreza. Aż dziw bierze, jak znacząco mogą przestawić kompas człowieka. To właśnie ta świadomość, tak naprawdę dotąd ci nieznana, świadomość, że wystarczy chwila nieuwagi, tak bardzo was odmieniła.

Z kranu leci wrzątek i parzy cię w palce. Nalewasz płyn na gąbkę i zaczynasz szorować.

Mike

Stał z płaszczem przewieszonym przez ramię i walizką u stóp, tocząc wzrokiem po szklanym pudle, w którym spędził ostatnie dni. Za oknami sypało; blask ulicznych latarni, światła pobliskiego kościoła i rozjarzone kwadraciki okolicznych okien otaczały miasteczko bajkową poświatą. Widok był sielski, jak przystało na wspólne dzieło człowieka i matki natury. Mógłby zostać choćby dlatego - żeby siedzieć i wyglądać przez okno, snując domysły na temat przechodniów - lecz wrócił ze spaceru z gorącym postanowieniem wyjazdu. Poszedł prosto do recepcji z prośbą o rachunek, co wzbudziło wielkie zdumienie recepcjonisty, miał przecież zostać jeszcze dziesięć dni. Ale Mike wiedział, że musi niezwłocznie opuścić miejsce, w którym miał pisać: nie napisze już nic, co miałyby jakikolwiek związek z wydarzeniami ze stycznia 2006 roku. Po powrocie do pokoju miał ochotę cisnąć rękopis do śmietnika, ale zrezygnował w obawie, że ktoś z obsługi wyjmie go i przeczyta. W końcu spakował go do walizki, gdzie ciążył mu bardziej aniżeli cała reszta bagażu.

Co miał nadzieję znaleźć w tym pokoju? List od doktorantki z Uniwersytetu Vermontu wzniecił w nim chęć napisania o skandalu. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że szukał rozgrzeszenia, spisując chronologię zdarzeń? A może po cichu pragnął powrócić do tamtych dni, rozszyfrować ich znaczenie? Jego romans z Anną przyczynił się do wielu wydarzeń, poważnych, czasem strasznych. Gdyby nie on (i gdyby Silas ich nie przyłapał; prędzej czy później ktoś wreszcie musiał), Silas nie

upiłby się w sobotni wieczór, nie rzuciłby piłką w Mike'a i nie poszedł do J. Kropki. Spędziłby go z Noelle.

Któregoś dnia oszacował rozmiar szkód. Jeden chłopiec martwy. Dwóch wyrzuconych ze szkoły. Dwie zmarnowane szanse na dobrą uczelnię. Jedna dziewczyna ze złamanym sercem. Jedna znieważona, na nowo rozwija skrzydła (a przynajmniej słyszał, że próbuje). Dwa rozwody. Jedno małżeństwo wypalone, puste. Dwie zdruzgotane matki. Jedna matka otępiiała z rozpacz. Ojciec, który stracił zarówno syna, jak i żonę. Zszargana reputacja szkoły. Szkoła goniąca resztką sił. Miasto podzielone. Skłócone rodziny. Masowe wyjazdy tubylców. Czy wyszło z tego coś dobrego? Cokolwiek? A co z rzeszami uczniów, którzy złożyli podania do prestiżowych szkół i zostali odrzuceni, ponieważ ukończyli Akademię Avery? Trudno powiedzieć, ale Mike gotów był dać głowę, iż przesądziło to o niejednej decyzji. Myślał również o studentach przyjętych w tamtym okresie i niezliczonych pytaniach rodziców i kolegów, na które przyszło im udzielać odpowiedzi. Ich świadectwa miały pozaginane rogi. Nie sposób wymienić wszystkich ofiar, ich liczba może być nieskończona.

Mike zamknął drzwi i odniósł klucz. Rozdał napiwki i ruszył do samochodu zaparkowanego na tyłach budynku. Mimo niestrudzonych wysiłków obsługa hotelu i władze miasta nie nadały z odśnieżaniem i Mike'owi przyszło do głowy, że to chyba nie jest najlepsza pora na podróż do Nowego Jorku. Ale postanowił zaryzykować. W ostateczności przemocuje w przydrożnym hotelu i przeczeka najgorsze. Musi stąd wyjechać jak najszybciej.

Przejechał przez miasteczko i dotarł do skrzyżowania. Droga na prawo prowadziła do Nowego Jorku, a droga na lewo na północ, w głąb Vermontu. Wahał się, aż wreszcie ktoś na niego zatrąbił. Zmuszony do podjęcia decyzji odruchowo skręcił w lewo.

Z miejsca odczuł różnicę: trasa była mniej uczęszczana, w związku z czym nie odśnieżano jej tak skrupulatnie. Mike umiał prowadzić po śniegu, miał wieloletnie doświadczenie,

a poza tym przed wyjazdem z domu przezornie zmienił opony na zimowe. Jeśli pojedzie wolno i nie będzie mocno wciskał hamulca, wszystko będzie dobrze. Przy odrobinie szczęścia natknie się na piaskarkę i będzie jechał za nią. Podróż znacznie się wydłuży, ale to nic nie szkodzi, ma czas. Grunt, żeby stawił się punktualnie na świąteczny obiad, od którego dzieliły go jeszcze prawie dwa tygodnie. Paul, jego były szwagier, który okazał się niezwykle przyzwoitym człowiekiem, wspominał coś o pracy. Potrzebuje kogoś do pozyskiwania funduszy. Wie, że Mike ma w tej dziedzinie spore osiągnięcia; dał do zrozumienia, że chce porozmawiać. Mike zastanawiał się, czy starczy mu odwagi, żeby spytać o Meg. Rozmawiali parę razy, ale obaj unikali tego tematu jak ognia. Mike domyślał się, że Paul nie chce rozdrapywać starych ran, ale chyba najwyższy czas się na to zdobyć. Chciałby usłyszeć, że ułożyła sobie życie, może nawet z innym mężczyzną, może nawet ma dziecko. Świadomość, że jest szczęśliwa i ma dziecko, uśmierzyłaby nieco jego poczucie winy, ponieważ skrzywdził ją tak samo jak Annę i jej rodzinę. Co najdziwniejsze, Meg nie dowiedziała się o jego romansie. Przynajmniej tak mu się zdawało.

Na wieść o tym, że Mike ma opuścić szkołę z powodu domniemanego udziału w próbach zatuszowania skandalu, Meg była zarazem wstrząśnięta i rozwścieczona. Stwierdziła, że została upokorzona. (Czy włączył jej upokorzenie do ogólnego bilansu strat?). W ciągu kilku godzin wyprowadziła się z hukiem z dyrektorskiego domostwa, bez pożegnania i żadnej informacji, dokąd się udaje. Mike odniósł nieodparte wrażenie, że skandal był jedynie pretekstem i że po prostu wykorzystała pierwszą nadarzącą się okazję, która jednocześnie dała jej przywilej wyższości moralnej. Mike nie czuł się na siłach prosić, żeby została. Dzięki temu nie musiał mówić jej o Annie, co zapewne skończyłoby się tym samym, a do tego ją zraniło (serca raczej by jej nie złamał) i jeszcze bardziej upokorzyło. I na co to komu?

Mike niebawem poszedł w jej ślady. On także był gotów do odejścia. Nie podobało mu się tylko, że Coggeshall z żoną

czekali już na podjeździe w samochodzie wyładowanym aż po dach. Naprawdę nie mogli taktownie odczekać, aż Mike zniknie za horyzontem?

Zatem pojedzie do Nowego Jorku, gdzie wynajmował skromne mieszkanie w West Side (i był rozkosznie anonimowy), zje świąteczny obiad wraz z Paulem, który był w tej chwili jego jedynym przyjacielem, i być może dostanie pracę, co zapewni mu spokój na najbliższą przyszłość. Od czasu skandalu żył z oszczędności, z których połowa z miejsca przypadła Meg. Za to, co zostało, mógł wykupić sobie miesięczny pobyt w drogim hotelu. Ale wówczas zostałyby bez grosza.

Co do sprawy wytoczonej przez Roblesów, zarzuty postawiono szkole jako instytucji (bardzo rozsądnie; szkoła bowiem pomimo kłopotów wciąż miała głębsze kieszenie niż Mike), a nie byłemu dyrektorowi. Mimo to Mike musiał zatrudnić prawnika do obrony własnych interesów. Za to też trzeba będzie zapłacić, rachunek pewnie nadejdzie lada dzień. Jeśli Paul chce mu zaproponować pracę, Mike przyjmie ją bez wahania.

Dojeżdżając do Avery, odruchowo zacisnął ręce na kierownicy. Drogi były tu w zdecydowanie gorszym stanie niż do tej pory, ale prawdziwym powodem jego zdenerwowania była bliskość miasta, które skazało go na wygnanie. Był wdzięczny za śnieg, za osłonę, którą dawał, choć niejeden z mieszkańców przypuszczalnie zachodził w głowę, co za baran wypuścił się samochodem w taką pogodę. Kto wie, może niektórzy rozpoznają brązowe volvo. Mike przejechał powoli obok sklepu Peeta, następnie obok agencji nieruchomości Greasona oraz starego młyna, przystrojonych lampkami choinkowymi, które zapewne wisały tam od Halloween. Minał sąd, rozmyślnie nie patrząc na szkołę, a następnie stację benzynową. Tam też nie chciał się zatrzymywać.

Podążał ciemną drogą, pokonując gęstniejącą ścianę śnieżycy. Kiedy dojechał do małego domku u stóp wzgórza, zjechał na przeciwległe pobocze i zgasił światła. Stwierdził, że znajduje się dostatecznie daleko od szosy i nie wystraszy

żadnego kierowcy nadjeżdżającego z naprzeciwka. Przypomniat sobie pamiętny poślizg na czarnym lodzie. Tym razem nie było czarnego lodu, ale zwały śniegu to też nie przelewki, chociaż lądowanie nie byłoby tak twarde jak za pierwszym razem. Ale też by go wytrzesło. Przez okno po stronie pasażera zobaczył światło w kuchni i drugie w sypialni. Czy gdziekolwiek na świecie znajdowało się równie opustoszałe i samotne miejsce jak ta drewniana łupinka? Na samą myśl ścisnęło go w żołądku, ale zmusił się do przełknięcia gorzkiej pigułki. To przez niego. Silas też dołożył swoje trzy grosze, ale wina spoczywała na Mike'u. Gdyby nie on, mąż i żona poskładaliby sobie życie na nowo, nawet mimo ogromu straty. Gdyby nie on, do straty może wcale by nie doszło.

W oknie na piętrze zobaczył cień, ale śnieg ograniczał widoczność. Kobieta? Mężczyzna? Trudno powiedzieć. Czy on lub ona zauważyli volvo? Światła miasteczka nie sięgały aż tak daleko, samochód stał w całkowitych ciemnościach. Przyjrzał się postaci, tak jak ktoś przygląda się gwiazdzie, próbując określić jej kształt. Im bardziej wyteżał wzrok, tym trudniej było mu cokolwiek zobaczyć. W pewnej chwili zamrugał i postać znikła. Mike wytrzeszczał oczy, ale kompletnie nic nie widział. Śnieg coraz bardziej zasłaniał boczne okno, tworząc górski krajobraz w miniaturze. W ciągu jednej, dwóch minut zasłoni cały dom. Za trzy minuty Mike będzie musiał wysiąść i go strzepnąć albo opuścić szybę.

„Przyszedłem zapłacić za szkody” - miał ochotę zawołać.

Ale jak wynagrodzić komuś utratę dziecka?

Mike skrzywdził Owena cztery razy. Najpierw staranował mu płot i zniszczył skrzynkę na listy. Potem ściągnął Silasa do Avery, stwarzając mu warunki do tego, co zostało uwiecznione na taśmie. Następnie ukradł mu żonę. A na koniec, i to było najgorsze ze wszystkiego, doprowadził do ciągu zdarzeń, które odebrały Owenowi syna.

Od chwili kiedy Silas wbiegł wtedy na górę, Mike wielokrotnie pragnął pomówić z Anną. Nie był pewien, co chce właściwie powiedzieć, zależało mu jednak, aby w jakiś spo-

sób wyrazić smutek, żal oraz niezbitą pewność, że podczas tamtych krótkich wizyt kochał ją tak jak nikogo na świecie. Podejrzewał, że w odpowiedzi splunęłaby mu w twarz albo wydrapała oczy. Rozpacz dawała jej niezwykłą siłę. Wizja gniewu Anny zdawała mu się silniejsza aniżeli wspomnienie jej twarzy, kiedy podążali w stronę łóżka. Czuł, że to grzech wspominać tamte spotkania. Nie miał prawa ich pielęgnować. Wszystkie wspomnienia, wizje powinny zostać wymazane z jego pamięci.

Zawrócił na szosie, ślizgając się lekko na zaśnieżonej nawierzchni. Jadąc z powrotem w kierunku miasta, odkrył, że kuli się za kierownicą. Nie ze strachu przed bólem, ale z tchórzostwa. Mógł zapukać do drzwi i usiąść w kuchni z Owenem. Anna nie zeszyłaby na dół, był tego pewien. Być może jednak zdobyłyby się na szczerze przeprosiny, wyraził skruchę. Jak zareagowałyby Owen? Chciałby go udusić gołymi rękami? A może też był niezdolnie samotny?

Ściskając kierownicę drżącymi rękami, podążał coraz bardziej zaśnieżoną drogą. Od czasu kolacji w tawernie napadało co najmniej piętnaście centymetrów. Ani śladu pługów czy piaskarek. Może przez oszczędność drogowcy postanowili poczekać do końca śnieżycy.

Kiedy dojechał do Akademii Avery, ponownie zatrzymał samochód, tym razem wysiadając na zewnątrz. Od razu zapadł się w śniegu aż po łydki. Miał na sobie półbuty, mróz szczypał go pod nogawkami. Wyjął z kieszeni rękawiczki i podszedł do zamkniętej bramy. Czapkę zostawił w samochodzie. Śnieg sypał mu w twarz, zasłaniał oczy. Zajrzał przez pręty, wypatrując świateł. Miał nadzieję, że nie uruchomi nowego systemu alarmowego, zainstalowanego po jego odejściu. I nie ujrzy kilkunastu mężczyzn, biegnących z krzykiem w jego kierunku.

Odwróciwszy się od żelaznej bramy, oparł się plecami o kamienny słupek. Ciekawe, kiedy go postaviono. Nie miał zielonego pojęcia. Śmierć Silasa ciążyła mu na barkach. Właśnie to powiedziała by Owenowi, a ten wcale by nie zaprzeczył. „Przyczyniłem się do śmierci twojego syna”.

Zamknął oczy.

Pomyślał o samym nagraniu, setki razy przerabianym na wersję cyfrową oraz zdjęcia. Wyobraził sobie piksele dryfujące we wszechświecie, piksele, których konfiguracja dokonała nieodwracalnych szkód. Czasami nachodziła go myśl, czy to, co zobaczył na taśmie, nie było po prostu zachwytem i uniesieniem, równie nieszkodliwym jak widok figlujących latawców i parzących się zwierząt. Był przerażony, to prawda, pytanie jednak, czy owa zgroza nie wynikała aby z zażenowania podszytego niejasnym przecuciem, że to on sam znajdzie się w oku nadciągającego nieuchronnie cyklonu. Czy gdyby oglądał nagranie jako osoba prywatna, jego reakcja byłaby równie gwałtowna? Możliwe, pomyślał. W końcu nagranie powstało z udziałem dzieci. Dziewczyna miała dopiero czternaście lat.

A jednak.

Otworzył oczy i podszedł do samochodu. Już nigdy nie wróci do Avery. Tego jednego był pewien. Pojedzie na południe, do Nowego Jorku i oczekującego go małego mieszkanka. Stanął przy drzwiach i odwrócił się lekko, by po raz ostatni ogarnąć spojrzeniem okazałą bramę, ciemną i zatrzaśniętą na głucho w oczekiwaniu na młodzież.

Rob

Rob napisał:

Szanowna Pani Barnard,

Mam nadzieję, że ten list pomoże Pani zrozumieć to, co wydarzyło się w styczniu 2006 roku. To pierwsze zadanie naukowe, jakiego podjąłem się od dwóch lat. Mam nadzieję, że nie ostatnie, ale nie zdecydowałem jeszcze, w jakiej dziedzinie przyjdzie mi się wykazać.

Rok szkolny zacząłem w dobrym nastroju. Uczyłem się świetnie, a do tego miałem zamiar olśnić wszystkich w szkolnej drużynie koszykówki. Ponadto czekały mnie fakultety z najlepszymi nauczycielami Avery. Wybór uczelni i związana z tym papierkowa robota miały wprawdzie pochłonąć sporo czasu, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Moje oceny nie budziły żadnych wątpliwości i byłem prawie pewien, że mogę liczyć na dobre referencje od co najmniej jednego wykładowcy. Testy również zaliczyłem śpiewająco. Zdecydowałem się na wcześniejszy termin składania podań w nadziei na pomyślne rozpatrzenie mojego zgłoszenia. Wybrałem Browna. Byłem tam wiosną, a potem znowu latem, i od razu poczułem, że to jest to. Szczególnie spodobał mi się brak głównego programu. Po raz pierwszy w życiu miałem się skupić wyłącznie na tym, co mnie naprawdę interesowało. Dzień, w którym dostałem pozytywną odpowiedź, był chyba jednym z najszcześniejszych dni dla mnie i całej mojej rodziny.

Nie mogłem się doczekać ostatniej klasy również z innego powodu. Z każdym kolejnym rokiem w Avery uczniowie mieli coraz więcej wolności. Nieważne, że chodziło na przykład tylko o możliwość pożyczenia samochodu i wypadu na pizzę: w każdej prywatnej szkole człowiek czuje się jak w klatce, pilnują go jak w koszarach. Jeśli jednak ktoś wyrobi sobie dobrą opinię i zaskarbi zaufanie nauczycieli, niektóre zasady można naginać. Czasem aż mnie nosiło, żeby się wyrwać. Mieszkałem w internacie, więc nie mogłem mieć samochodu, dlatego chodziłem na długie spacery po mieście, polnych drogach, a czasami w niedziele zapuszczałem się wysoko w góry. Zawsze lubiłem chodzić. Dopiero wtedy mogę na prawdę myśleć.

Znałem Silasa Quinneya od trzeciej klasy, ale Jamesa Roblesa (J. Kropkę) poznałem dopiero pierwszego dnia w czwartej klasie. Trener wspominał mi latem, że przyjdzie jakiś maturzysta zwerbowany przez Gonzagę. Trochę się martwiłem, że będzie mi robił konkurencję, maturzyści to przeważnie gwiazdy. Nadają ton życiu towarzyskiemu i błyszczą w drużynach sportowych. Rozumiem sens werbowania maturzystów, ale prawda wygląda tak, że często wchodzą oni w paradę uczniom, którzy wyrabiali sobie markę przez cztery lata.

Po pierwsze, przeciętniak, który w ostatniej klasie mógł się wreszcie dochrapać miejsca w drużynie, nie miał z maturzystą żadnych szans, bo ten zawsze zagarnął miejsce, które miało przpaść w udziale właśnie jemu. Po drugie, maturzyści mieli szkolne układy w małym palcu i zgrywali wielkich cyników. Wysztychali wszystko, co się dzieje w szkole. Nigdy na przykład nie chodzili na dyskoteki. Występy przed meczami futbolu to dla nich kupa śmiechu. Duch zespołowy? Też coś. Co ciekawe - w każdym razie na pewno dla Pani - wiedzieli, co to alkohol i narkotyki. Zawsze wiedzieli, gdzie je zdobyć. Nie mogę powiedzieć, że bez maturzystów w liceum byłoby mniej picia, ale oni sprawiali, że stawało się jeszcze bardziej pociągające. W pewnym sensie byli prawdziwymi gwiazdami i trudno było się oprzeć ich urokowi.

J. Kropka był gwiazdą szczególnego rodzaju. Wysoki i przystojny na swój nieco fajtłapowaty sposób, miał błyskotliwe, a przy tym bardzo niewybredne poczucie humoru. Nabijał się ze wszystkich, zwłaszcza nauczycieli, i potrafił wybornie naśladować Bordwina i trenera Blounta. Wyśmiewanie się z trenera granoczyło z herezją, ale jemu wszystko uchodziło płazem. Niestety człowiekowi na każdym kroku towarzyszyła świadomość, że wychodząc z pokoju, sam stawał się obiektem bezlitosnych docinków. Czasem nawet kuliłem się odruchowo, jakby rzucał we mnie strzałkami. Myślę jednak, że J. Kropka paradoksalnie uważał mnie za jednego ze swych najlepszych kolegów w Avery. Nie wydaje mi się jednak, aby znalazł znaczenie słów „przyjaźń” i „zaufanie”. Nie mieściły się w jego słowniku. Ale faktycznie spędzaliśmy ze sobą sporo czasu. Cała drużyna trzymała się razem, nawet poza sezonem. Byliśmy naprawdę zżyci.

Bardzo lubiłem Silasa, choć pod koniec trzeciej i na początku czwartej klasy mieliśmy ze sobą mniejszy kontakt, ponieważ zaczął chodzić z dziewczyną o imieniu Noelle. Silas był w porządku. Bardzo imponował młodszym graczom. Bali się J. Kropki, ale naprawdę lubili Silasa. Mam tu na myśli Rasheeda, Irwina, Jamaila, Jaya i Christiana, drugo- i trzecioklasistów. Patrzyli w J. Kropkę jak w obrazek, ale słuchali tylko Silasa. Zawsze uważałem, że Silas będzie kiedyś świetnym trenerem. Mówił, że chciałby uczyć w liceum. W sumie chyba sam nie wiedział, co chce tak naprawdę robić, ale na pewno nie chciał przejąć farmy. Kochał ją i był dumny z ojca i jego dokonań. Ale oglądał farmę z bliska, nie chciał wziąć na siebie takiego ciężaru.

Rankiem 21 stycznia przyszedłem do szatni przed meczem z Faye. Chciałem zabandażować kolano, bo od wczoraj trochę mnie pobolewało. Myślałem, że jestem sam, nie licząc trenera, którego widziałem wcześniej, ale naraz z kąta dobiegł łomot, jakby ktoś kopał w szafkę. Nie było w tym nic dziwnego, bez przerwy ktoś kopie w szafkę. Ale potem usłyszałem coś, co zabrzmiało jak płacz. Płacz pełen złości: ktoś siąkał nosem i mamrotał przekleństwa.

Silas siedział w kącie, waląc butem w dolną część szafki. Miał zamknięte oczy, pochyloną głowę i płakał. Całą twarz miał mokrą. „Hej, stary. Wszystko gra?” - zagaiłem po chwili. Podniósł głowę. W życiu nie zapomnę jego spojrzenia. Zupełnie jakby w pierwszej chwili mnie nie poznał. A potem powiedział: „Spierdalaj, Leicht”.

Tylko tyle. „Spierdalaj, Leicht”.

Poszedłem, ale zabił mi ćwieka. Nigdy tak się do mnie nie odezwał. Był jednym z moich najlepszych kumpli. Próbowiałem dociec, co też mogło go wprawić w taki stan. Albo z nieznanych mi powodów wyleciał z drużyny, albo dziewczyna dała mu kosza. Przeważnie nie dawał się wyprowadzić z równowagi, trzeba się było mocno postarać. W przeciwieństwie do J. Kropki, który w jednej chwili sprawiał wrażenie pogrążonego w letargu, a w drugiej rzucał się na człowieka z pięściami. Tamtego ranka bardzo się o Silasa martwiłem i patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że powinienem był wspomnieć o tym trenerowi. Pogadałby z Silasem i spróbował go uspokoić. Może dałoby się uniknąć tego, co było potem.

Na pewno słyszała Pani o incydencie na meczu. Pisali o nim w każdej gazecie. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek umiał logicznie wytłumaczyć zachowanie Silasa. Podejrzewam, iż miało to coś wspólnego z jego porannym płaczem w szatni.

Jedno wiem na pewno. Kiedy wychodziliśmy na boisko, żeby się rozgrzać przed meczem, od Silasa zalatywało alkoholem. Pomyślałem sobie, że pewnie jeszcze nie wytrzeźwiał po wczorajszym, ale nie byłem pewien. I znów mogłem powiadomić trenera, ale czułem, że byłoby to świństwo wobec Silasa. Na bank wylądowałyby na ławce. Miałem nadzieję, że wódka - bądź też cokolwiek go zatruwało - wywietrzeje mu z głowy do czasu rozpoczęcia meczu. Jak Pani wie, nie wywietrzało.

Po meczu w szatni panowała głucha cisza. J. Kropka podszedł i rzucił mi pytające spojrzenie, na co tylko wzruszyłem ramionami, a wtedy on powiedział: „Chyba musimy go poszukać”. Trochę mnie to zdziwiło, bo J. Kropka nie należał do tych, którzy przejmują się kłopotami bliźnich.

Podejrzewam, że incydent z piłką wywarł na nim piorunujące wrażenie.

Poszliśmy do stołówki (padaliśmy z głodu), szybko wrzuciliśmy coś na ruszt i ruszyliśmy na poszukiwania. Byliśmy prawie pewni, że chodzi o Noelle, ale woleliśmy jej nie nagabywać, na wypadek gdyby też była w wiejskim stanie. Nie pamiętaliśmy, czy przyszła na mecz. J. Kropka zadzwonił do jej współlokatorki, ale nie odebrała. Kiedy zadzwoniłem do domu Silasa, jego ojciec powiedział, że jeszcze nie wrócił. Zapytałem, czy widział, co się stało na meczu, a on na to, że nie, nie mógł przyjść. Najdziwniejsze było to, że nie zapytał, w czym rzecz. Nawet wynik go nie interesował. Pomyślałem wtedy, że może zachowanie Silasa wynika z jakichś kłopotów rodzinnych.

Znaleźliśmy go na parkingu przy hali sportowej, siedział w samochodzie. Był w opłakanym stanie. Mróz ścisnął, a on nawet nie włączył silnika, żeby nie zwracać na siebie uwagi. J. Kropka otworzył drzwi, a Silas zapatrzył się na niego jak krety. Był pijany jak bela. Totalnie zmasakrowany. Na widok J. Kropki wybuchnął obłąkańczym śmiechem z sobie tylko znanych powodów. J. Kropka wyciągnął go zza kierownicy, zabrał mu kluczyki i zamknął samochód. Kluczyki schował do kieszeni, nie chciał, żeby Silas prowadził w takim stanie. „Idziemy” - zakomenderował.

To był początek naszej imprezy.

Do godziny ósmej wieczorem w pokoju J. Kropki zaroiło się od chłopaków, którzy ostro dawali w rurę. J. Kropka zawczasu skołował szkło w ramach przygotowań do imprezy u jednego z dojeżdżających, który w ogóle nie raczył się zjawić. Trzymał butelki w dziuple Jamaila pod starymi kocami. Kolejno chodziliśmy z plecakami na parking i chyłkiem targaliśmy piwo do pokoju. Można by powiedzieć, że każdy nauczyciel z odrobiną oleju w głowie z miejsca by się połapał, w czym rzecz, ale widocznie nikt nie monitorował wtedy parkingu. I tak na początku wieczoru mieliśmy w pokoju równowartość jakichś trzech skrzynek, a do tego sześć butelek rumu bacardi. J. Kropka nastawił głośno muzykę, ale nikt nie kazał mu

ściszyć. Niewielu chłopaków odważyłoby się zapukać do jego pokoju z pretensjami, a poza tym wszyscy, łącznie z nauczycielami, czuli, że na meczu stało się coś okropnego i musieliśmy po prostu rozładować napięcie. Był z nami Jamail, a także Jay, Irwin i paru innych koleśków.

Jak to zwykle bywa, wszyscy się rozochocili i doszli do wniosku, że do pełni szczęścia brakuje nam już tylko dziewczyn. A że nie było ich w internacie chłopaków, postanowiliśmy się rozejrzeć gdzie indziej. Z uwagi na mróz nikt nie urządził balangi poza szkołą, toteż została nam tylko dyskoteka. Szkolne dyskoteki były przeważnie do bani, ale było to jedyne miejsce, gdzie mogliśmy znaleźć dziewczęta.

Wciąż myślę: Gdyby wtedy nie było mrozu... Gdyby nauczyciel wszedł do pokoju J. Kropki... Gdyby Silas nie rzucił piłką w trybuny... Gdyby ta pannica nie podeszła do J. Kropki, kiedy weszliśmy do świetlicy...

W ciągu ostatnich dwóch lat przerobiłem wszystkie możliwe „gdyby”.

Wiem, że chodzi o cele naukowe i że minęły już dwa lata, ale jej prawdziwe imię wciąż nie przechodzi mi przez gardło. Dlatego będę o niej mówił „Sienna”, gdyż podobno takim imieniem się teraz posługuje.

Wiedzieliśmy, co to za ziółko. Wiedzieliśmy to z chwilą, gdy we wrześniu pojawiła się w szkole. Człowiek taksuje pierwszoklasisto, dokonuje wstępnej selekcji, rozmawia o nich przez pierwszy tydzień i formuje poglądy. W jej wypadku wnioski nasunęły się same: niezła dupa, ale ostro szurnięta. Prawdę mówiąc, trochę się zdziwiłem, że J. Kropka nie wystartował do niej od razu w pierwszym tygodniu. Było jasne jak słońce, że laska ma fioła na punkcie maturzystów. Ale z powodów, których nigdy nie zdradził, coś go powstrzymało. Powiem tak: moim zdaniem, nie chodziło o różnicę wieku. Biorąc pod uwagę skalę naszego przewinienia, może mi Pani nie uwierzyć, ale żaden z nas - ani J. Kropka, ani Silas, a już na pewno nie ja - nie przejął się różnicą wieku. Wiedzieliśmy, że była, to oczywiście, należeliśmy jednak do tej samej społeczności,

chodziliśmy - ba, byliśmy do tego zachęcani - na te same potańcówki, i nigdy nie przeszło nam przez myśl, że jedna laska jest nietykalna, a druga nie. Kiedy się umawialiśmy z pierwszoklasistkami, nikt nie groził nam palcem. Tymczasem, jak wszyscy doskonale wiedzą, w każdym związku prędzej czy później dochodzi do jakiejś formy zbliżenia fizycznego. Znałem kiedyś czwartoklasistkę, która chodziła z pierwszoklasistą. Prawdę mówiąc, było to trochę żałosne, ale nie istniały żadne przepisy, które by tego zabraniały.

Proszę nie traktować tego jako wymówki, gdyż na wydarzenia tamtego wieczora nie ma żadnego usprawiedliwienia. Żadnego. Nie mam najmniejszego zamiaru się tłumaczyć ani za siebie, ani za innych. Zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Ale moim zdaniem to dziwne, że nikt nie uznał za stosowne nas poinformować, że seks czwartoklasisty z pierwszoklasistką uchodzi w stanie Vermont za przestępstwo. Wypadało chociaż o tym wspomnieć.

Na dyskotecce Sienna od razu podeszła do J. Kropki. Od chwili przybycia do Avery J. Kropka upijał się w soboty wielokrotnie, toteż naprawdę nie wiem, dlaczego wzięła ją za rękę i zaprowadził na parkiet. Czyżby upił się bardziej niż zwykle? Desperacko chciał kogoś zaliczyć? A może ujęła go czymś, na co dotąd nie zwracał uwagi? Nie sposób zaprzeczyć, że była bardzo ładna. Była uosobieniem wdzięku. Po prostu obłądana. Nie wiem, jak to inaczej ująć. Miała okrągłą twarz z czarującym uśmiechem. Prześliczne zielone oczy. A kiedy odgarniała gęste blond włosy, sprawiała wrażenie starszej i jeszcze bardziej pociągającej. Miała drobną sylwetkę i buty na wysokich obcasach, co odróżniało ją od pozostałych dziewcząt. W styczniu niewiele dziewcząt w Vermoncie nosi szpilki. Miała fantastyczne ciało. Czasami, nawet dziś, budzę się ze świadomością, że mi się przyśniła. Ale pojawia się tylko w koszmarach i zawsze budzę się zły potem.

Zobaczyłem, że Silas też kieruje się na parkiet. Szedł, podrygując dziwacznie, jakby miał zamiar wcisnąć się między tamtych dwoje. Był zwinny, ale ruszał się trochę jak niedźwiedź,

a poza tym tancerz był z niego, za przeproszeniem, do dupy. Myślałem, że padnę ze śmiechu. Sam też miałem już trochę w czubie, piłem rum u J. Kropki. Robiłem to nie pierwszy raz i wiedziałem, jak szybko zwala z nóg, ale nie miałem nic przeciwko temu. Było mi wszystko jedno. Zachowywaliśmy się tak, jakby nam wszystko wisiało, i ten nastrój dał się również odczuć w świetlicy. Silas i J. Kropka tańczyli ze Sienną, która coraz bardziej podgrzewała atmosferę. Była w siódmym niebie, gdyż owinęła sobie wokół palca dwóch starszych chłopców, a przynajmniej tak się jej zdawało. Na ustach J. Kropki błędził lekki uśmieszek; widać było jak na dłoni, że coś kombinuje. Ale laska nic, była jak w transie. Wyginała się coraz mocniej, coraz bardziej prowokująco. To było cholernie seksowne. I nie sposób było oprzeć się myśli, że gdyby znalazła się teraz w ustronnym miejscu, rozebrałaby się jak nic. Pewnie brzmi to jak seksistowska fantazja, ale nic bardziej mylnego. Mówię, jak było.

Co do Silasa, nie wydaje mi się, żeby zdawał sobie sprawę z tego, gdzie jest i z kim tańczy. Przekroczył niewidzialną granicę. I kiedy tak tańczył, roześmiany od ucha do ucha, czułem, że lada chwila urwie mu się film.

Przeszedłem na środek sali. Pod sufitem wisiał stroboskop, na stołach porozstawiano świece, było dosyć ciemno. Ja też tańczyłem bez skrupowania, było fantastycznie. Miałem poczucie, że oddalam się od szkoły rozpedzonym samochodem. Łamaliśmy zasady, nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. W tamtej chwili było to naprawdę niesamowite uczucie. Gdybyśmy faktycznie poprzestali na tej jednej chwili, następnego ranka śmialibyśmy się do rozpuku i na tym koniec. Nie umiem tańczyć, pewnie robiłem z siebie durnia. Ale miałem to w nosie. Osiągasz etap, kiedy świadomie wystawiasz się na pośmiewisko, ale wszyscy rechoczą i jest OK. Nawet bardziej niż OK. Masz poczucie, że w życiu się tak dobrze nie bawiłeś.

Pamiętam, że zdziwiłem się mimochodem kompletnym brakiem reakcji ze strony pana Coggeshalla, który miał wtedy dyżur. Nie wkroczył między nas, nie klasnął w ręce ani nie

zmienił muzyki, chociaż sytuacja była jak żywcem wyjęta z „Władcy much”. Pięciu koleśków obtańcowywało jedną dziewczynę i miało to posmak swoistego rytuału. Pierwotnego, żeby nie powiedzieć zwierzęcego. Jestem pewien, że od czasu do czasu przewijały się tam inne dziewczyny, ale jakoś nie zapadły mi w pamięć. Graliśmy w jednej drużynie, spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu i daliśmy czadu. Myślałem, że pan Coggeshall podejdzie i każe nam przestać, chociaż uważałem to wówczas za niewinną zabawę, przynajmniej w pewnym stopniu. Towarzyszyło mi niejasne przeczucie, że może przeginamy, ale wobec kompletnego braku reakcji posuwaliśmy się coraz dalej. Czasami tańczyło z nią pięciu z nas, czasami dwóch, czasem jeden, podczas gdy reszta odpoczywała. Sienna nie zatrzymała się ani na chwilę. Podejrzewam, że w życiu nie była bardziej szczęśliwa. Serio. Mówię poważnie.

Zatem w którym momencie przekroczyliśmy granicę? Na dyskotecę?

A może gdy wracaliśmy do pokoju J. Kropki, przepychając się i zataczając ze śmiechu? Albo gdy rozsiedliśmy się na tapczanie, wlewając w siebie piwo i rum? Albo wówczas, kiedy J. Kropka nastawił płytę z pulsującą muzyką?

Rytm był po prostu hipnotyzujący.

Pamiętam, że Sienna zaczęła się kołysać, z piwem w dłoni, jakby znajdowała się we własnym świecie. Obracała się powoli raz w jedną, raz w drugą stronę, kręcąc biodrami w takt muzyki. Wreszcie śmiech uwiązał nam w gardle i utkwiliśmy w niej wzrok. Cała była muzyką, była rytmem. Jej drobne, gibkie ciało stało się uosobieniem zwierzęcego instynktu. Zupełnie jakby zapomniała o naszym istnieniu. W ogóle na nas nie patrzyła, nawet jeśli prześlizgiwała po nas wzrokiem. Uśmiech znikł z jej twarzy. Jeśli to był tylko show, stanęła na wysokości zadania. Wątpię, czy którykolwiek z nas oglądał kiedyś coś podobnego. Miała na sobie błękitną bluzkę związaną na szyi i obcisłe dżinsy. Szpilki i kurtka gdzieś znikły. Wystarczyło na nią spojrzeć. Jej widok mówił sam za siebie.

Rozmowy ucichły i po chwili słyszeć było już tylko stłumione basy. Zjawiskowa postać na środku pokoju, pozornie obojętna na wszystko, co się działo wokół, powoli kołysała się w ich rytm.

Usłyszałem szcęk zamykanych drzwi. Jamail i Jay wyszli.

Tysiące razy zadawałem sobie w myślach pytanie, dlaczego nie wyszedłem z nimi. Ale już znam odpowiedź. Nic, kompletnie nic nie mogło mnie wówczas skłonić do wyjścia. Liczyło się tylko to, co działo się w tym pokoju. Było to jak spełnienie najskrytszych marzeń, potwierdzenie strzępów zasłyszanych opowieści. Odejść oznaczałoby nie zaznać tego nigdy więcej. Nigdy, przenigdy więcej. Żyłbyś dalej, lecz posmak tamtej chwili uleciałby na zawsze. Gwiazdy ustawiły się w jednej linii. Okoliczności sprzysięgły przeciwko nam.

J. Kropka sięgnął po kamerę.

Był to używany rupieć, który dostał od rodziców; korzystał z niej od czasu do czasu, przeważnie do zamieszczania na YouTube filmów ze swoim udziałem. W tamtym roku wszystkich ogarnęła mania uwieczniania własnej osoby. Nie mam pojęcia, z czego to wynikało. Z chęci urozmaicenia swojego profilu na Facebooku? Z żądzy piętnastu sekund sławy bądź udokumentowania wszelkich posunięć, bardziej lub mniej legalnych? Nie jestem pewny, czy to J. Kropka zamieścił film w Internecie, ale tak mi się wydaje. Miał w tym pewne doświadczenie, umiał też zamazać twarz. Uznał pewnie, że będzie niezła jazda. Taki już był. Lubił przeginać. Stawiać wszystko na jedną kartę.

Wiedziałem, że ma w rękę kamerę. Wziąłem to wówczas za jeden z tych jego odjechanych pomysłów. Nie myślałem o konsekwencjach. No ba.

Początkowe sceny filmu, których nie dane było nikomu obejrzeć i nie wiem, co się z nimi stało, przedstawiają taniec Sienny. Patrzyliśmy, jak podnosi ręce i rozwiązuje węzeł na karku. Błękitna bluzka opadła, odsłaniając piersi. Były jędrne, prześliczne, krągłe jak jej twarz. Wtedy zrozumia-

łem, że ugrzążłem na dobre i nie ma już odwrotu. Wszyscy patrzyliśmy urzeczeni, jak robi striptiz. Nie, striptiz to za dużo powiedziane, ona się z nami nie droczyła. Tak naprawdę było to coś niesamowicie pięknego, niczym scena podpatrzona przez uchylone okno. Tak jakby nieświadoma naszej obecności powoli zrzucała ubranie, kołysząc się lekko w rytm muzyki. To było cudowne. Po prostu cudowne. Miała w sobie coś, na co nigdy wcześniej nie zwróciliśmy uwagi: urodę, klasę i szyk. Nie jakaś tam pospolita ładna buzia. W życiu nie widziałem nic równie pięknego. I pewnie już nigdy nie zobaczę.

Patrzyliśmy jak zaczarowani, zupełnie jakby rzuciła na nas potężny urok. Nie wydaje mi się, żeby któryś z nas mógł ruszyć się z miejsca. Nawet cyniczny J. Kropka. Nawet Silas, na którego czekała dziewczyna. Nawet Irwin, któremu J. Kropka podał kamerę.

Naprawdę nie wiem, dlaczego to zrobił. Czyżby wynikało to z przeświadczenia, że czarnoskóry Irwin nie weźmie w tym udziału? A może celowo chciał go wykluczyć z gry? Albo po prostu pierwszy mu się nawinął, bo akurat stał obok? Bo ja wiem? Wiem tylko, że nikt nie zdradził jego imienia. Nie wydaliśmy Irwina, ponieważ był czarny, i czuliśmy instynktownie, że całe to gówno spadłoby na jego głowę. Dziennikarze odwróciliby kota ogonem. „Czarnoskóry uczeń zmusza białą dziewczynę do striptizu”. Nawet jeśli żaden z nas o tym nie pomyślał, czuliśmy to w kościach. To nasze jedyne słuszne posunięcie podczas całej afery. Nie wyspaliśmy Irwina. O dziwo, nie zrobiła tego nawet Sienna, chociaż naopowiadała tyle kłamstw.

Dobrze się stało, że Irwin siedział cicho. Nigdy nie miałem mu tego za złe. Niby dlaczego miał się wychylać? Też miałyby przechlapane. I po co?

J. Kropka zrzucił ubranie. Silas też się rozebrał, a potem ja. Domyślam się, że dalszy ciąg Pani zna. Chyba nie muszę tego opisywać.

Kiedy już było po wszystkim, przez jakieś dwie, trzy minuty leżeliśmy nieruchomo na podłodze. Powoli zaczynała do nas docierać powaga sytuacji. Pamiętam, że J. Kropka wstał, a na-

stępnie rzucił się na łóżko i nakrył kołdrą aż po uszy. Irwin odłożył kamerę i po cichu wyszedł z pokoju. Sienna pospiesznie narzuciła odzież, wsunęła buty. Pamiętam, że na progu przystanęła i posłała nam w powietrzu pocałunek. To było strasznie, po prostu niewiarygodnie niestosowne. Zrobiliśmy coś, po czym nie wypadało tak po prostu wstać i posłać komuś buziaka. Zamknąć drzwi i więcej o tym nie mówić? Jeszcze to byłbym w stanie zrozumieć. Ale buziak? Zupełnie jakbyśmy mieli się spotkać w następną sobotę i rozegrać wszystko od początku?

Silas zaczął wymiotować do śmietnika. Rzęził, aż go skręcało. Ubrałem się, podszedłem bliżej i położyłem mu rękę na plecach, na co zamachnął się na osłep i burknął: „Wypierdalaaj”.

„Silas” - powiedziałem.

Odwrócił się i rzucił mi nienawistne spojrzenie. Wyglądał strasznie. A potem znów zaczął wymiotować. J. Kropka leżał nieprzytomny. Potem zrozumiałem, że pewnie udawał, przecież musiał się odmeldować u opiekuna internatu.

Wyszedłem.

Była to najgłupsza i najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Gorsza nawet niż to, co miało miejsce wcześniej. Zostawiłem na łóżku faceta, który równie dobrze mógł się już nie ocknąć. I zostawiłem Silasa, mojego dobrego kumpla, rzygającego do wiadra. Mógł przecież stracić przytomność i udławić się własnymi wymiocinami. Jakby tego było mało, zostawiłem kamerę, odłożoną przez Irwina na biurko.

Leżąc w łóżku, przypominałem sobie o nagraniu. Zadzwo-
niłem do J. Kropki na komórkę. Nie odebrał. Było mi niedobrze i nie miałem najmniejszej ochoty człapać z powrotem do jego pokoju. Postanowiłem zadzwonić do niego z samego rana, żeby zniszczyć taśmę. Pokój wirował mi przed oczami i zbierało mi się na wymioty, wreszcie poczułem ucisk w gardle i zrozumiałem, że nie zdążę dobiec do łazienki, więc wychyliłem głowę za łóżko. Z tego wszystkiego obudziłem współlokatora; myślałem, że szlag go trafi. „Co ty wyprawiasz?” - wrzasnął. Kazał mi wstać, przynieść mopa i posprzątać. Resztę nocy

przesiedziałem w łazience, owinięty kołdrą, na podłodze. Chyba nie zmrzyłem oka.

Ale to pestka w porównaniu z tym, co nas jeszcze czekało. Najgorsza chwila mojego życia? Nie wtedy, kiedy zobaczyłem nagranie w sieci. Ani wtedy, gdy dyrektor Bordwin wezwał mnie do siebie i oznajmił, że widział taśmę. Ani wtedy, gdy mama weszła do sekretariatu i musiałem na nią spojrzeć. Nawet nie wtedy, kiedy policja przysłała do motelu, żeby mnie aresztować. Nie, najgorsza chwila mojego życia to ta, kiedy pan Taylor przyszedł do motelu, posadził mnie przy stole i powiedział o znalezieniu Silasa.

Nic nie wymaże tamtej chwili.

Wiele rozmyślałem o tym, dlaczego to zrobiliśmy, ale moim zdaniem owo „dlaczego” kryje się w samym czynie. Był to czyn bez żadnego dlaczego.

Oczywiście proszę nie traktować tego jako wymówki. Po prostu tak uważam.

Nie wierzę w istnienie „dlaczego”, ale wiem, że to było złe. I niemoralne. Ba, jak się okazało, w pewnym sensie złamaliśmy prawo. Ten jeden wieczór okazał się katastrofalny w skutkach. Na początku, kiedy myślałem o Silasie, jego rodzicach i Noelle, sam miałem ochotę wspiąć się na tamto wzgórze i zamarznąć na śmierć.

Moi rodzice rozwiedli się krótko po wybuchu skandalu. Wiedziałem, że im się nie układa, myślałem jednak, że wychodzą na prostą. Przynajmniej taką miałem nadzieję. Kiedy mama przyjechała do mnie jesienią, wydawała się jakby weselsza. Ale może po prostu cieszyła się z naszego spotkania.

Każdego dnia widzę na jej twarzy niepokój. Wiecznie się o mnie martwi, czego nie znoszę. Nie znoszę, kiedy jest taka zasmucona. Wiem, że byłoby lepiej dla nas obojga, gdybyśmy zamieszkali oddzielnie. Niedługo tak zrobimy. Często surfuję po Internecie w poszukiwaniu programów na rzecz pomocy innym. Nie chodzi o żaden pic na wodę, którym się można pochwalić w podaniu na studia, ani bzdury typu zajęcia z koszykówki, które musiałem prowadzić w ramach kary. Też mi kara.

Nie, mam na myśli coś na większą skalę. Znalazłem pewien program w Ugandzie, mający na celu zbudowanie kliniki, napisałem też do organizacji Lekarze bez Granic w sprawie programu szczepień ochronnych w Tajlandii. Muszę wyjechać. Choć to nie do końca prawda, ale mam poczucie, jakby ostatnie dwa lata były spędzone na wzięciu, z dala od wolnej przestrzeni. Gdybyśmy żyli w dawnym czasach, pewnie nie pozostawałoby mi nic innego jak zaciągnąć się na statek. Ostatnio dużo czytam Eugene'a O'Neilla. Gdy okres kurateli dobiegnie końca, porozmawiam z matką i wyjadę.

Nie wydaje mi się, że bym zniszczył jej życie. Gdyby tak było, nigdy bym jej nie zostawił. Ona też chce się wyrwać. Czuję to przez skórę.

Chociaż wiele osób tak myśli, swojego życia też nie uważam za zmarnowane. Przez ostatnie dwa lata miałem naprawdę dużo czasu do namysłu. Mnóstwo czytałem. Zmieniłem się, ale nie przegrałem swojego życia. Może nawet dobrze się stało, że zepchnięto mnie z wyznaczonej ścieżki albo też sam zbłądziłem - kto wie, może to właśnie podświadome pragnienie zmiany kazało mi wtedy zostać w pokoju - ponieważ stałem się innym człowiekiem. Nie mogę podążać utartą ścieżką. Muszę odnaleźć własną.

Prawdę mówiąc, myślę, że niczyje życie nie legło w gruzach. Ani J. Kropki, ani - mam nadzieję - Sienny. Może pana i pani Quinney. Tak, moim zdaniem ich życie legło w gruzach. Ale my nie damy się tak łatwo.

W odpowiedzi na Pani ostatnie pytanie: myślę, że doprowadził do „tego” alkohol, ale „to” tkwiło w nas samych.

Mam nadzieję, że Pani pomogłem.

Z poważaniem
Robert Leicht